

Drzwi do lata

Heinlein Robert



calibre 0.9.43

Drzwi do lata

(Przełożył Zbigniew Foniok)

Dla A.P. i Phyllis

oraz Micka i Annette Ailurophile

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pewnej zimy, tuż przed Sześciotygodniową Wojną, mieszkałem z moim kotem Arbitrem Petroniuszem na starej farnie w Conaecticut. Wątpię, czy jeszcze coś z niej pozostało, leżała bowiem blisko centrum wybuchu bomby atomowej - tej, która ominęła Manhattan. Stare drewniane domy palą się jak papier... A jeśli nawet przetrwała, to niełatwo byłoby o lokatorów zważywszy na opad radioaktywny. Ale nam, Pitowi i mnie, wtedy odpowiadała, bo czynsz był niski z powodu braku kanalizacji, a pomieszczenie, służące dawniej za jadalnię, miało dobre północne oświetlenie, potrzebne w mojej pracy przy stole kreślarskim. Jedyłą niewygodą było jedenaścioro drzwi wiodących na dwór. Właściwie było ich dwanaścioro, jeżeli doliczymy drzwi Pita. Zawsze dbałem o to, by Pit miał własne drzwi - teraz była to po prostu deska w oknie nie używanej sypialni, w której wyciąłem mały otwór szerokości równej dokładnie długości wąsów Pita. Zbyt wielką część życia spędziłem na otwieraniu drzwi kotom - raz nawet obliczyłem, że od początku cywilizacji czynność ta zajęła ludzkości dziewięćset siedemdziesiąt osiem człowiekostuleci. Mógłbym wam pokazać te obliczenia. Pit zazwyczaj używał własnego wejścia, chyba że udało mu się zmusić mnie do otworzenia drzwi dla ludzi - które wolał. Nigdy jednak nie użył swych drzwi, gdy na dworze leżał śnieg.

Kiedy był małym kociakiem - sam puszek i miauczenie - opracował prostą filozofię życiową. Ja miałem odpowiadać za mieszkanie, jedzenie i pogodę, a on zajmował się pozostałymi sprawami. Szczególnie często musiałem zdawać mu rachunek z pogody. Zimy w

Connecticut nadają się tylko na kartki świąteczne.

Tej zimy Pit przestąpił próg swoich drzwi i odmówił wyjścia, zde gustowany nieprzyjemnym białym świństwem. Nie był, broń Boże, głupcem - zmusił mnie, bym otworzył mu jakieś drzwi dla ludzi. Wierzył święcie, że co najmniej jedne prowadzą w letnią pogodę. Za każdym razem trzeba było obejść z nim wszystkie jednaścioro drzwi, otwierać je na oścież, dopóki nie przekonał się, że za nimi jest także zima. Z biegiem czasu i wśród kolejnych rozczarowań jego krytyczny stosunek do mnie jako przewodnika przeradzał się w zgorzkniałą podejrzliwość.

Siedział zawsze w domu aż do ostatniej chwili, dopiero argumenty pęcherza zmuszały go do wyjścia. Gdy wracał, lód na opuszkach łapek stukał w drewnianą podłogę niczym maleńkie chodaki. Patrzył na mnie, dopóki nie minął mu zły humor - wtedy przebaczał mi aż do następnego razu. Nigdy jednak nie poddał się i nie przestał szukać drzwi do lata.

Trzeciego grudnia 1970 roku w Los Angeles poszedłem w jego ślady. Moje usiłowania były tak samo daremne jak próby Pita. Ta odrobina śniegu, która spadała w południowej Kalifornii, zatrzymywała się na szczytach gór dla narciarzy, omijając centrum - prawdopodobnie nie mogła się tam przedostać przez gęstą zasłonę smogu. Moim sercem jednak zawładnęła zima.

Fizycznie czułem się zupełnie dobrze (nie licząc narastającego kociokwiku), nadal brakowało mi kilku dni do trzydziestki i naprawdę nie sięgałem dna, jeśli chodzi o pieniądze. Nie byłem ścigany ani przez policję, ani przez zazdrosnego męża, nie szukał mnie doręczyciel nakazu sądowego; nie cierpiałem na nic, co nie mogłoby zostać uleczone przez selektywną amnezję. W sercu jednak miałem zimę i szukałem drzwi do lata.

Macie rację, jeśli wydaję się wam człowiekiem cierpiącym na ostry atak melancholii.

Na tej planecie żyło grubo ponad dwa miliardy ludzi, którzy na pewno mieli się gorzej ode

mnie. Ale to ja szukałem drzwi do lata.

Większość ostatnio spotykanych drzwi nie miała klamek - przyszła bowiem epoka drzwi wahadłowych. Właśnie stałem przed takimi. Szyld nad wejściem obwieszczał: BAR SANS SOUCI. Wszedłem i wybrałem stolik pośrodku niedużego pomieszczenia. Położyłem torbę na fotelu, wyciągnąłem się wygodnie i czekałem na kelnera.

- Wrrr... - odezwała się torba.

- Nie irytuj się, Pit, przecież wychodziłeś przed chwilką. Bądź cicho, nadchodzi kelner.

Pit zamilkł, a ja podniosłem wzrok i ujrzałem kelnera pochylającego się nad stolikiem.

Zamówiłem podwójną szkocką, szklankę wody i butelkę piwa imbirowego. Kelner robił wrażenie zaniepokojonego.

- Piwo imbirowe, proszę pana? Ze szkocką?

- Macie je czy nie?

- Tak, oczywiście. Ale...

- Więc proszę przynieść. Nie mam zamiaru go pić, chcę tylko się nim pobawić. I proszę mi także podać spodek.

- Jak pan sobie życzy. - Przetarł blat stołu. - A może małe biefsztyk? Lub ostrygi?

Dzisiaj są wyśmienite.

- Posłuchaj, kolego. Dam ci napiwek, jeśli przestaniesz gadać o ostrygach i obiecasz, że nie podasz ich. Zamówiłem wszystko, czego mi trzeba... i nie zapomnij o spodku.

Zamknął się i odszedł. Powiedziałem Pitowi, żeby się nie przejmował, bo to dopiero początek kłopotów. Kelner wrócił; zaspokoił swoją dumę, niosąc z godnością piwo na spodek. Poleciałem mu je otworzyć, a sam zmieszałem szkocką z wodą.

- Życzy pan sobie drugą szklankę do piwa?

- Jestem wsiowy, piję prosto z butelki.

Uciszyłem go na tyle, że mogłem spokojnie zapłacić rachunek, nie zapominając o odpowiednim napiwku za ostrygi. Gdy zniknął, wylałem piwo na talerzyk i zastukałem w torbę.

- Pit, podano zupeł.

Zamek błyskawiczny torby nie był zasunięty. Nigdy go nie zamykałem, gdy Pit był w środku. Rozciągnął go pazurkami, wychylił łypek, szybko się rozejrzał i wyprężył tak, że przednie łapki oparł o krawędź stołu. Podniosłem szklankę i popatrzyliśmy na siebie.

- Wypijmy za kobiety, Pit, och! zabawić się i zapomnieć.

Przytaknął. Doskonale zgadzało się to z jego prywatnym poglądem na życie.

Wstydliwie skłonił głowę i zaczął chleptać piwo.

- Oczywiście jeśli zdołasz.

Pociągnąłem porządny łyk whisky. Pit nie odpowiedział. Zapomnieć o samiczce nie stanowiło dla niego problemu - był prawdziwym starym kawalerem.

Przez okno obserwowałem migającą naprzeciwko reklamę. Najpierw ukazało się hasło: PRACUJ CIE POD CZAS SNU. Potem pojawił się napis: PRZEŚPIJCIE WSZYSTKIE SWOJE KŁOPOTY. Na koniec litery układały się w ogromny szyld: UBEZPIECZALNIA MUTUAL.

Kilkakrotnie przeczytałem wszystkie słowa, nie zastanawiając się głębiej nad treścią.

Moja znajomość tajników hibernacji była niewielka. Gdy ten temat pojawił się po raz pierwszy w doniesieniach prasowych, przeczytałem jeden czy dwa popularnonaukowe artykuły. Ze trzy razy w tygodniu znajdowałem w porannej poczcie oferty różnych ubezpieczalni. Zazwyczaj je wyrzucałem, nawet nie przeglądając, gdyż sądziłem, że dotyczą mnie w nie większym stopniu niż reklamówki szminek.

Po pierwsze, jeszcze do niedawna nie mógłbym pozwolić sobie na sen w zamrażarce.

To droga przyjemność. Po drugie, dlaczego człowiek, którego bawi praca, ma nadzieję na większe zarobki, jest zakochany i zamierza się ożenić, miałby popełniać połowiczne samobójstwo?

Jeśli ktoś cierpiał na nieuleczalną chorobę i oczekiwał rychłej śmierci, wierzył w możliwość skutecznej pomocy lekarzy z następnego stulecia, a poza tym miał pieniądze, to istotnie nie pozostawało mu nic innego, jak tylko dać się zamrozić. Jeśli ktoś marzył o locie na Marsa, a fakt wycięcia z życiorysu kilkudziesięciu lat mógł mu umożliwić zakup takiego biletu, to również było logiczne. Gazety pisały o parze z wyższych sfer, która bezpośrednio po ślubie udała się do chłodni ubezpieczalni Western World, oznajmiając wszem i wobec, że zostawiają firmie instrukcję, aby obudzono ich dopiero wtedy, gdy będą mieli możliwość spędzić miodowy miesiąc w rakiecie międzyplanetarnej... Miałem co do tego wątpliwości, podejrzewając, iż był to jedynie trik reklamowy wymyślony przez ubezpieczalnię, i że owa para wymknęła się tylnym wyjściem ze zmienionym nazwiskiem. Spędzić noc poślubną w lodówce niczym filet śledziowy - to brzmi dosyć nieprawdopodobnie. Istniała również możliwość, że całą tę aferę zaplanowano, jak zwykle, dla zysku. Przecież firma nawoływała: **PRACUJCIE PODCZAS SNU**. Ty sobie leżysz, a wszystko, co masz, przeradza się w fortunę. Jeżeli masz pięćdziesiąt pięć lat i dwieście dolarów emerytury, dlaczego nie mógłbyś trochę sobie pospać, obudzić się mając tyle samo lat i dostawać tysiąc dolarów? Że nie wspomnę już o pięknym nowym świecie, który prawdopodobnie zagwarantuje ci znacznie dłuższą i zdrowszą jesień życia jako dodatek do pięciokrotnie wyższych dochodów. Tym argumentem zgodnie szermowały wszystkie ubezpieczalnie i każda wykazywała na podstawie niepodważalnych obliczeń, że wybór właśnie jej akcji jako funduszu powierniczego będzie pod każdym względem najkorzystniejszy. **PRACUJCIE PODCZAS**

SNU.

Nigdy mnie to nie pociągało. Nie przekroczyłem pięćdziesiątki, nie chciałem iść na emeryturę, a rok 1970 nie wyglądał źle. Dokładnie mówiąc - tak było do niedawna. Teraz stałem się emerytem chcąc nie chcąc (nie podobało mi się to zupełnie), zamiast miodowego miesiąca miałem szklanę szkockiej w drugorzędym barze, zamiast żony poznałego bliźniakiem kocura z chorobliwym upodobaniem do imbirowego piwa. Na dno jednak jeszcze nie spadłem. Sięgnąłem do marynarki, wyjąłem kopertę, otworzyłem. Zawierała dwie rzeczy: czek potwierdzony na sumę większą niż kiedykolwiek miałem, oraz akt własności akcji firmy Hired Girl. Oba dokumenty były już trochę pomięte - nosiłem je przy sobie od chwili, gdy wszedłem w ich posiadanie.

A właściwie dlaczego nie?

Dlaczego by nie uciec i nie przespać swoich problemów? Byłoby to z pewnością przyjemniejsze niż służba w Legii Cudzoziemskiej, nie tak wątpliwe moralnie jak samobójstwo, a przy tym odgrodziłoby mnie od ludzi i spraw, które zniszczyły mi życie.

Czemu nie spróbować?

Możliwość wzbogacenia się nie interesowała mnie zupełnie. Oczywiście czytałem. Gdy śpiący się zbudzi H. G. Wellsa i to nie wtedy, gdy ubezpieczalnie zaczęły rozdawać tę książkę za darmo, lecz gdy była tylko jedną z klasycznych powieści. W ten sposób znacznie wcześniej dowiedziałem się, do czego może doprowadzić składany procent i dewaluacja akcji. Nie byłem jednak pewny, czy mam dosyć pieniędzy, by wykupić Długi Sen i otrzymać później premię gwarancyjną. Bardziej do mnie przemawiał drugi argument: dwadzieścia lat snu i przebudzenie w innym świecie. Może znacznie lepszym, przynajmniej tak zapewniały ubezpieczalnie... albo gorszym... jednak z pewnością w innym. Ważną różnicę dostrzegłem już teraz, mógłbym spać tak długo, aż będę miał tę pewność, że świat, w którym się obudzę,

będzie światem bez Belle Darkin - a także bez Milesa Gentry'ego... ale przede wszystkim bez Belle. Gdyby Belle była sześć stóp pod ziemią, mógłbym o niej zapomnieć, zapomnieć o tym, co mi zrobiła, wykreślić ją z mojego życia... a nie cierpieć na samą myśl, że jest tylko o kilka mil dalej. Jak długo to będzie trwać?

Belle miała dwadzieścia trzy lata - tak przynajmniej twierdziła (przypomniałem sobie, jak kiedyś przyznała nieopatrznie, że pamięta Roosevelta jako prezydenta). W każdym razie nie przekroczyła trzydziestki. Gdybym przespał siedemdziesiąt lat, po niej zostałby nekrolog. No, powiedzmy siedemdziesiąt pięć dla pewności.

Zamyśliłem się nad osiągnięciami geriatrici; mówiło się o przedłużeniu do stu dwudziestu lat „normalnej” długości życia. W związku z tym jako bezpieczną granicę musiałbym przyjąć sto lat. Nie byłem przekonany, czy którakolwiek ubezpieczalnia gwarantuje tak długi okres hibernacji.

Dopiero potem wpadł mi do głowy diabelski pomysł, inspirowany rozlewającym się ciepłem szkockiej. Wcale nie muszę spać do momentu, gdy Belle umrze; zupełnie wystarczy - a jeżeli chodzi o zemstę na kobiecie to nawet lepiej - być młodym, gdy ona będzie już stara.

Poczułem na ramieniu dotyk łapki, delikatny jak płatek śniegu.

- Maało - oznajmił Pit.

- Ty żarłoku - upomniałem go i napełniłem talerzyk piwem.

Podziękował mi, to znaczy zanim zabrał się do chłęptania, dostojnie odczekał krótką chwilę.

Swą natarczywością przypomniał mi o pewnych komplikacjach, których wcześniej nie wziąłem pod uwagę.

Do licha, co zrobić z Pitem?

Kota nie można wyrzucić jak psa, nie zniesie tego. Czasami da się go sprzedać razem

z domem, ale to nie wchodzi w grę. Dla niego byłem jedyną ostoją w tym stale zmieniającym się świecie - od momentu, gdy przed dziewięciu laty odebrano go matce. Nawet będąc w wojsku trzymałem go przy sobie, co naprawdę nie było rzeczą łatwą.

Pit cieszył się dobrym zdrowiem i wydawało się, że tak będzie zawsze, chociaż w całości trzymały go tylko pozszywane blizny. Gdyby tylko celniej uderzał prawą łapą, mógłby wygrywać bijatyki i płodzić potomstwo jeszcze co najmniej przez pięć lat.

Mogłem oczywiście płacić za jego pobyt w jakimś schronisku dla zwierząt, dopóki by nie zdechł (nie do pomyślenia!), mogłem go również uspić chloroformem (zupełnie nie do przyjęcia) albo go opuścić. Po prostu z kotem nie można inaczej postępować: albo spełnisz ten ciężki obowiązek, który na siebie nałożyłeś, albo biedaka opuścisz, skazując go na zdziczenie i łamiąc jego wiarę w wiekuistą sprawiedliwość.

Tak jak Belle zniszczyła moją wiarę. A zatem, przyjacielu, najlepszym wyjściem będzie o wszystkim zapomnieć. Własnym życiem pokierowałeś jak pijany w środku nocy, ale to nie zwalnia cię jednak w najmniejszym stopniu od obowiązku dotrzymania umowy z tym ponad miarę rozpieszczonym kocurem.

Właśnie gdy dojrzałem do tej filozoficznej prawdy, Pit kichnął - piana podrażniła jego nozdrza.

- Na zdrowie! - życzyłem mu szczerze - ...i przestań tak łapczywie pić.

Pit mnie zignorował. Przy stole zachowywał się znacznie lepiej niż ja, czego był zresztą świadomy.

O tej porze w knajpach bywa pusto. Oprócz nas tylko przy barze siedzieli jacyś goście. Kiedy powiedziałem „na zdrowie”, kelner podniósł głowę i szepnął coś do kasjera. Obaj spojrzeli koso w naszym kierunku, potem kasjer podniósł ruchomy blat i ruszył ku nam.

- Wojskowa policja, Pit - mruknąłem.

Rozejrzał się wokół i czmychnął z powrotem do torby. Kasjer podszedł do mnie, oparł się o stół i szybko przebiegł wzrokiem po wolnych miejscach.

- Przykro mi, przyjacielu - oznajmił stanowczo - ale tego kota będziesz musiał stąd wynieść!

- Jakiego kota?

- Tego, którego karmił pan z talerzyka!

- Ja żadnego kota nie widzę.

Tym razem zgiął się i zajrzał pod stół.

- Ma go pan w tej torbie - oskarżył mnie.

- W torbie? Kota? Kolego, chyba nie wiesz co mówisz.

- Co? Nie ze mną te numery. W tej torbie jest kot. Otwieraj torbę.

- Ma pan nakaz rewizji?

- Co? Proszę nie mówić głupstw.

- To pan mówi głupstwa, skoro chce pan otworzyć moją torbę bez nakazu rewizji.

Paragraf czwarty ustawy. Tak więc gdy wyjaśniliśmy to sobie, proszę powiedzieć kelnerowi, żeby podał jeszcze raz to samo. Albo proszę zrobić to osobiście.

Poczuł się obrażony.

- Ja do pana nic nie mam, ale muszę uważać, żeby nie stracić licencji. Psom i kotom wstęp wzbroniony - jest to wypisane na ścianie. Dbamy o higienę i czystość w zakładzie.

- Musicie bardziej się starać. - Podniosłem szklanę. - Widzi pan te ślady szminki?

Niech pan lepiej uważa na zmywarkę, a nie usiłuje rewidować klientów.

- Nie widzę żadnej szminki.

- Bo już prawie wytarłem. Możemy jednak wybrać się na komisję sanitarną i tam skontrolować liczbę bakterii. Westchnął ciężko.

- Ma pan legitymację?

- Nie.

- No to jesteście kwita. Ja nie będę panu grzebał w torbie, a pan nie będzie mnie włóczył po komisjach. A teraz jeśli chce pan się jeszcze napić, proszę podejść do baru i zamówić, co pan chce... na rachunek firmy. Ale tutaj już nie podam.

Odwrócił się i odszedł.

Wzruszyłem ramionami.

- I tak już mieliśmy iść.

Kiedy wychodząc mijalem kasę, podniósł głowę.

- Nie gniewa się pan, prawda?

- Ani trochę. Chciałem przyprowadzić konia na jednego. Ale zmieniłem zamiar.

- Niech się pan nie krępuje. Zarządzenie nic nie mówi o koniach. Proszę powiedzieć mi jeszcze jedno - ten kot naprawdę pije imbirowe piwo?

- Zapomniał pan o czwartym paragrafie?

- Ja tego zwierzaka nie chcę widzieć, ja się tylko pytam.

- No, przypuśćmy. Najbardziej mu smakuje z kropelką szkockiej, ale gdy musi, wypije i bez.

- Zniszczy sobie nerki. Proszę spojrzeć tu, przyjacielu.

- Na co?

- Proszę pochylić się do tyłu, tu, bliżej... A teraz proszę spojrzeć na sufit nad parawany otaczające stoliki... na te lustra w ozdobnych ramkach. Wiem, że ma pan kota, ponieważ go widziałem.

Pochyliłem się i spojrzałem. Na suficie lokalu umieszczono mnóstwo tanich dekoracji i lusterek. Teraz zauważyłem, że wiele z nich - ukrytych pośród innych elementów - ustawiono

pod takim kątem, że kasjer mógł obserwować salę jak przez peryskop, nie opuszczając stanowiska pracy.

- Niestety, to niezbędne - wyjaśnił mi przepraszająco. - Pewno by pana zaszokowało, gdyby pan zobaczył, co się w tych boksach dzieje... to znaczy działałoby się, gdybyśmy ich nie mieli pod kontrolą. To smutny świat.

- Amen, bracie - skończyłem dysputę i wyszedłem na ulicę.

Po kilku krokach otworzyłem torbę. Trzymałem ją teraz za jedno ucho. Pit wytknął łepiek.

- Słyszałeś, Pit, co mówił ten facet. To smutny świat... Gorzej niż smutny, bo dwaj przyjaciele nie mogą się w spokoju napić bez szpiegów. Wiesz, to rozstrzygnęło o naszym losie.

- Teraz? - zainteresował się Pit.

- Co ty o tym sądzisz?... Ja jestem zdecydowany, nie ma sensu tego odkładać.

- Teraz! - upewnił mnie Pit.

- A więc decyzja jednomyślna. No to w prawo przez ulicę.

Sekretarka w ubezpieczalni Mutual była doskonałym przykładem pięknego, funkcjonalnego wystroju wnętrza. Przypomniałem sobie, że gdy się obudzę, będzie z niej szkaradna stara baba, i powiedziałem jej, że chcę mówić z kimś z działu sprzedaży.

- Proszę usiąść. Pójdę zobaczyć, czy ktoś z działu obsługi klientów może pana

przyjąć. - Nim zdążyłem usiąść, dodała: - Pan Powell pana przyjmie, tędy proszę.

Pan Powell siedział w biurze. Sądząc po wyposażeniu pokoju, firmie Mutual wiodło się cholernie dobrze. Podał mi wilgotną dłoń, poprosił, bym usiadł, zaproponował papierosa i spróbował odebrać mi torbę. Nie pozwoliłem.

- Czym możemy panu służyć?

- Chcę Długiego Snu.

Brwi skoczyły mu do góry i zaczął zachowywać się z jeszcze większym respektem.

Mutual bez wątpienia zawarłby i siedmiodolarową umowę ubezpieczeniową na aparat fotograficzny, ale Długi Sen oddawał mu pod kontrolę wszystkie aktywa klienta.

- Bardzo mądre postanowienie - westchnął nabożnie. - Sam życzyłbym sobie takiej operacji. Ale wie pan... obowiązki rodzinne. - Wyciągnął rękę i wyjął jakiś formularz. -

Klienci poszukujący Długiego Snu zazwyczaj nie chcą zbyt długo czekać, dlatego też w takich wypadkach formalności są uproszczone. Wypełnię te papiery za pana... i przygotujemy od razu badania lekarskie...

- Jeszcze jedno...

- Tak?

- Mam pytanie. Czy można zamówić komorę hibernacyjną dla kota?

Popatrzył na mnie najpierw z zaskoczeniem, a później z urazą.

- Żarty pan sobie stroi? Otworzyłem torbę i Pit wystawił łeppek.

- Proszę poznać mojego partnera. Nadal oczekuję odpowiedzi. Jeżeli będzie negatywna, przeniosę się do ubezpieczalni Central Valley. Mają siedzibę w tym samym budynku, nieprawdaż?

Tym razem jego spojrzenie było niemal wystraszone.

- Panie... hm, jak pana nazwisko?

- Dan Davis.

- Panie Davis, od momentu przekroczenia progu naszych drzwi każdy znajduje się pod troskliwą opieką ubezpieczalni Mutual. Przejście do Central Valley nie wchodzi w grę!

- A jak próbowałby pan mnie zatrzymać! Siłą?

- Proszę pana. - Rozejrzał się gorączkowo wokół, wyglądał na wzburzonego. - Nasza

firma dba o etykę postępowania!

- Chce pan przez to powiedzieć, że Central Valley nie?

- Pan to powiedział, nie ja. Panie Davis, nie chciałbym w jakikolwiek sposób wpływać na pana...

- Co i tak by się nie udało...

- ...ale proszę wypożyczyć wzory umów obu firm, wynająć prawnika albo jeszcze lepiej wykwalifikowanego językoznawcę i porównać, co proponujemy i co rzeczywiście gwarantujemy, z tym, co oficjalnie obiecuje Central Valley. - Znowu rozejrzał się i skłonił w moją stronę głowę. - Nie powinienem tego panu mówić, mam jednak nadzieję, że zatrzyma pan to dla siebie: oni nie stosują nawet standardowych tabel matematycznych ubezpieczalni.

- Możliwe, że zamiast tego po prostu dbają o klienta.

- Co proszę? Szanowny panie, my dzielimy cały zgromadzony zysk. Nasz statut wymaga tego, gdy tymczasem Central Valley jest zwyczajną spółką akcyjną.

- Być może powinienem kupić kilka ich akcji. Panie Powell, nie marnujmy czasu.

Przyjmiecie mojego kumpla czy nie? Jeżeli nie, to znaczy, że jestem tu już zbyt długo.

- Chce pan powiedzieć, że jest pan skłonny zapłacić za hibernację tego zwierzaka?

- Chcę powiedzieć, że obydwaj pragniemy usnąć na długo. I proszę o nim nie mówić „ten zwierzak”, na imię ma Petroniusz.

- Przepraszam, sformułuję inaczej swoje pytanie. Czy chce pan uiścić stosowną opłatę za wynajęcie panu i... hm... Petroniuszowi komór hibernacyjnych w naszej firmie?

- Tak. Mogę sobie pozwolić nawet na opłatę specjalną. Możecie nas obu wpakować razem do jednej trumny. Przecież chyba nie chcecie stosować normalnej taryfy dla kota.

- Problem jest rzeczywiście niezwykły.

- To zrozumiałe. O cenie będziemy dyskutować później... z panem lub z Central

Valley, w zależności od tego, czy spełnicie moje wymagania.

- Hm... - Postukał palcami po stole. - Niech pan chwileczkę poczeka. - Podniósł słuchawkę i powiedział: - Opal, proszę połączyć mnie z doktorem Berguistem. - Reszty rozmowy już nie słyszałem. Za moment odłożył słuchawkę i roześmiał się, jakby otrzymał wiadomość o śmierci bogatego stryjka. - Mam dla pana dobrą nowinę! Zapomniałem zupełnie o tym, że pierwsze udane próby prowadzone były z kotami. Metody i wszystkie współczynniki dla kotów są więc od dawna znane. W laboratorium marynarki wojennej w Annapolis mają nawet kota, który żyje w anabiozie już ponad dwadzieścia lat.

- Myślałem, że laboratorium marynarki zostało zniszczone, gdy padł Waszyngton.

- Tylko budynki, a nie podziemne schrony. To... jeszcze jeden dowód doskonałości naszej metody - zwierzę przebywało ponad dwa lata bez ludzkiego dozoru, jedynie pod kontrolą automatów, a mimo to żyje, nie zestarzało się, nie zmieniło. Tak samo pan będzie żył przez dowolny czas, na jaki powierzy pan siebie firmie Mutual.

Miałem wrażenie, że robi znak krzyża.

- Dobrze, dobrze, przejdźmy lepiej do spraw finansowych.

Należało rozwiązać cztery problemy: po pierwsze, jaka będzie opłata za opiekę podczas snu; po drugie, na jak długi okres chcemy zasnąć; po trzecie, jakie są moje polecenia co do inwestowania pieniędzy podczas hibernacji, i końcowy - co się stanie, jeżeli nie wytrzymam i w ogóle się nie obudzę.

Zdecydowałem się na rok 2000 - piękna okrągła data i oddalona tylko o trzydzieści lat.

Bąłem się, że po dłuższej hibernacji nie będę umiał się przystosować. Zmiany, które nastąpiły w ostatnich trzydziestu latach (to znaczy za mojego życia), były dostatecznie duże, by człowiek mógł od tego zgłupieć. Dwie wielkie wojny światowe i tuzin mniejszych, lokalnych; upadek komunizmu, wielka panika, sztuczne satelity, energia jądrowa - kiedy byłem

chłopcem, nie istniały nawet multikryształy.

Może tak się stać, że cywilizacja roku dwutysięcznego będzie dla mnie niezwykle deprymująca. Gdybym jednak nie skoczył tak daleko, Belle nie miałyby dość czasu na wypielegnowanie przepięknej siateczki zmarszczek.

Kiedy uzgadnialiśmy, jak ulokować mój kapitał, nie wziąłem w ogóle pod uwagę obligacji państwowych i tym

podobnych przestarzałych inwestycji. Nasz system fiskalny ma wbudowany

mechanizm inflacyjny. Zdecydowałem pozostawić swoje akcje firmy Hired Girl, a gotówkę włożyć w akcje zakładów, które - jak przypuszczałem, opierając się na istniejących trendach - miały przed sobą przyszłość. Było dla mnie jasne, że nastąpi dalszy rozwój automatyki.

Wybrałem firmę z San Francisco produkującą nawozy sztuczne, która eksperymentowała z drożdżami i jadalnymi wodorostami - ludzi co roku przybywało i nie można było liczyć na to, że sznycle stanieją. Resztę pieniędzy umieściłem w funduszu powierniczym, kontrolowanym przez ubezpieczalnię.

Szkopuł tkwił w tym, co zrobić, gdybym rzeczywiście zmarł w hibernacji.

Ubezpieczalnia twierdziła, że mam szansę większą niż siedem do dziesięciu na przeżycie tych trzydziestu lat lodowatego snu... ale oczywiście liczyła się z obiema ewentualnościami.

Szanse nie były równe, czego zresztą nie oczekiwałem.

Każdy prawdziwy hazard wymaga procentu dla organizatora. Tylko oszuści twierdzą, że dają frajerom maksimum szans, a ubezpieczenie jest właśnie hazardem usankcjonowanym przez prawo. Nawet Lloyd w Londynie, najstarsza i najważniejsza firma ubezpieczeniowa na świecie, nigdy nie ukrywa, że przy każdej umowie zwiększa stawkę zysku jednej ze stron. Nie należy oczekiwać większej szansy niż na wyścigach; ktoś musi płacić w końcu za ubrania, które pan Powell daje szyć na miarę.

Zgodziłem się, że w razie mojej śmierci wszystko, do ostatniego centa, przejdzie na fundusz powierniczy firmy. Powell mało mnie nie wyczałował, ja zaś zacząłem wątpić w realność szansy siedem do dziesięciu. Nie zmieniłem jednak postanowienia, ponieważ w ten sposób stawałem się potencjalnym spadkobiercą (w przypadku gdybym przeżył) wszystkich, którzy podjęli tę samą decyzję (w przypadku ich śmierci). Rosyjska ruletka, gdzie zielone zbierze ten, kto przeżyje... a ubezpieczalnia i tak zgarnie swój procent.

Rozwazałem wszystkie możliwości, gwarantujące maksymalny zysk. Pan Powell kochał mnie miłością krupiera obsługującego frajera, który cały czas stawia na zero. Kiedy uzgodniliśmy, że za Pita zapłacę piętnaście procent taksy człowieka, zapalał równie gwałtownym uczuciem do mojego przyjaciela. Dodatkowa umowa została szybko podpisana przez obie strony.

Pozostał jeszcze problem zgody sądowej i badań lekarskich. Nie obawiałem się wyników kontroli - miałem wrażenie, że po podjęciu powyższych kroków na rzecz ubezpieczalni przyjęto by mnie i w ostatnim stadium dżumy. Przypuszczałem jednak, że uzyskanie zgody jakiegoś prawnika może potrwać dłużej. Było to konieczne, ponieważ zahibernowany klient jest z prawnego punktu widzenia żywy, ale bezsilny.

Moje obawy okazały się płonne. Pan Powell przedstawił mi do podpisu po cztery kopie dziewiętnastu różnych formularzy. Podpisywałem, aż złapał mnie skurcz palców.

Goniec odniósł wszystkie dokumenty, ja zaś w tym czasie udałem się do lekarza. Prawnika w ogóle nie widziałem.

Badania składały się z rutynowych męczących czynności, z wyjątkiem jednej. Doktor, który mnie badał, na końcu spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- Chłopcze, jak długo trwa już to picie?

- Picie?

- Tak, picie.

- Jak pan na to wpadł, doktorze? Jestem równie trzeźwy jak pan. Stół z powyłamywanymi nogami...

- Niech pan się nie zgrywa i odpowiada.

- Hmm... powiedziałbym... tak ze dwa tygodnie lub troszkę więcej.

- Pije pan regularnie? Ile razy w przeszłości miał pan tak długie ciągi?

- Prawdę powiedziawszy, jeszcze nigdy. Wie pan... Zacząłem mu opowiadać, co spotkało mnie ze strony Belle i Milesa i dlaczego czuję się tak, jak się czuję. Przerwał moją opowieść uniesieniem dłoni.

- Niech pan posłucha. Mam dość własnych problemów i nie jestem psychiatrą.

Właściwie interesuje mnie tylko to, czy pańskie serce wytrzyma szok spowodowany spadkiem temperatury do czterech stopni Celsjusza. Jestem pewien, że tak. Zazwyczaj nie dbam o przyczyny chęci włożenia do tej dziury. Tylko resztką sumienia zawodowego nie pozwala mi wpuścić do jednej z tych trumien kogoś - nawet w najbardziej podłym nastroju - z mózgiem nasiąkniętym alkoholem. Proszę się odwrócić.

- Po co?

- Dam panu zastrzyk.

Obróciłem się i poczułem lekkie ukłucie w lewy pośladek.

Pomacałem to miejsce, a lekarz kontynuował:

- Proszę wypić ten płyn. Mniej więcej za dwadzieścia minut będzie pan trzeźwiejszy, niż był pan przez ostatni miesiąc. Potem, jeżeli zostało panu jeszcze trochę oleju w głowie - o czym śmiem wątpić - może pan zastanowić się nad swoją sytuacją i zdecydować, czy uciec przed problemami, czy zacząć z nimi walczyć jak przystoi prawdziwemu mężczyźnie.

Wypiłem do dna.

- To wszystko, może się pan ubrać. Podpiszę dokumenty, ale ostrzegam pana, że swoją zgodę mogę cofnąć nawet w ostatniej minucie. Oczywiście alkohol nie wchodzi w rachubę, lekka kolacja... śniadania proszę nie jeść. Jutro o dwunastej powinien się pan stawić na ostatnią kontrolę.

Poszedł sobie i nawet mnie nie pożegnał.

Ubrałem się szybko i wypadłem z gabinetu, kipiąc z wściekłości. Powell miał już przygotowany komplet papierów. Kiedy je zabierałem, odezwał się:

- Jeżeli pan chce, może je pan zostawić tutaj i wziąć jutro w południe... to znaczy ten komplet, który zabiera pan ze sobą do schowka.

- A co się stanie z pozostałymi?

- Jeden komplet zostaje u nas. Potem, gdy będzie pan już pod naszą opieką, prześlemy drugi do sądu, a trzeci do archiwum w Carlsbad. Nawiasem mówiąc, czy doktor uczulił pana na dietę?

- Tak, w dostatecznym stopniu. Spojrzałem w formularze, by ukryć złość. Powell wyciągnął rękę.

- U mnie będą bezpieczne przez całą noc. Przysunąłem je do siebie.

- U mnie również. Może będę chciał coś zmienić.

- Hm, na to jest już trochę za późno, panie Davis.

- Proszę mnie tylko nie ponaglać. Jeżeli dokonam zmian, przyjdę wcześniej.

Otworzyłem torbę i wsadziłem papiery do bocznej kieszeni, tuż obok Pita.

Przechowywałem tam cenne dokumenty już wcześniej i choć nie tak bezpieczne jak w państwowym archiwum w carlsbadzkich jaskiniach, były pilnowane lepiej, niż wam się wydaje. Jakiś łobuz próbował kiedyś coś stamtąd wyciągnąć - na pewno jeszcze do dzisiaj ma blizny po zębach i pazurach Pita.

ROZDZIAŁ DRUGI

Samochód stał na parkingu przy placu Pershinga. Wrzuciłem kilka monet do parkometru, nastawiłem sterowanie na zachodnią wylotową, wyjąłem Pita, ułożyłem go na siedzeniu, po czym sam wyciągnąłem się wygodnie. Przynajmniej taki miałem zamiar. W Los Angeles samochody pędziły zbyt szybko, bym mógł czuć się pewnie przy automatycznym kierowcy. Z chęcią zmieniłbym całą instalację - tak naprawdę wcale nie była nowoczesna i niezawodna. Kiedy dojeżdżaliśmy do Western Avenue, mogłem już wrócić na ręczne sterowanie. Byłem cały w nerwach i miałem cholerną ochotę wpaść gdzieś na jednego.

- Pit, widzę prawdziwą oazę.

- Mrrr?

- Tuż przed nami.

Gdy szukałem miejsca do zaparkowania - Los Angeles nie musi bać się inwazji, ponieważ najeźdźcy nie mieliby gdzie zaparkować - przypomniałem sobie polecenie doktora, że wara mi od alkoholu. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się nad tym, co może mi pan doktor zrobić i w jaki sposób może sprawdzić, czy zachowałem abstynencję przez 24 godziny. Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że kiedyś wpadł mi w ręce fachowy artykuł na ten temat, ale przejrzałem go po łepkach, bo nie wchodził w zakres moich ówczesnych zainteresowań. Do licha, ten doktorek był naprawdę zdolny udaremnić mi długi zimny sen.

Lepiej grać na pewniaka i dać sobie spokój z piciem.

- Teraz? - zapytał Pit.

- Za moment. Dalej znajdziemy jakiś zajazd.

Nagle uświadomiłem sobie, że właściwie w ogóle nie chce mi się pić, tylko jeść i spać. Doktorek miał rację - byłem trzeźwiejszy i czułem się lepiej niż przez wszystkie poprzednie tygodnie. W tym zastrzyku może była tylko witamina B, ale - cokolwiek to było -

miało piorunujące działanie.

Znaleźliśmy

przyzwoity

bar.

Zamówiłem

kurczaka

dla

siebie

i

(ćwierćkilogramowego) hamburgera z odrobiną mleka dla Pita. Zanim podano,

wyskoczyliśmy na krótką przechadzkę.

W takich przydrożnych restauracjach jadaliśmy często, ponieważ nie musiałem

przemycać Pita do środka i z powrotem. Po pół godzinie wyprowadziłem samochód z

ruchliwego kręgu pojazdów, zatrzymałem się, zapaliłem papierosa, podrapałem Pita pod

brodą i zamyśliłem się.

Dan, miły chłopcze, ten doktor miał rację: masz szczerą chęć utopić siebie i swoje

kłopoty w butelce. Ten twój spiczasty łeb może by tam wszedł, ale dla ramion szyjka na

pewno będzie za wąska. Teraz jesteś zupełnie trzeźwy, brzuch masz pełny i po raz pierwszy

od kilku tygodni dobrze trawisz. Czujesz się znacznie lepiej.

I co dalej? Czyżby doktor miał rację również we wszystkich innych sprawach?

Czyżbyś był tylko zapłakany dzieciakiem? Nie masz odwagi zmierzyć się z czymś, co ci się

nie powiodło? Dlaczego postępujesz tak a nie inaczej? Zachciewa ci się przygody? Czy

próbujesz uciec sam przed sobą i chowasz głowę w piasek jak struś?

Ale ja chcę to zrobić, przekonywałem sam siebie, rok 2000 wart jest zachodu!

W porządku, zrób to, nie zostawiaj jednak nie załatwionych spraw!

Oczywiście, oczywiście! - tylko jak mam je załatwić?

Już nie pożądam Belle. Po tym, co zrobiła, całkiem mi obrzydła. A jakie mam inne wyjście? Oskarżyć i podać ich do sądu? Nie bądź durniem, nie masz żadnych dowodów - a poza tym tego rodzaju sprawy wygrywają na ogół prawnicy, a nie ich interesanci. Pit zamruczał.

Spojrzałem z góry na jego pokryty bliznami, nieforemny łepiek. Kot nie wniósłby nigdy na nikogo skargi do sądu. On to załatwiał inaczej. Kiedy nie podobały mu się przyszyryżone faworyty któregoś z pobratymców, wychodził z nim na dwór i tam walczył jak kocur z kocurem.

- Masz chyba rację, Pit. Odwiedzę naszego przyjaciela Milesa, urwę mu łapę i będę tłukł go tak długo, aż wykrztusi z siebie to, co wie. Sen może jeszcze trochę poczekać.

Najpierw musimy się dowiedzieć, czyj to był pomysł, żeby nas tak wymanewrować.

Szybko znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do Milesa. Poprosiłem, żeby czekał na mnie w domu.

Ojciec dał mi imiona Daniel Boone. Był to dla niego jeden ze sposobów głoszenia zasady wolności osobistej i niezależności. Urodziłem się w roku 1940, w czasie gdy wszem i wobec oznajmiono, że padł mit jednostki jako podstawy społeczeństwa, a przyszłość należy do przeciętnego obywatela. Tata nie chciał temu dać wiary i dlatego moje imiona były wyrazem jego krnąbrnego oporu wobec nowych idei. Zmarł w Północnej Korei wskutek prania mózgu, gdyż nieopatrznie usiłował udowodnić swoją tezę do samego końca.

Gdy wybuchła Sześciotygodniowa Wojna, miałem dyplom inżyniera mechanika w kieszeni i byłem w wojsku. Nie próbowałem wykorzystać tytułu naukowego, aby uzyskać stopień oficerski, ponieważ wśród cech odziedziczonych po ojcu znalazły się nieodparta chęć

pozostania panem samego siebie, pogarda dla wydawania rozkazów i wstręt przed ich wykonywaniem. Słowem, moim zamiarem było odsłużyć co trzeba, i trzymać się z daleka od tej instytucji.

Kiedy zimna wojna rozgorzała na dobre, stacjonowałem jako technik w randze sierżanta w Ośrodku Zbrojeniowym Sandia w Nowym Meksyku. Ładowałem atomy do bomb atomowych i snułem projekty przyszłego życia w cywilu.

W dniu gdy Sandia zniknęła z powierzchni ziemi, załatwiałem świeżą dostawę tej ohydy w Dallas. Chmura radioaktywna poszybowała ku Oklahoma City, więc przeżyłem i mogłem korzystać z przywilejów kombatanta.

Pit przeżył dzięki podobnemu przypadkowi. Miałem kumpla, Milesa Gentry'ego, rezerwistę powołanego do służby czynnej. Ożenił się z wdową z dzieckiem, która zmarła, gdy został ponownie wcielony do wojska. Mieszkał niedaleko koszar w Albuquerque, kątem u dalekiej rodziny, by jego przybrana córka Frederica miała jakiś dom. Mała Ricky (nigdy nie nazywaliśmy jej Frederiką) troszczyła się o Pita. Dzięki kociej bogini Bubastis, Miles, Ricky i Pit wyjechali podczas tego straszego weekendu na urlop - Ricky wzięła ze sobą Pita, który nie mógł jechać ze mną do Dallas.

Fakt, iż mieliśmy ukryte dywizje w Thule i w kilku innych miejscach, gdzie nikt ich się nie spodziewał, zaskoczył mnie tak samo jak innych. Już od lat trzydziestych było wiadomo, że można ochłodzić ludzkie ciało do temperatury, w której ustają prawie wszystkie czynności życiowe. Do Sześciotygodniowej Wojny stanowiło to tylko ciekawostkę laboratoryjną lub ostateczną formę terapii. Wojskowym laboratoriom wystarczy dać odpowiednich ludzi i pieniądze, a wyniki przyjdą w odpowiednim czasie. Trzeba jedynie wyasygnować kolejny miliard, zatrudnić armię naukowców i oczekiwać, aż w niewiarygodny, niemożliwy i nieefektywny sposób pojawi się odpowiedź. Stagnacja, zimny sen, hipotermia,

zwolniony metabolizm... mówcie co chcecie, a pracujące na tyłach zespoły badawcze znalazły metodę wkładania do lodówek ludzkich konserw i opracowały system wykorzystania tych mrozonek w razie potrzeby. Obiekt doświadczenia zostaje nakarmiony narkotykami, zahipnotyzowany, oziębiony i utrzymywany w temperaturze czterech stopni Celsjusza, co odpowiada maksymalnej gęstości wody nie przechodzącej w stan stały. Gdy konieczny jest jego powrót do normalnego życia, za pomocą diatermii i posthipnotycznych bodźców można to zrobić w dziesięć minut (w Nome dowiedli, że wystarczy siedem), ale wtedy tkanki starzeją się w przyspieszonym tempie, co czasami powoduje nieodwracalne zmiany psychiczne. Dlatego zalecany czas „wskrzeszania” nie powinien być krótszy niż dwie godziny. Szybsza metoda określana jest przez profesjonalistów mianem „wkalkulowanego ryzyka”.

Całe przedsięwzięcie było dosyć ryzykowne, ale pozwoliło nam wygrać wojnę, a Milesowi i mnie założyć firmę mniej więcej w tym samym czasie, gdy ubezpieczalnie zaczęły sprzedawać zimny sen.

Na pustyni Mojave zorganizowaliśmy w odkupionym od lotnictwa wojskowego budynku małą fabryczkę i wykorzystując mój talent techniczny oraz prawniczo-handlowe doświadczenie Milesa, wspólnym wysiłkiem zaczęliśmy produkować „Dziewczynę na posługi”. A ściśle mówiąc, to ja wynalazłem „Dziewczynę na posługi” oraz wszystkich jej krewnych, „Czyściocha Williego” i innych, choć moje nazwisko nie figuruje na żadnym z dokumentów patentowych.

Podczas służby w wojsku zastanawiałem się ciągle, co może robić inżynier mechanik.

Pracować dla firm takich jak Standard Oil, du Pont albo General Motors? Za trzydzieści lat urzędzą mu wieczorek pożegnalny i wyślą na emeryturę. Nigdy nie zabraknie mu na obiad lub kolację, mnóstwo czasu spędzi w firmowych samolotach, ale nigdy nie będzie panem samego

siebie.

Może też pójść na posadę państwową - dobra pensja na początek, dobra emerytura, żadnych kłopotów, trzydzieści dni urlopu rocznie i mnóstwo innych plusów. Tylko że ja właśnie skończyłem taki długi państwowy urlop i chciałem stać się niezależny. Czyżby mechanik był skazany na sześć milionów godzin pracy do momentu wypuszczenia pierwszego modelu na rynek? Ford i bracia Wright zaczynali w warsztacie rowerowym, nie mając wielkiego kapitału. Ludzie twierdzili, że te czasy dawno już minęły, ale ja w to nie wierzyłem.

Automatyzacja rozwijała się w szalonym tempie - linie chemiczno technologiczne, które wymagały obsługi dwóch kontrolerów i jednego konserwatora; urządzenia, które w jednym mieście wypuszczały bilet, a w sześciu innych stemplowały go i sprzedawały; stalowe krety, drążące węgiel na oczach spokojnie przyglądających się chłopców z United Mine Workers. Dopóki byłem na liście wypłat Wujka Sama, postanowiłem dowiedzieć się wszystkiego o nowoczesnej elektronice, technice, łączności i cybernetyce w zakresie dozwolonym przez moją kartę weryfikacyjną „Q”.

Co zostanie poddane automatyzacji na szarym końcu?

Odpowiedź: gospodarstwo domowe. Celowo nie próbowałem stworzyć w pełni „naukowego” gospodarstwa. Kobietom to nie odpowiadało, im w zupełności wystarczała lepiej wypolerowana jaskinia. Panie domu zawsze skarżyły się na problemy ze służbą i to nawet w czasach, gdy służący stali się gatunkiem spotykanym równie często jak mastodonty. Właściwie nie znałem gospodyni, która nie miałaby w sobie czegoś z niewolnicy, i wszystkie prawdopodobnie myślały, że nie można się obejść bez pucułowatej wiejskiej dziewczyny, wdzięcznej za możliwość czternastogodzinnego szorowania podłogi, żywiącej się resztkami obiadu, zadowolonej z pensji, która nie zadowoliliby nawet pomocnika instalatora.

Dlatego też nazwałem swoje monstrum „Dziewczyną na posługi” - nazwa sugerowała półniewolnicę, dziewczynę przybyłą nie wiadomo skąd, taką, którą kiedyś dyrygowała babcia.

W rzeczywistości był to ulepszony odkurzacz; chcieliśmy sprzedawać go po cenie konkurencyjnej dla standardowych elektroluksów.

„Dziewczyna na posługi” (pierwszy model, nie ten półinteligentny robot, produkowany przez nas znacznie później) musiała jedynie czyścić podłogi... jakiegokolwiek podłogi, przez cały dzień, bez nadzoru. A jak dotąd nie ma nigdzie takiej podłogi, która nie wymagałaby czyszczenia.

„Dziewczyna” zamiatała, wycierała, odkurzała lub polerowała - wszystko według polecenia zakodowanego w pamięci. Podnosiła z podłogi wszelkie przedmioty większe niż główka od szpilki i umieszczała na górnej części swojej obudowy, tak by ktoś mądrzejszy od niej zdecydował, czy znalezioną rzecz schować, czy wyrzucić. Cały dzień cicho kręciła się po pokojach, szukając brudu czujnikami optycznymi, którym nic nie mogło umknąć; ślizgała się po czystych parkietach w nie kończącym się poszukiwaniu brudnych. Kiedy natknęła się na ludzi, uciekała jak dobrze wyszkolona służąca, dopóki nie podeszła do niej właścicielka i nie ustawiła odpowiedniego przełącznika, pozwalającego biedaczce kontynuować pracę. Pod wieczór wracała zawsze na swoje „posłanie” i tam błyskawicznie ładowała akumulatory - póki nie zainstalowaliśmy w niej wiecznej baterii.

Między pierwszym modelem „Dziewczyny na posługi” a odkurzaczem nie istniało wiele różnic. Jednak główna zaleta - to, że robot sprzątał bez nadzoru - wystarczyła, byśmy znaleźli nabywców.

Podstawowy schemat oparłem na idei „elektrycznego żółwia”, o którym wygrzebałem artykuł z końca lat czterdziestych w Scientific American. Obwód pamięciowy skopiowałem z

mózgu zdalnie sterowanej strzały (ściśle tajne zabawki nie podlegają prawu patentowemu), a urządzenia czyszczące i procesy łączenia wybrałem z całej masy różnych rzeczy, od froterki do podłóg wojskowych szpitali, przez automat na oranżadę, po „rękę” używaną w fabrykach atomowych do chwytania wszystkiego co „gorące”. Nie było w tym nic rewelacyjnego, oryginalny był tylko sposób, który połączył te wszystkie elementy. Ta „iskra geniuszu”, której wymagają nasze przepisy, polegała jedynie na znalezieniu właściwego specjalisty od praw patentowych.

Niepowtarzalność naszego wyrobu wynikała z techniki produkcji; cały robot mógł być wykonany ze standardowych elementów, zamówionych według katalogu Sweeta - z wyjątkiem dwóch trójwymiarowych woreczków i jednego obwodu scalonego. Jego produkcję powierzyliśmy innej firmie, natomiast sami zajęliśmy się wytwarzaniem woreczków w szopie, zwanej szumnie „fabryką”, wyposażonej w automaty z wojskowego demobilu.

Na początku uruchomiliśmy razem - Miles i ja - całą linię montażowi, od śrubek aż po oczyszczacz powierzchni. Prototyp kosztował 4317 dolarów i 9 centów, pierwsza setka niewiele ponad 39 dolarów za sztukę, a sprzedawaliśmy je po 60 dolarów domowi towarowemu w Los Angeles, który podwyższał cenę do 85 dolarów. Pierwszą partię zresztą musieliśmy sprzedawać w komisie, żeby ją w ogóle sprzedać, nie mieliśmy bowiem ani centa na reklamę, a zanim pojawiły się pierwsze pieniądze, o mało nie umarliśmy z głodu. Potem Life opublikował dwustronicowy artykuł o „Dziewczynie na posługi”... i trzeba było na gwałt szukać pomocy, by szybko montować to monstrum.

Belle Darkin przyłączyła się do nas zaraz po doniesieniach prasowych. Do tej pory całą korespondencję pisaliśmy na archaicznym underwoodzie, rocznik 1908. Zatrudniliśmy Belle jako maszynistkę i księgową, wypożyczyliśmy elektryczną maszynę do pisania z ozdobnymi czcionkami i węglową taśmą, ja zaś zaprojektowałem znak firmowy, który zaczęliśmy

umieszczając na naszej korespondencji. Cały dochód pchaliśmy w fabrykę, ja z Pitem spałem w warsztacie, a Miles z Ricky w domku nie opodal. Spółkę akcyjną założyliśmy dla samoobrony. Potrzebne były trzy osoby - daliśmy Belle udział w akcjach i mianowaliśmy ją sekretarką oraz skarbnikiem. Miles był prezesem i generalnym dyrektorem, ja głównym inżynierem i prezesem rady nadzorczej... z pięćdziesięciopięcioprocentowym udziałem w akcjach.

Chętnie wyjaśnię, dlaczego zostawiłem kontrolę w swoich rękach. Nie byłem chciwy, po prostu chciałem pozostać niezależny. Miles pracował jak szatan - muszę mu to przyznać. Ale więcej niż sześćdziesiąt procent oszczędności, z którymi zaczynaliśmy, należało do mnie, jak również sto procent wynalazczości i techniki twórczej. Miles nigdy nie zdołałby skonstruować „Dziewczyny na posługi”, natomiast ja mógłbym to zrobić z każdym innym partnerem lub w ogóle sam - tyle że prawdopodobnie nie zarobiłbym wtedy żadnych pieniędzy. Miles był biznesmenem, ja nie.

Chciałem jednak zapewnić sobie kontrolę nad warsztatem. Milesowi zostawiłem swobodę w sprawach handlowych... jak się później okazało, zbyt dużą.

Pierwszy model „Dziewczyny na posługi” cieszył się takim wzięciem jak piwo na meczu piłki nożnej, ja zaś miałem pełne ręce roboty z udoskonalaniem, przygotowaniem prawdziwej linii montażowej i wyszukaniem specjalisty, który odpowiadałby za sprawy czysto produkcyjne. Gdy go znalazłem, mogłem ze spokojną głową zająć się wymyślaniem następnych modeli maszyn.

Zastanawiające, jak mało efektywnego wysiłku wkładano do tej pory w próby ulżenia doli gospodyń domowych, chociaż ich praca stanowi przynajmniej pięćdziesiąt procent wszelkiej pracy na całym świecie. KobiECE czasopisma wprawdzie pisały o ułatwieniach w pracy domowej i o „funkcjonalnych kuchniach”, lecz była to tylko czcza gadanina. Zdjęcia

przedstawiały wzorowe mieszkania, ich funkcjonalność, estetykę, ładne zestawienia kolorów, lecz w gruncie rzeczy te wnętrza niewiele różniły się od komnat z czasów Szekspira.

Rewolucyjne przejście od konia do odrzutowca nie dokonało się jeszcze w gospodarstwie domowym.

Byłem przekonany, że panie domu to konserwatystki. Żadnych skomplikowanych urządzeń -jedynie takie, które zastąpiłyby domową służbę, to znaczy sprzątały, gotowały i opiekowały się dziećmi.

Zacząłem myśleć o brudnych oknach i o zaciekach na wannie. Aby ją wyczyścić, trzeba zgiąć się wpół. Okazało się, że elektrostatyczny przyrząd likwiduje wszelki brud z wanny w ciągu minuty. To dotyczyło i szyb okiennych, sedesów, zlewów - tak powstał „Czyscioch Willie”. Nie do wiary, że nikt wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Trzymałem mojego „Czysciocha” w odwodzie tak długo, aż osiągnął przystępną cenę, a ludzie nie mogli odmówić sobie jego kupna. Czy wiecie, ile przedtem płacono za godzinę mycia okien?!

Puściłem „Williego” do produkcji znacznie później, niż Miles sobie życzył. On uważał, że należy zacząć sprzedaż w chwili, gdy robot stał się odpowiednio tani, ale ja trwałem przy swoim: naprawa „Williego” musi być zupełnie prosta. Wielkim minusem większości urządzeń gospodarstwa domowego było to, że im były doskonalsze i więcej czynności wykonywały, tym częściej się psuły w chwili, gdy najbardziej ich potrzebowano. A przecież fachowiec reperujący sprzęt gospodarstwa domowego wystawia słone rachunki, każąc sobie płacić pięć dolarów za godzinę.

A następna awaria za tydzień. Jeśli nie zmywarka naczyń, to centralne ogrzewanie... zazwyczaj w sobotę wieczór, kiedy na dworze szaleje burza śnieżna.

Chciałem, by moje urządzenia działały niezawodnie i nie były przyczyną wrzodów żołądka u ich właścicieli. Maszyny mają jednak tendencję do psucia się, nawet i te moje.

Dopóki nie nadejdzie ten wielki dzień, w którym skonstruuje się urządzenie nie wymagające żadnych części wymiennych, w eksploatację trzeba wkalkulować kłopoty. Jeżeli napełnisz dom takimi zabawkami, możesz być pewny, że zawsze któraś z nich będzie nieczynna.

Wojsko uporało się z tym problemem przed wielu laty. Nie można po prostu przegrać bitwy, stracić tysięcy lub milionów ludzi i wreszcie przegrać całej wojny tylko dlatego, że zepsuje się jakaś zabaweczka nie większa niż palec. Aby sprostać wymaganiom wojskowym, przygotowano mnóstwo rozwiązań tego problemu - bezpieczniki wszelkiego typu, zapasowe obwody, systemy trzykrotnego zabezpieczenia i tak dalej. Jednym z pomysłów, które mogłem zastosować w cywilnym gospodarstwie, była zasada wymienialności całych podzespołów.

Jest to idiotycznie prosta idea: nie naprawiać, tylko wymienić. Chciałem, żeby każdy podzespół „Czyściocha Williego”, który mógłby ulec uszkodzeniu, był wymienialną jednostką i żeby do każdego sprzedawanego robota dołączać komplet części zamiennych.

Niektóre podzespoły po awarii nadadzą się tylko do wyrzucenia, inne do naprawy, ale sam „Willie” nigdy nie będzie stał bezczynnie dłużej, niż trwa wymiana uszkodzonej części.

Miles i ja posprzeczaaliśmy się wtedy po raz pierwszy. Twierdziłem, że rozstrzygnięcie o terminie przejścia od prototypu do produkcji należy do kompetencji głównego konstruktora, natomiast on uważał, że leży to w gestii działu handlowego. Gdybym nie miał decydującego głosu, „Willie” wszedłby na rynek, gdy zdarzały się mu ostre ataki wyrostka prawie tak często jak innym chybionym urządzeniom.

Pogodziła nas Belle Darkin. Gdyby naciskała, uległbym prawdopodobnie sugestiom

Milesa i zgodził się na rozpoczęcie sprzedaży „Williego”, zanim doszedłem do przekonania, że jest naprawdę gotowy. Przyczyna była prozaiczna: zakochałem się w Belle po uszy tak jak to tylko potrafi mężczyzna.

Belle nie była jedynie doskonałą sekretarką prowadzącą kancelarię. Miała ponadto

proporcje ciała, którymi zachwycaliby się i Praksyteles, oraz zapach, który działał na mnie jak woń kotki na Pita.

Na rynku brakowało fachowych sił kancelaryjnych, powinno nas więc dziwić, że jedna z najlepszych przedstawicielek tego zawodu skłonna jest pracować dla firmy ledwo trzymającej się przy życiu, i to za pensję o wiele niższą, niż płacono gdziekolwiek indziej. Byliśmy jednak tak szczęśliwi, że zajmie się powodzią papierków, która zalała nas po wprowadzeniu „Dziewczyny” do eksploatacji, że nawet nie wpadło nam do głowy zapytać, gdzie poprzednio pracowała.

Później zabrnąłem tak daleko, że zaprotestowałem gwałtownie przeciwko jakiegokolwiek próbie sprawdzenia Belle, gdyż wymiary jej biustu znacznie ograniczyły moje zdolności zdrowego myślenia.

Pozwoliła mi się zwierzać, jak samotne życie prowadziłem do czasu, gdy się w nim pojawiła, i delikatnie dawała do zrozumienia, że musi mnie lepiej poznać, ale wszystko wskazuje na to, iż jej uczucia biegną tymi samymi torami. Wkrótce po tym, gdy pogodziła mnie z Milesem, obiecała, że złączy swój los z moim na dobre i na złe.

- Dan, kochanie, będziesz kiedyś wielkim człowiekiem... a ja - mam nadzieję - jestem tą kobietą, która ci pomoże.

- Na pewno.

- Kochanie, ale ślub weźmiemy później. Nie chcę w tej chwili wychodzić za mąż, obarczać cię dziećmi i jeszcze większymi kłopotami. Teraz będę z tobą pracować i pomagać ci w prowadzeniu firmy. Pobierzemy się później.

Protestowałem, ale była nieustępliwa.

- Nie, mój drogi. Dojdziemy razem daleko, ty i ja. Firma Hired Girl będzie tak sławna jak General Electric. Kiedy się połączymy węzłem małżeńskim, chcę zapomnieć o interesach

i poświęcić się tylko twojemu szczęściu. Najpierw jednak muszę zadbać o twój byt i twoją przyszłość. Wierz mi, najmilszy!

Wierzyłem jej. Nie pozwoliła mi na kupno drogiego pierścionka zaręczynowego; zamiast niego jako dar zaręczynowy ofiarowałem jej część swoich akcji. Kiedy teraz o tym myślę, nie jestem pewny, kto właściwie wpadł na ten pomysł.

Pracowałem jeszcze gorliwiej niż przedtem, oddałem się projektowaniu samo opróżniających koszy na odpadki i zmywarek układających samoczynnie czyste już naczynia na miejsca. Wszyscy byliśmy zadowoleni... wszyscy z wyjątkiem Pita i Ricky. Pit ignorował Belle, tak jak ignorował wszystko, z czym się nie zgadzał, a czego nie mógł zmienić; Ricky była jednak naprawdę nieszczęśliwa.

Wina leżała wyłącznie po mojej stronie. Ricky była „moją dziewczynką” od chwili, gdy skończyła sześć lat. We włosach nosiła kokardy i miała wielkie, poważne, ciemne oczy.

Czekaliśmy, aż dorośnie, wtedy „miałem poprosić o jej rękę” i wspólnie mieliśmy troszczyć się o Pita. Ot, dobra zabawa dla obojga, i możliwe, że tak było w istocie. Ricky jednak traktowała ją poważnie już choćby dlatego, że dzięki niej mogła opiekować się naszym kocurem. Zresztą, jak można sprawdzić, co naprawdę dzieje się w dziecięcej główce?

Jeśli chodzi o dzieci, nie jestem nadmiernie sentymentalny. Są to w większości małe zwierzątka, które nie dają się cywilizować, dopóki nie dorosną, choć i wtedy nie jest to takie proste. Mała Frederica przypominała mi jednak moją siostrę, w dodatku kochała Pita i umiała go wziąć pod włos. Mnie lubiła chyba dlatego, że nigdy nie rozmawiałem z nią jak z maluchem (sam, będąc dzieckiem, nie znosiłem tego) i traktowałem poważnie wszystkie jej wyczyny skautowskie. Ricky była pierwsza klasa - miała w sobie jakieś dostojeństwo, nigdy nie histeryzowała, nie płakała i nie narzekała. Byliśmy kumplami, ponosiliśmy wspólną odpowiedzialność za Pita, a gdybym miał ściślej określić charakter znajomości z „moją

dziewczynką", powiedziałbym, że była to tylko skomplikowana gra, w którą graliśmy oboje.

Przestałem angażować się w tę zabawę w dniu, gdy zbombardowano nasz dom, a ja straciłem matkę i siostrę. Nie było to świadome postanowienie - po prostu nie miałem nastroju do żartów i później już nigdy do tego nie wróciliśmy. Ricky miała wtedy siedem lat.

Kiedy zaangażowaliśmy Belle - dziesięć, a jedenaście, gdy się zaręczyłem. Tylko ja uświadamiałem sobie, jak wielką nienawiścią Ricky darzyła Belle, chociaż dziewczynka wyrażała swoje uczucia jedynie w niechęci do rozmów z nią. Belle z kolei tłumaczyła to nieśmiałością Ricky, a Miles chyba uważał podobnie.

Ja jednak wiedziałem, co się za tym kryje, i chciałem uświadomić Ricky, że tak się nie robi. Próbowaliście kiedyś porozmawiać z dzieckiem o sprawach, o których ono samo nie chce mówić? Lepszy efekt osiągnie się wrzeszcząc w Echo Canyon. Wmówiłem sobie, że problem sam zniknie, gdy Ricky przekona się, jak przemiła jest Belle.

Z Pitem sprawa miała się inaczej. Gdybym wtedy nie był ślepo zakochany, uznałbym jego zachowanie za znak, że Belle i ja nigdy się nie zrozumiemy. Belle „kochała” mojego kotka, oczywiście. Czyż mogło być inaczej? Ubóstwiała koty, kochała moją zarysowującą się łysinkę, podziwiała trafność wyboru restauracji, do których ją zapraszałem, i w ogóle podobało jej się wszystko, co miało jakikolwiek związek z moją osobą.

Jednak udawać miłość do kotów przed kimś, kto naprawdę je kocha, to wcale nie takie proste. Istnieją ludzie znajdujący od razu wspólny język z kotami. Inni - a jest ich prawdopodobnie większość - nie znoszą zwyczajnego, nieszkodliwego kota. Kiedy usiłują udawać z uprzejmości lub jakiegoś innego powodu, że jest właśnie na odwrót, zaraz wychodzi to na jaw, ponieważ nie wiedzą, jak się z kotem obchodzić - a koci protokół stawia większe wymagania od dyplomatycznego. Polega na poczuciu godności własnej i szacunku dla drugich, a jedno i drugie zabarwione jest iskierką szaleństwa, podobnie jak dignidad de

hombre - godność człowieka - w Ameryce Łacińskiej, gdzie ujma na honorze jest równoznaczna ze stawianiem na szali własnego życia.

Koty nie mają poczucia humoru, szalenie cenią swoją osobowość i należą do istot wielce drażliwych. Gdyby ktoś zapytał mnie, po co właściwie marnuję czas i troszczę się o nie, nie umiałbym podać konkretnej przyczyny. Chętniej wyjaśniłbym komuś, kto nie znosi ostrych serów, dlaczego „powinien je lubić”. Pomimo tego w pełni sympatyzuję z pewnym mandarynem, który, żeby nie obudzić kota śpiącego na jego ręku, obciął rękaw drogocennej szaty.

Belle usiłowała pokazać, że „kocha” Pita, traktując go jak psa... nic więc dziwnego, że ją podrapał. Pit jest przecież rozumnym kocurem. Uciekł od razu i długo nie pojawiał się w domu - co miało tę dobrą stronę, że nie oberwał po grzbiecie. Do tej pory jeszcze nigdy nie był bity, przynajmniej przeze mnie. Zbić kota to więcej niż bezsens, kota można wychować tylko cierpliwością, nigdy zaś siłą.

Przetarłem zadrapania Belle jodyną i spróbowałem jej wyjaśnić, że postąpiła niesłusznie.

- Martwi mnie to, co się stało, bardzo mnie martwi. Ale jeżeli będziesz dalej go tak traktowała, to się może powtórzyć!

- Przecież ja tylko go głaskałam!

- Hm, masz rację, ale takie pieszczoty powinny być przeznaczone raczej dla psa, nie dla kota. Kota nie możesz poklepywać, uznaje tylko gładzenie. Kiedy jesteś w zasięgu jego pazurów, nie rób gwałtownych ruchów i nie próbuj go dotknąć, dopóki nie zobaczy, że masz taki zamiar. A przede wszystkim... musisz cały czas patrzeć, czy ma ochotę na pieszczotki.

Jeśli nie, przez chwilę będzie je uprzejmie znosić. Koty są bardzo uprzejme. Ale kiedy zauważysz, że przestało go to bawić, sama przestań, bo skończy się jego uprzejmość. -

Zawahałem się. - Ty chyba nie lubisz kotów?

- Ależ skąd, co za bzdura! Oczywiście, że lubię. Brak mi po prostu doświadczenia w obcowaniu z nimi. Ta jest bardzo obraźliwa, prawda?

- Ten! Pit jest kocurem. I wcale nie jest taki skory do obrazy... zawsze traktowano go dobrze. Musisz nauczyć się jednak podejścia do kotów. Nie można na przykład nigdy się z nich śmiać.

- Co? Na Boga, dlaczego?

- Nie dlatego, żeby nie były śmieszne; często są bardzo komiczne. Nie mają jednak poczucia humoru i śmiech jest dla nich wielce obraźliwy. Kot nie podrapie cię z tego powodu, zniknie tylko i długo będzie cię unikał. Zresztą to wcale nie najważniejsze, większym problemem jest wziąć kota na ręce. Pokażę ci, jak Pit wróci.

Pit jednak nie wrócił szybko, przynajmniej wtedy nie, a ja nigdy nie

zademonstrowałem Belle, jak to się robi. Zresztą nigdy już nie spróbowała dotknąć Pita.

Przemawiała do niego i zachowywała się tak, jakby go lubiła, ale trzymała się od niego z daleka. Cała ta sprawa wyleciała mi z głowy; taki drobiazg nie mógł zrodzić wątpliwości, czy Belle rzeczywiście jest tą kobietą, która znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek innego, czy nie.

Problem Pita o mało nie wywołał kryzysu znacznie później. Dyskutowaliśmy z Belle o tym, gdzie będziemy mieszkać. Ciągle nie chciała wyznaczyć daty ślubu, choć roztrząsaniu podobnych szczegółów poświęciliśmy mnóstwo czasu. Ja chciałem postawić mały wiejski domek niedaleko fabryki, Belle preferowała miasto, dopóki nie będzie nas stać na willę w Bel-Air.

- Kochanie, to niepraktyczne. Muszę być blisko zakładu. A poza tym, czy próbowałaś opiekować się kotem w miejskich warunkach? - zapytałem.

- Ach tak, to cię boli. Widzisz, najdroższy, cieszę się, że o tym wspomniałeś. Dużo się o kotach dowiedziałam, naprawdę. Damy go wykastrować. Stanie się znacznie grzeczniejszy i w mieszkaniu będzie się zachowywał zupełnie spokojnie.

Wytrzeszczyłem na nią oczy, nie wierząc własnym uszom. Zrobić ze starego wojownika eunucha? Zmienić go w dekorację przy kominku?

- Belle, ty chyba nie wiesz, co mówisz?!

Próbowała uspokoić mnie starą znaną metodą „mamusia wie najlepiej” i sypała jak z rękawa argumentami, których używają ludzie nie rozróżniający kota od mebla czy innej dupereli... Że nie będzie go to bolało, że to tylko dla jego dobra, że ona wie, jak wysoko go cenię, i w życiu nie przyszłoby jej na myśl pozbawiać mnie takiego przyjaciela, i wreszcie że jest to szalenie proste, zupełnie bezpieczne i dla wszystkich wygodniejsze.

Przerwałem jej.

- Dlaczego nie zorganizujesz tego od razu dla nas obu?

- Jak to, kochanie?

- Dla mnie również. Byłbym bardziej posłuszny, nie wałęsałbym się wieczorami poza domem i nigdy nie sprzeczałbym się z tobą. Jak twierdzisz, operacja nie boli i prawdopodobnie byłbym znacznie szczęśliwszy.

Poczerwieniała.

- Opowiadasz głupstwa!

- Ty też!

Nigdy nie poruszyła po raz drugi tego tematu. Belle nie pozwalała sobie na to, by różnice w poglądach przeradzały się w kłótnie. Wycofała się i czekała na odpowiedni moment. Nigdy jednak nie wywiesiła białej flagi. W pewnym sensie przypominała bardzo

kota... i być może dlatego nie mogłem się jej oprzeć.

Byłem zadowolony, że to nieporozumienie skończyło się tak szybko, ponieważ pochłaniało mnie projektowanie „Uniwersalnego Franka”. „Willie” i „Dziewczyna na posługi” przynosili nam niezły dochód, ale mnie nurtowała ciągle jedna myśl: stworzyć doskonały, wszechstronny automat domowy - uniwersalnego służącego. W porządku, nazwijcie go robotem, choć moim zdaniem nadużywa się tego słowa, a ja nie miałem zamiaru konstruować mechanicznego człowieka.

Marzyła mi się maszyna, która potrafiłaby zrobić wszystko w gospodarstwie domowym - oczywiście sprzątać i ugotować, ale oprócz tego wykonywać bardziej złożone czynności, jak na przykład przewinąć dziecko lub wymienić taśmę w maszynie do pisania. Chciałem, by małżeństwo kupiło - powiedzmy za cenę dobrego samochodu - zamiast całej menażerii: „Dziewczyny na posługi”, „Czyściocha Williego”, „Wychowawczynie Velmy”, „Paula - chłopca na posyłki” i „Ogrodnika Zandy”, jeden mechanizm dorównujący chińskiemu służącemu, o którym wszyscy czytali, ale nikt takiego nigdy nie widział na oczy. Gdyby mi się to udało, wkroczylibyśmy w drugi etap emancypacji, uwalniający kobiety z wiecznego niewolnictwa. Chciałem obalić mit, że „kobieca praca nie ma końca ani początku”. Praca w domu - monotonna i zbyteczna harówka - była wyzwaniem rzuconym fachowi inżyniera.

1 temu wyzwaniu miał sprostać samotny konstruktor. Niezbędne zatem było, żeby prawie cały „Uniwersalny Frank” składał się ze standardowych części i nie wymagał za wiele pracy koncepcyjnej. Badania podstawowe to wysiłek ponad możliwości jednego człowieka, dlatego albo musiałem postawić na rozwój wcześniejszych dokonań, albo pozbyć się nadziei na sukces.

Na szczęście automatyka nie była „ziemią nieznaną”, istniało mnóstwo danych na

interesujący mnie temat, a ja sam nie marnowałem czasu, mając w kieszeni kartę „Q”. To, czego chciałem, nie było tak złożone jak programowanie zdalnie kierowanej strzały.

Jakimi umiejętnościami miał chlubić się „Uniwersalny Frank”? Musiał wykonać wszystko to, co robi człowiek w gospodarstwie domowym. Nie wymagałem od niego, by umiał grać w karty, kochać się, jeść albo spać, jednak powinien umieć sprzątnąć po partii pokera, ugotować, pościelić łóżka i zatroszczyć się o dzieci - przy- najmniej rejestrować regularność oddechu dziecka, by zareagować w razie wyraźnej zmiany. Zdecydowałem, że nie musi podnosić słuchawki telefonu, ponieważ ten trik wykorzystywała już któraś ze spółek telefonicznych. Nie musiał też bawić się w odzwierne, większość mieszkań wyposażona była w domofony.

Żeby jednak podołać wszystkiemu, czego od niego wymagałem, musiał mieć ręce, oczy, uszy i mózg... całkiem dobry mózg.

Ręce mogłem zamówić w firmach dostarczających urządzenia do zakładów atomowych. Kupowałem od nich ręce dla „Dziewczyny na posługi”, jednak tym razem potrzebowałem manipulatorów z serwomechanizmami o dużym zasięgu i precyzyjnym ujemnym sprzężeniu zwrotnym, wymaganym przy mikroanalizie i ważeniu radioaktywnych izotopów. Te same firmy mogły dostarczać oczy o prostej konstrukcji, ponieważ „Frank” nie potrzebował przy swoich manewrach przebijać wzrokiem kilku metrów betonowej obudowy reaktorów jądrowych.

Uszy mogłem kupić od którejkolwiek firmy elektrycznej - choć liczyłem się z tym, że moje rozwiązanie będzie wymagało zaprojektowania nowych obwodów, które by zapewniły jednoczesność wizualnego, dźwiękowego i dotykowego kierowania rękoma, osiągniętego przy użyciu sprzężenia zwrotnego, podobnego w zasadzie do działania rąk ludzkich.

Za pomocą tranzystorów i obwodów drukowanych nawet w małej przestrzeni można

zrobić dużo.

„Frank” nie musiał wchodzić na drabinę. Miał wyciągać szyję jak struś i rozczapierzać palce.

Zastanawiałem się, czy wyposażyć go w umiejętność poruszania się po schodach.

Istniał wózek inwalidzki, który schodził i wspinał się po stopniach. Może powinienem go kupić i użyć jako podwozia? W ten sposób wielkość prototypu ograniczyłaby się do rozmiarów krzesła inwalidzkiego, a waga do ciężaru przeciętnego pacjenta. Takie byłyby podstawowe parametry. Napęd i sterowanie podłączyłbym do mózgu „Franka”.

Z mózgiem miałem największe kłopoty. Można zbudować przyrząd o konstrukcji podobnej do ludzkiego szkieletu albo nawet i lepszy. Można wyposażyć go w dostatecznie elastyczny system sterowania i sprzężeń zwrotnych, tak by potrafił wbijać gwoździe, szorować podłogi i rozbijać jajka. Dopóki jednak nie ma między uszami takiej maszyny, jaką ma człowiek, nie jest człowiekiem, ba, nie jest nawet namiastką człowieka.

Na szczęście nie potrzebowałem ludzkiego mózgu; chciałem sprokurować jedynie posłusznego głupka, który byłby zdolny wykonywać powszednie, monotonne prace domowe.

Uratowały mnie pamięciowe lampy elektronowe Thorsena. Międzykontynentalne rakiety, posłane w odwecie na nieprzyjaciela, „myślały” dzięki tym właśnie podzespołom, a systemy kierowania ruchem drogowym w dużych miastach również używały jakichś prymitywnych ich wariantów. Nie ma sensu zajmować się teorią działania takiej lampy, bo nie wiem, czy nawet w Bell Laboratories umiałby ktoś powiedzieć, o co tu chodzi. Wystarczy wiedzieć, że pamięciową lampę Thorsena można włączyć do obwodu sterującego, używając ręcznego sterowania przeprowadzić danym urządzeniem jakąś operację, a lampa „zapamięta” wszystkie działania. Gdy chcemy czynność powtórzyć, raz tylko lub wielokrotnie, lampa pamięciowa kieruje przebiegiem operacji już bez nadzoru. W wypadku zdalnie sterowanej

rakiety i „Uniwersalnego Franka” trzeba dodać obwód rdzeniowy, zapewniający mechanizmowi „inteligencję”. Oczywiście nie jest to rozum w pełnym tego słowa znaczeniu (uważam, że maszyny nigdy nie będą inteligentne); obwód rdzeniowy stanowi właściwie podzespół wyszukujący, którego program brzmi: „Szukaj tego w ramach takiego a takiego ograniczenia, a gdy znajdziesz, wykonaj instrukcję podstawową”.

Podstawowa instrukcja może zawierać tyle rozkazów, wezwań i podinstrukcji, ile tylko da się wpakować do pojedynczej lampy pamięciowej Thorsena. Na szczęście zmieści się tam dużo. Można ją tak zaprogramować, że „obwody inteligencji” przerwą wykonywanie instrukcji podstawowej w cyklu za każdym razem, gdy będą to działania niezgodne z tym, co pierwotnie było wprowadzone do pamięci.

A zatem tylko raz pokazałem „Uniwersalnemu Frankowi”, jak sprzątać ze stołu, usuwać resztki jedzenia i wsadzać talerze do zmywarki. Od tej pory umiał sobie poradzić ze wszystkimi brudnymi naczyniami, jakie wpadły mu w ręce. Co ciekawsze - mogłem wpakować mu do głowy program „mycie naczyń” - „Frank” zaś, widząc je po raz pierwszy, brał się od razu do roboty... i nigdy nic nie stłukł.

Nie poprzestałem na jednej pamięci. Wpakowałem drugą lampę i „Frank” momentalnie nauczył się niańczyć dzieci. Nie było mowy, aby przewijając niemowlęta zostawił przez nieuwagę między pieluchami agrafkę lub coś w tym rodzaju.

Do nieforemnej głowy „Franka” weszło z łatwością sto lamp pamięciowych Thorsena - każda z programem innej czynności. Następnie wprowadziłem do układu „obwody inteligencji” i dodałem jeden obwód zabezpieczający, który nakazywał „Frankowi” zatrzymać się i wzywać pomocy, gdy spotka się z czymś, czego nie przewidują instrukcje.

Zbudowałem „Franka” na szkielecie samojezdnego wózka inwalidzkiego. Wyglądał jak skrzyżowanie wieszaka na kapelusze z ośmiornicą... ale, moi drodzy, powinniście go

widzieć przy szorowaniu garnków!

Miles obejrzał skrupulatnie prototyp, popatrzył, jak miesza i podaje martini, przesuwa się, wysypuje i czyści popielniczki (do pustych nawet się nie zbliżył), otwiera i zamyka okno, a następnie przejeżdża do biblioteki, odkurza i ustawia książki. Upił łyżeczek drinka i skrzywił się z niesmakiem:

- Za dużo wermutu.

- A ja tyle lubię. Możemy przecież tak ustawić program, by twoje koktajle mieszał w innych proporcjach, a moje w innych. Ma jeszcze mnóstwo nie wykorzystanej pamięci. To się nazywa elastyczność w obsłudze klienta.

Miles znowu pociągnął łyk.

- Kiedy będzie gotowy do produkcji?

- Z chęcią poświęciłbym mu jeszcze dziesięć lat.

Zanim zaczął stękać, dodałem: - Powinniśmy ruszyć prawdopodobnie za pięć lat.

- Bzdura! Dostarczymy ci wszystko, czego będziesz potrzebował, i pierwszy model wypuścimy za pół roku.

- Nie, mój drogi, nic z tego... To jest dzieło mojego życia. Nie puszcę go między ludzi, dopóki nie będzie absolutnie doskonały. Muszę zmniejszyć gabaryty, wyrzucić wszystko, co jest zbędne, z wyjątkiem lamp Thorsena i wymienialnych podzespołów. Czy wiesz, do jakiego stopnia jest uniwersalny?... Będzie umiał nie tylko wypuścić kota za drzwi i wykapać dziecko, ale nawet zagra z właścicielem w ping-ponga, jeżeli oczywiście klient będzie chciał zapłacić za dodatkowe programowanie.

Popatrzyłem na robota. „Frank” spokojnie ścierał kurz ze stołu, każdy papierek podnosił i odkładał na miejsce.

- Myślę, że nie miałoby sensu granie z nim w ping-ponga, nigdy by nie spudłował.

Ale można dodać obwód z generatorem losowym uderzeń, który nauczyłby go przegrywać.

Taak, myślę, że to jest możliwe. Zrobimy tak i będziemy mieli świetną reklamę! Jak w banku!

- Jeden rok, Dan, i ani dnia więcej. Wynajmę kogoś od Loewy'ego, żeby ci pomógł z modelem.

- Miles - przerwałem mu - kiedy wreszcie dojdzie do ciebie, że od konstrukcji szefem jestem ja?! Kiedy ci go przekażę, będzie twój... ale nie wcześniej.

- I tak będzie paprał drinki... - rzucił na odchodne Miles.

Przy pomocy mechaników z warsztatu bawiłem się z „Frankiem” tak długo, aż zaczął wyglądać mniej jak efekt czołowego zderzenia trzech samochodów, a bardziej jak coś, czym można się chwalić przed sąsiadami. W tym czasie usunąłem też mnóstwo niedociągnięć w systemie sterowania. Nauczyłem go głaskać Pita i drapać go pod brodą tak, że kocur przyjmował te pieszczoty z zadowoleniem - a proszę mi wierzyć, sprzężenie zwrotne wykorzystane w tej czynności musiało być tak precyzyjne jak technika stosowana w laboratoriach atomowych. Miles nie poganiał mnie, choć od czasu do czasu wpadał i obserwował, jak idą doświadczenia. Przeważnie pracowałem nocami, gdyż wieczory spędzałem z Belle, a ranki przesypiałem. Do firmy przyjeżdżałem późnym popołudniem, podpisywałem przygotowane przez Belle dokumenty, rzucałem okiem na postępy prac w warsztacie, po czym jechaliśmy na kolację. Do wieczora starałem się zbytnio nie przemęczać, ponieważ twórcza praca sprawia, że człowiek śmierdzi jak cap. Po nocy spędzonej w laboratorium jedynym stworzeniem, które potrafiło znieść mój zapach, był Pit.

Któregoś dnia, gdy wstawaliśmy od stołu, Belle spytała:

- Wracasz do warsztatu, najdroższy?

- Oczywiście. Dlaczego by nie?

- To dobrze. Miles będzie tam na nas czekał.

- Miles?

- Chce zwołać zebranie akcjonariuszy.

- Zebranie akcjonariuszy? Po co?

- Nie będzie to długo trwało. Prawdę powiedziawszy, kochanie, ostatnio w ogóle nie interesujesz się sprawami firmy. Miles chce omówić parę rzeczy i ustalić pewne zasady postępowania.

- Zajmuję się konstruowaniem. Co, do diabła, powinienem jeszcze robić?!

- Nic, nic, najmilszy. Miles mówił, że to nie będzie trwało długo.

- Co się dzieje? Może Jake nie daje sobie rady z linią montażową?

- Nie wiem, kochanie. Miles nie powiedział mi, o co chodzi. Dopij kawę i jedźmy.

Miles czekał na nas w fabryce i potrząsnął moją dłońią tak uroczyście, jakbyśmy się miesiąc nie widzieli.

- Miles, co się tutaj dzieje? - zapytałem. Obrócił się ku Belle.

- Przynieś nam umowę dotyczącą podziału obowiązków dyrekcji... Już w tym momencie powinienem był zorientować się, że Belle łągała twierdząc, iż nie wie, o co tu chodzi. Nie przyszło mi to jednak do głowy - przecież, do licha, wierzyłem Belle!

Moją uwagę przyciągnęło coś innego. Otóż Belle podeszła do sejfu, przekręciła pokrętła i otworzyła drzwi.

- Nawiasem mówiąc, kochanie - odezwałem się - wczoraj chciałem otworzyć kasę i nie udało mi się. Zmieniłaś kombinację?

Wyciągnęła papiery i nawet się nie odwróciła.

- Nie wspominałam ci o tym? Po fałszywym alarmie w zeszłym tygodniu straż domagała się zmiany szyfru.

- Aha... mogłabyś mi dać te nowe cyferki... W przeciwnym razie zadzwonię do

któregoś z was o jakiejś zwariowanej godzinie w środku nocy.

- Oczywiście.

Zamknęła sejf i położyła na stole cały plik papierów.

Miles kaszlnął i zarządził:

- Zaczynamy.

- Dobra - powiedziałem. - Kochanie, jeżeli to jest formalne zebranie, powinnaś chyba zrobić jakiś zapis... tak więc środa 18 listopada 1970, dwudziesta pierwsza dwadzieścia, wszyscy akcjonariusze obecni, wpisz tam nazwiska. Prezes rady nadzorczej: D. B. Davis.

Mamy coś z poprzedniego zebrania? - Nic nie było. - Doskonale, Miles, teraz kolej na ciebie.

Coś nowego?

Miles znowu kaszlnął.

- Chcę zrewidować politykę finansową, przedłożyć program rozwoju firmy i przedstawić radzie nadzorczej do rozważenia propozycję zdobycia nowych źródeł finansowania.

- Nowych źródeł finansowania? Nie mów głupstw. Pieniądzy mamy dość. Z każdym miesiącem konto rośnie. Co się z tobą dzieje, Miles? Nie wystarcza ci twój aktualny procent?

Możemy go trochę podnieść...

- Na nowy program nie mamy dosyć pieniędzy. Musimy zwiększyć nakłady inwestycyjne.

- Jaki nowy program?

- Proszę cię, Dan. Wszystko dokładnie opisałem. Niech Belle nam to przeczyta.

- No... dobrze.

Dowiedziałem się - jeśli pominąć milczeniem zbyteczną paplaninę ze wstępu Milesa (jako prawnik kochał się w wielosylabowych słowach) - że chodzi o trzy sprawy:

a) odebrać mi „Uniwersalnego Franka”, sprzedać go zespołowi produkcyjnemu i bez zwłoki rzucić na rynek,

b) ...w tym momencie wpadłem jej w słowo, krzyżąc: - Nie!

- Poczekaj chwilę, Dan. Jako prezes i generalny dyrektor mam chyba prawo przedstawić w całości swoje propozycje. Zachowaj swoje uwagi na później, a teraz pozwól Belle dokończyć.

- Dobrze... niech czyta. I tak nie zmienię zdania.

Punkt (b) głosił, że powinniśmy rozszerzyć naszą działalność. Mamy oto w ręku sensacyjną nowość, tak sensacyjną, jak kiedyś samochód. Jesteśmy pierwsi, trzeba wykorzystać tę szansę, rozwinąć skrzydła, zakładając agendy firmy nie tylko w kraju, ale i na całym świecie. Filie miały się zająć produkcją i dystrybucją naszych towarów.

Zacząłem bębnić palcami po stole. Już się widziałem w roli głównego inżyniera takiej maszyny. Najpewniej nie miałbym nawet własnej deski kreślarskiej, a gdybym wziął do ręki lutownicę, związki zawodowe ogłosiłyby strajk. Równie dobrze mogłem zostać w wojsku i spróbować awansu na generała.

W milczeniu słuchałem dalej. Punkt (c) głosił, że na te inwestycje będziemy potrzebowali grubych milionów, których oczywiście nie mamy. Dlatego też powinna nas przejąć i finansować następne inwestycje duża firma - Mannix Enterprises. W praktyce oznaczało to, że Mannix kupiłby nas ze wszystkimi naszymi osiągnięciami, z „Uniwersalnym Frankiem” na czele. Oczywiście stracilibyśmy samodzielność. Miles zostałby dyrektorem filii, ja głównym inżynierem biura badawczego, lecz na zawsze stracilibyśmy niezależność. Stalibyśmy się siłami najemnymi.

- To wszystko? - zapytałem.

- Hm... tak. Przedyskutujmy propozycje i przystąpimy do głosowania.

- Powinien tam być jeszcze paragraf gwarantujący prawo do siedzenia wieczorem

przed domem i śpiewania murzyńskich pieśni nabożnych!

- Tylko bez dowcipów, Dan. Musimy tak zrobić.

- Ja wcale nie żartuję. Niewolnik musi mieć jakieś przywileje, żeby się nie buntował.

W porządku, teraz kolej na mnie?

- Proszę, mów.

Złożyłem kontrpropozycję, nad którą już długo rozmyślałem. Chciałem mianowicie wstrzymać produkcję. Jake Schmidt, kierownik naszego warsztatu, był dobrym fachowcem, ale zbyt często, jak na mój gust, studził we mnie twórczy zapał, zmuszając do załatwiania jakichś spraw związanych z produkcją. Trudno się w tej sytuacji dziwić, że konsekwentnie omijałem fabrykę w dzień, pracując głównie w nocy. Ciągle skupowaliśmy elementy konstrukcji z wojskowego demobilu, zamierzając uruchomić nocną zmianę, więc wiedziałem, iż przyjdzie czas, gdy nie będę mógł poświęcić nawet chwili na twórczą pracę, niezależnie od tego, czy ten bzdurny plan wyścigu z General Motors i Consolidated wszedłby w życie. Nie mogłem się rozdzielić: być jednocześnie wynalazcą i szefem produkcji. Dlatego zaproponowałem, żeby nie zwiększać, lecz ograniczyć produkcję, i sprzedać licencję na „Dziewczynę na posługi” i na „Czyściocha Williego”. Niech je wytwarza i sprzedaje ktoś inny, natomiast my zgarnialibyśmy tylko opłaty licencyjne. Kiedy skończymy „Uniwersalnego Franka”, znowu sprzedamy licencję. Jeżeli Mannix będzie chciał ją kupić i zaproponuje więcej niż inni, okay! Wówczas zmienimy nazwę na „Korporacja Badań Automatyki - Davis i Gentry”, zostaniemy we trójkę z jednym lub dwoma mechanikami, którzy będą pomagać w przygotowywaniu nowych wyrobów. Ja będę spokojnie kombinował, a Miles i Belle równie spokojnie będą liczyć wpadające do kiesy pieniądze.

Miles pokręcił wolno głową.

- Nie, Dan. Wierzę, że sprzedaż licencji przyniosłaby nam jakiś zysk. Ale na pewno nie tak wielki, jaki zgarnęlibyśmy, angażując się w ten interes sami.

- Do diabła, Miles, właśnie o to mi chodzi. Tylko że wtedy sprzedalibyśmy dusze ludziom od Mannixa. A co do pieniędzy, ile chcesz? Nie możesz mieć wszystkiego naraz.

- Wszystkiego nie potrzebuję.

- To czego chcesz? Podniósł głowę.

- Dan, ty pragniesz być wynalazcą. Realizując swój plan, w krótkim czasie staniesz się jednym z lepszych konstruktorów w tej branży. Ale ja chcę kierować wielką firmą. Naprawdę wielką... To moje powołanie. - Popatrzył na Belle. - Nie mam zamiaru spędzić reszty życia jako dyrektor handlowy fabryczki z kilkusobową załogą i wynalazcą-pustelnikiem.

Oślupiałem.

- Ejże, mój drogi, w Sandii mówiłeś inaczej. Chcesz wypłynąć na szerokie wody?...

Droga wolna. Belle i ja nie chcielibyśmy, żebyś odszedł... ale jeśli tak na to patrzysz, myślę, że mógłbym przelać wszystko na hipotekę i spłacić cię. Nie chciałbym, żeby ktoś z mojego powodu miał związane ręce.

Byłem zaskoczony, ale skoro staruszek Miles rwie się jeszcze do czynu, to nie mam prawa narzucać mu swego zdania.

- Nie, nie zamierzam odejść, tylko rozszerzyć nasze wpływy. Słyszałeś moją propozycję. Proponuję przystąpić do głosowania.

Nie ukrywałem zdziwienia.

- Trwasz przy tym, żebyśmy to rozwiązali jak konkurenci, a nie jak przyjaciele?

Dobrze. Belle, głosuję przeciwko. Zapisz to. Ani myślę poddawać swego stanowiska pod głosowanie. Porozmawiamy spokojnie, niech każdy powie, co mu leży na sercu. Chcę, żebyś był usatysfakcjonowany, Miles.

- Przeprowadzimy głosowanie formalne, ściśle według regulaminu. - Miles uparcie forsował swój projekt. - Policz głosy, Belle.

- Tak, proszę pana. Miles Gentry głosuje akcjami numer... - Przeczytała rząd seryjnych liczb. - Jak głosujesz?

- Za.

Zapisała to w notatniku.

- Daniel B. Davis, głosuje akcjami numer... Znów przeczytała mnóstwo telefonicznych numerów, nie słuchałem jednak, uważając to za czystą formalność.

- Jak głosujesz?

- Przeciwno. W ten sposób sprawa upada. Jest mi przykro, Miles.

- Belle S. Darkin - kontynuowała - głosuje akcjami numer... -jeszcze raz wyrecytowała rząd liczb. - Głosuję za.

Szczęka mi opadła, z wysiłkiem łapiąc powietrze wystękałem:

- Ależ, kochanie, nie możesz mi przecież tego zrobić! Oczywiście, to są twoje akcje, ale bardzo dobrze wiesz, że...

- Przeczytaj wynik - warknął Miles.

- Większość jest za. Propozycja została przyjęta.

- Zapisz to.

- Tak, proszę pana.

Przez następne pięć minut w pokoju panował obłądny chaos. Najpierw krzychałem na Belle, potem próbowałem ją przekonać, w końcu zrugalem ją wrzeszcząc, że to po prostu świństwo - to prawda, że przepisałem te akcje na nią, ale wiedziała równie dobrze jak ja, że wcale nie miałem zamiaru pozbawiać się kontroli nad firmą, że był to po prostu prezent zaręczynowy i nic więcej. Rany boskie, przecież jeszcze w kwietniu zapłaciłem podatek

dochodowy za te akcje! Jeżeli potrafiła zrobić mi taki numer będąc tylko moją narzeczoną, do czego będzie zdolna po ślubie?!

Popatrzyła mi prosto w oczy i jej twarz wydała mi się zupełnie obca.

- Danie Davies, jeżeli sobie wyobrażasz, że po tym wszystkim co od ciebie usłyszałam, jesteście jeszcze zaręczeni, to jesteś znacznie głupszy, niż myślałam. - Zwróciła się do Gentry'ego. - Odwieziesz mnie do domu, Miles?

- Oczywiście, moja droga.

Zacząłem coś bełkotać, ale nagle zamilkłem i wyskoczyłem z pokoju jak obłąkany, nie zdążywszy włożyć kapelusza. Miarka się przebrała, musiałem opuścić to miejsce, inaczej prawdopodobnie zabiłbym Milesa - ale tylko jego, gdyż Belle nie mógłbym nawet tknąć. Zrozumiałe, że spędziłam bezsenność noc. Około czwartej rano zwlokłem się z łóżka, wykonałem kilka telefonów, i o piątej trzydzieści zajechałem przed własną fabrykę furgonetką. Podszedłem do bramy, chciałem ją otworzyć i podjechać do rampy, żeby zabrać z warsztatu „Uniwersalnego Franka” - ważył osiemset kilogramów. W bramie zamontowany był nowy zamek.

Przebiegłem przez plot, co przypłaciłem kilkoma zadrapaniami. Ruszyłem do warsztatu. Ale i tam wymieniono zamek. Oglądałem go i zastanawiałem się, czy łatwiej będzie wybić okno łokciem, czy wyjąć z ciężarówki lewarek, gdy nagle usłyszałem wołanie:

- Hej, ty tam! Ręce do góry!

Ręk nie podniosłem, ale się odwróciłem. Jakiś facet w średnim wieku mierzył do mnie z pukawki tak wielkiej, że można by nią zbombardować miasto.

- Kim pan jest, do diabła?!

- A kim pan jest?

- Jestem Dan Davis, główny inżynier tego zakładu.

- Aha. - Odprężył się trochę, ale ciągle trzymał mnie na muszce. - Opis by

odpowiadał. Ale jeżeli ma pan z sobą jakiś dokument, wolałbym go obejrzeć.

- A to po co? Kim pan właściwie jest?

- Ja? Nie może mnie pan znać. Nazywam się Joe Todd i należę do Pustynnej Służby Ochronno-Patrolowej. Prywat na licencja. Powinien pan wiedzieć, kim jesteśmy; już od paru miesięcy chronimy wasz obiekt. Dzisiaj w nocy mamy jednak szczególne zadanie.

- Rzeczywiście? Jeśli więc ma panu klucze do warsztatu, proszę mi je dać, chcę się dostać do środka. I proszę przestać mierzyć we mnie z tego gnata.

- Niestety, panie Davis, tego nie mogę zrobić. Po pierwsze, nie mam klucza. A po drugie, dostałem specjalne instrukcje dotyczące pańskiej osoby. Nie może pan wejść. Wyprowadzę pana przez bramę.

- Bramę chcę również otworzyć, w porządku, ale przede wszystkim chcę wejść do środka.

Zacząłem rozglądać się wokół w poszukiwaniu odpowiedniego kamienia, którym mógłbym wybić szybę.

- Proszę pana, panie Davis...

- Co jest?

- Lepiej, żeby pan się nie upierał przy swoim. Nie jestem najlepszym strzelcem i nie mogę gwarantować, że trafię pana w nogi, dlatego muszę celować w brzuch. Ta pukawka jest nabita kulami z miękkim końcem, to naprawdę robi duże bum-bum.

Prawdopodobnie z tego powodu skapitulowałem, ale trochę też z innego: mianowicie, kiedy ponownie spojrzałem przez okno, zobaczyłem, że „Franka” nie ma tam, gdzie go zostawiłem.

Gdy Todd wypuszczał mnie przez bramę, podał mi jakąś kopertę.

- Powiedziano mi, żebym ją panu dał, jeśli pan tu się zjawi.

Przeczytałem kartkę, siedząc w kabinie ciężarówki. Oto treść:

18 listopada 1970

Szanowny Panie Davis,

Na formalnym zebraniu rady nadzorczej, zwołanym w dniu 18 listopada 1970,

zdecydowano zerwać z Panem wszelkie kontakty (z wyjątkiem zobowiązań wynikających z posiadania przez Pana pakietu akcji naszej firmy, co przewiduje paragraf trzeci umowy).

Prosimy o nie pojawianie się na terenie fabryki. Pana dokumenty i rzeczy osobiste odeślemy w najbliższym czasie.

Rada nadzorcza chce podziękować Panu za duży wkład pracy w rozwój korporacji.

Jednocześnie zapewniamy, że szczerze bolejemy nad zaistniałymi różnicami poglądów na przyszłość naszej firmy. Właśnie owe odmienne zapatrywania zmusiły nas do rezygnacji z pańskich cennych usług.

z pozdrowieniem

MILESGENTRY prezes rady nadzorczej i dyrektor generalny

Belle S. Darkin sekretarka i skarbnik

Przeczytałem ten świstek dwa razy, zanim uświadomiłem sobie, że nie miałem nigdy

żadnej umowy z korporacją, na podstawie której byłoby można powoływać się na paragraf trzeci lub jakikolwiek inny.

Tego samego dnia, nieco później, listonosz przyniósł do hotelu, w którym się

zatrzymałem, paczkę zawierającą mój kapelusz, pióro, suwak logarytmiczny, trochę książek, korespondencję i dokumenty. Nie było w niej jednak moich notatek i dokumentacji

„Uniwersalnego Franka”.

Niektóre z przekazanych dokumentów były bardzo interesujące. Na przykład moja

„umowa” - rzeczywiście, paragraf trzeci pozwalał wyrzucić mnie bez uprzedzenia i prawa do trzymiesięcznych poborów. Ale paragraf siódmy brzmiał jeszcze ciekawiej. Była to najnowsza forma klauzuli antykonkurencyjnej, zgodnie z którą zwalniany osobnik zobowiązywał się, że przez pięć lat nie będzie pracował na rzecz konkurencji. Jego wcześniejsi pracodawcy płacą gotówką za prawo pierwokupu wynalazków. Innymi słowy, mogłem wrócić do pracy pod warunkiem, że przybiegnę z kapeluszem w ręce do Milesa i Belle i poproszę ich o ponowne zatrudnienie. Być może po to przesłali mi ten kapelusz. Pięć długich lat miałem trzymać się z daleka od urzędów gospodarstwa domowego, chyba że grzecznie poproszę o zezwolenie. Chętniej poderżnąłbym sobie gardło. Oprócz umowy paczka zawierała prawidłowo zarejestrowane kopie wszystkich patentów: „Dziewczyny na posługi”, „Czyściocha Williego” i innych. („Uniwersalny Frank”, oczywiście, nie był opatentowany - przynajmniej tak wówczas myślałem; dopiero później dowiedziałem się, jak się rzeczy miały w istocie).

Cały problem tkwił w tym, że nie występowałem o żaden patent, formalnie udzieliłem nawet licencji firmie Hired Girl na ich wykorzystywanie. Korporacja była moim dziełem i nie wydawało mi się, że trzeba się spieszyć z formalnym załatwianiem własnych spraw. Trzy ostatnie koperty zawierały moje potwierdzenie posiadania akcji firmy (tych, których nie dałem Belle), czek i list wyjaśniający wszystkie pozycje czeku: sumaryczne dochody po odliczeniu wydatków z bieżącego konta, trzymiesięczna „pensja” doliczona po wypowiedzeniu, część należności zgodnie z paragrafem siódmym... i tysiąc dolarowa nagroda za wysiłek włożony w rozwój firmy.

Co za miły gest z ich strony!

Przy powtórным czytaniu tego zdumiewającego pliku dokumentów uświadomiłem sobie, że prawdopodobnie wygłupiłem się, podpisując wszystko, co podsunęła mi Belle. Nie

miałem wątpliwości, wszystkie podpisy były autentyczne.

Po upływie doby uspokoiłem się na tyle, że mogłem porozmawiać z prawnikiem, bardzo eleganckim i żądnym pieniędzy cwaniakiem, któremu nie przeszkadzała wolno-amerykanka na ringu prawniczym - szczypanie, gryzienie i uderzenia poniżej pasa były wkalkulowane w bieg każdej jego sprawy.

Na początku był nader zainteresowany moim przypadkiem, w czym na pewno pomogło moje oświadczenie, że otrzyma stosowną część sumy, którą zdołałbym odzyskać.

Kiedy jednak skończył przeglądać moje papiery i wysłuchał szczegółów sprawy, wsunął się głębiej w fotel, splótł palce na brzuchu i uśmiechnął się kwaśno.

- Dan, dam ci jedną radę i to całkiem za darmo.

- Jaką?

- Nie rób nic. Nie masz żadnych szans.

- Przecież mówiłeś...

- Tak, wiem, co mówiłem. Oszukali cię. Tylko w jaki sposób udowodnisz to w sądzie?

Byli zbyt cwani, żeby przywłaszczyć sobie twoje akcje albo wyrzucić cię bez złamanego grosza. Postąpili z tobą właśnie tak, jak się postępuje w wypadku dobrowolnego odejścia wspólnika na zasłużoną emeryturę wskutek - używając ich sformułowania - różnicy poglądów na politykę firmy. Zapłacili ci wszystko, co przewidują przepisy... i mizerne tysiąc dolarów więcej, żeby pokazać, iż nie czują do ciebie urazy.

- Ale ja nigdy nie miałem żadnej umowy! I nigdy nie zmieniałem właściciela patentów!

- Te dokumenty twierdzą coś zupełnie przeciwnego. Przyznajesz, że są to twoje podpisy. Czy to, o co ich oskarżasz, może ktoś jeszcze potwierdzić?

Zamyśliłem się. Rzeczywiście, nie miałem żadnych dowodów. Nawet Jake Schmidt

nie wiedział nic o tym, co dzieje się w sekretariacie. Jedynymi świadkami byli... Miles i Belle.

- Rozważmy fakt przepisania akcji na twoją narzeczoną - kontynuował. - To jest

jedyna szansa, żeby rozplątać ten węzeł gordyjski. Gdybyś...

- Ale zarazem jedyna legalna transakcja z tego całego draństwa. Ja naprawdę przepisałem na nią te akcje!

- Oczywiście, ale dlaczego? Twierdzisz, że był to prezent zaręczynowy. Nieważne, jak ona głosowała, to sprawa drugorzędna. Jeżeli zdołasz udowodnić, że dałeś je pod warunkiem, iż wyjdzie za ciebie, to masz prawo żądać ślubu lub oddania akcji. Sprawa McNutly versus Rhodes. Wtedy odzyskasz kontrolę nad firmą i ty z kolei będziesz mógł ich wyrzucić.

Udowodnisz to?

- Do diabła, wcale nie zamierzam żenić się z tą jędzą. Za żadne skarby, nie!

- To już twoja sprawa. Teraz przed nami inny problem. Masz świadków albo dowody na to, że otrzymała te akcje wiedząc, iż dajesz jej ten prezent jako przyszłej małżonce?

Zamyśliłem się. Jasne, mam świadków... starych znajomych: Milesa i Belle.

- No więc widzisz. Nie masz nic poza swoim słowem przeciwko zeznaniom ich dwojga i wielkiej liczbie dowodów na piśmie. Nie wygrasz. Co więcej, jeśli będziesz się upierał, mogą cię wysłać jako paranoika do wariatkowa. Radzę ci znaleźć pracę w innym fachu... albo, co najwyżej, wymóc na nich zezwolenie na założenie konkurencyjnej firmy. Z chęcią pobawiłbym się w słówka... nigdy jednak nie będę występował przeciwko jurystycznej frazeologii. Nikt jeszcze nie wygrał tego rodzaju procesu. W żadnym razie nie oskarżaj ich o spisek. Dałbyś im atut do ręki. Przegrałbyś, a oni oskarżyliby z kolei ciebie i zagarnęli wszystko, nawet to, co ci zostawili.

Wstał.

Uznałem słuszność jego rad tylko częściowo. Na parterze budynku był bar - wstąpiłem

tam i strzeliłem dwie kolejki. Może zresztą było ich dziewięć.

Zanim wybrałem się do Milesa, miałem mnóstwo czasu na wspomnienia.

Otrzymawszy pierwsze pieniądze za „Dziewczynę na posługi” Miles przeprowadził się z Ricky do pięknego małego domku w dolinie San Fernando, głównie po to, by uciec przed zabójczym skwarem pustyni Mojave. Do pracowni dojeżdżał pociągiem lotnictwa wojskowego. Uświadomiłem sobie z ulgą, że teraz Ricky na pewno nie ma w domu, gdyż wyjechała na obóz skautowski nad Wielkie Jezioro Niedźwiedzie. Nie chciałem, by Ricky była świadkiem naszej kłótni.

Jechałem tunelem w Sepulveda, gdy nagle wpadło mi do głowy, że powinienem zanim odwiedzę Milesa pozbyć się w jakiś sensowny sposób akcji Hired Girl.

Nie brałem pod uwagę możliwości użycia siły (jeżeli nie zostaną do tego sprowokowany), po prostu była to jedna z nielicznych rzeczy, które mogłem zrobić... a poza tym węszyłem wszędzie nieprzyjaciół jak kot, któremu ogon przygniotą drzwi.

Zostawić pakiet akcji w samochodzie? A jeśli mnie aresztują, gdy pobiję Milesa?

Zostawiać dokumenty w wozie, który policja może odprowadzić na jakiś parking albo nawet skonfiskować - to na pewno niezbyt mądre.

Mogłem akcje wysłać pocztą, sam do siebie, jednak w ostatnich dniach po listy chodziłem na pocztę główną, bo ciągle przeprowadzałem się z hotelu do hotelu, wypraszanym w chwili, gdy zorientowano się, że mam ze sobą kota.

Lepiej już było posłać je komuś zaufanemu. Jednakże lista takich osób była cholernie krótka.

Naraz uświadomiłem sobie, że jest ktoś, komu mogę je powierzyć. Ricky.

Być może z boku wygląda to na nieuleczalną lekkomyślność - zawierzyć kobiecie zaraz po tym, jak inna tak podle was oszukała. Jednakże te dwa przypadki nie miały ze sobą

nie wspólnego. Znałem Ricky od zarania jej życia i jeśli gdzieś istniało idealnie uczciwe ludzkie stworzenie, to była nim na pewno ona... a Pit był tego samego zdania. Oprócz tego Ricky nie mogła jeszcze epatować mężczyzn swoją kobiecością, malując się na razie tylko na jej buźce - na niczym więcej...

Kiedy wyrwałem się z korka, zjechałem z magistrali i znalazłem sklepik, gdzie kupiłem znaczki, wielką i małą kopertę, i parę arkuszy listowych. Napisałem tak:

Kochana Rikki-tikki-tawi,

mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy, ale zanim to nastąpi, chciałbym, żebyś schowała u siebie tę małą kopertę. Tylko nie mów o tym nikomu.

Podniosłem pióro i zamyśliłem się. Do licha, a jeśli coś się ze mną stanie... na przykład wypadek drogowy albo coś zupełnie nieoczekiwanego... Wtedy prędzej czy później moja przesyłka znajdzie się w rękach Milesa i Belle. Jeżeli w jakiś sposób jej nie zabezpieczę.

Uprzytomniłem sobie, że podświadomie dojrzałem do rozwiązania problemu hibernacji: postanowiłem zrezygnować z niej.

To mocne postanowienie było efektem mojego wytrzeźwienia, no i kazania doktora.

Zaparłem się. Nie chciałem już uciekać, chciałem zostać i walczyć - a pakiet akcji był moją najlepszą bronią. Dawał mi prawo wglądu w księgi rachunkowe, umożliwiał wtykanie nosa we wszystkie sprawy firmy.

Gdyby znowu próbowali zatrzymać mnie przy pomocy strażnika, wrócę z adwokatem, z zastępcą szeryfa i nakazem sądowym.

Mogę nawet doprowadzić do rozprawy. Prawdopodobnie jej nie wygram, ale narobię hałasu wokół sprawy... wtedy ludzie Mannixa dobrze się zastanowią, zanim podejmą decyzję o kupnie.

Może w ogóle nie powinienem wysyłać Ricky tych akcji.

Nie, dopóki istniała możliwość, że coś złego się ze mną stanie, nie mogę mieć ich przy sobie. Pit i Ricky byli moją „rodziną”, jedyną, jaką miałem.

Podjąłem przerwane pisanie:

Gdyby los zrządził inaczej i nie spotkalibyśmy się przez cały rok, będzie to znak dla Ciebie, że ze mną coś się stało. Wówczas zatroszcz się o Pita, jeśli go znajdziesz, nikomu nic nie mów, i odnieś tę kopertę do filii American Bank, daj ją komuś, kto zajmuje się funduszami powierniczymi, i powiedz, żeby ją otworzył.

Twój wujek Danny, który myśli o Tobie i całuje.

Na drugim arkuszu napisałem:

3 grudnia 1970, Los Angeles, Kalifornia. Za równowartość osobiście otrzymanego jednego dolara i inne cenne usługi przekazuję - tutaj wpisałem odpowiedni paragraf kodeksu i numery akcji Hired Girl - American Bank w celu odłożenia do depozytu dla Frederiki Virginii Gentry. Akcje te proszę przekazać do rąk własnych właścicielce w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin.

Podpisałem się niżej. Myśl klauzuli była wyrażona ściśle i mam wrażenie, że nie wpadłbym na lepszy pomysł, nawet gdybym nie siedział w sklepie z szafą grającą nastawioną na cały regulator.

Decyzja ta gwarantowała, że Ricky dostanie akcje w przypadku, gdyby mi się coś stało, i nie dopuszczała, żeby wpadły w ręce Milesa i Belle.

Gdyby zaś wszystko poszło okay, poproszę Ricky, żeby oddała mi kopertę, zanim ktoś zorientuje się, jaka jest jej zawartość.

Ponieważ nie skorzystałem z formy aktu darowizny, nie musiałem stosować się do wszystkich biurokratycznych przepisów. Nawet gdyby Ricky była już pełnoletnia, nie byłoby trzeba puszczać w ruch całej maszyny prawa - wystarczy, że po prostu odda mi kopertę i

sprawa załatwiona.

Wsadziłem dokumenty do mniejszej koperty, którą razem z liścikiem do Ricky włożyłem do dużej, zaadresowałem do obozu skautowskiego, nalepiłem znaczek i wrzuciłem do skrzynki przed sklepem. Sprawdziłem, że skrzynka będzie opróżniona za czterdzieści minut, i gdy wsiadałem do samochodu, ogarnęło mnie uczucie kompletnej beztroski - nie dlatego, iż zabezpieczyłem akcje, ale dlatego, że rozwiązałem sam wszystkie kłopoty. Może właściwie nie rozwiązałem, ale podjąłem decyzję o stawieniu im czoła. Nie miałem już zamiaru brać nóg za pas i uciekać do nory jak niedźwiedź szykujący się do zimowego snu. Nie chciałem wymazywać z pamięci całej tej historii sięgając po alkohol o najróżniejszych smakach.

To jasne, że pragnąłem zobaczyć rok 2000, ale mogłem go przecież zobaczyć i wtedy, jeśli na niego spokojnie poczekam... sześćdziesiątka to jeszcze nie wiek, kiedy nie można już oglądać się za dziewczętami. Nie ma pośpiechu. Skoczyć w następne stulecie jednym susem to niezbyt wielka przyjemność dla normalnego człowieka - to tak jakby oglądać zakończenie filmu, nie mając pojęcia, co działo się wcześniej.

Najlepszy pomysł na przeżycie następnych trzydziestu lat to poddać się zwykłemu biegowi rzeczy. W ten sposób wiek XXI nie będzie dla mnie tajemnicą, gdyż wkroczę w nowe stulecie z bagażem doświadczeń wspólnych dla wszystkich wokół.

Będę miał czas na załatwienie porachunków z Milesem i Belle.

Może nie wygram, ale na pewno dam się im mocno we znaki - tak jak Pit, który wracał do domu, krwawiąc w sześciu miejscach i chwając się głośno: „Szkoda, że nie możesz widzieć tego drugiego”.

Z wieczorną rozmową nie wiązałem wielkich nadziei, chodziło mi tylko o formalne wypowiedzenie wojny. Chciałem zakłócić Milesowi sen - może potem zatelefonuje do Belle i

oboje spędzą noc na przykrych rozpamiętywaniach.

ROZDZIAŁ TRZECI

Gdy powoli zbliżałem się do willi Milesa, gwizdałem wesołą melodyjkę. Przestałem zaprzętać sobie myśli tą przebiegłą parką i skupiłem się nad czymś innym. Przez ostatnie piętnaście mil chodziły mi po głowie dwa zupełnie nowe wynalazki, na których mógłbym zbić majątek. Pierwszym było urządzenie kreślarskie, działające na podobnej zasadzie jak elektryczna maszyna do pisania. Liczyłem na to, że w samych Stanach Zjednoczonych musi być co najmniej pięćdziesiąt tysięcy konstruktorów, a każdy codziennie pochyła się nad deskę kreślarską, nienawidząc jej serdecznie, bo ta praca psuje wzrok i szkodzi nerkom. Wszyscy oczywiście chcieliby projektować, ale dla większości jest to fizycznie zbyt uciążliwe zajęcie. Moja zabawka pozwoliłaby im usiąść w wielkim wygodnym fotelu, naciskać klawisze i obserwować, jak na czystym arkuszu papieru pojawia się precyzyjny rysunek. Wystarczy wcisnąć jednocześnie trzy klawisze i dokładnie tam, gdzie chcecie, pojawi się pozioma linia: wciśnięcie inny... i przetniecie ją prostopadłą. Dwa klawisze, a potem jeszcze dwa... i oto macie kąt dokładnie taki, jakiego sobie życzyliście.

Co więcej - kosztem niewielkich dodatkowych wydatków mogłem dodać do kompletu drugą planszę, umożliwiając projektowanie izometryczne, co przydałoby się nie tylko architektom. Drugi rysunek powstawałby w doskonałej perspektywie (a to jest chyba jedyny sensowny sposób projektowania), i to bez konieczności spoglądania na planszę. Mogłem nawet ustawić swoją zabawkę tak, by kreśliła bezpośrednio z rysunku izometrycznego rysunek konturowy rozmieszczenia wnętrza i elewacji.

Najbardziej w tej robocie podobała mi się możliwość wykorzystania standardowych podzespołów dostępnych w salonach radioelektronicznych i fotograficznych - z wyjątkiem panelu sterującego. Mogłem, i tego byłem zupełnie pewien, skonstruować rzecz na bazie

elektrycznej maszyny do pisania. Parę drobiazgów elektronicznych, klawiatura podłączona do układu sterującego innymi obwodami. Wystarczy miesiąc na budowę prymitywnego modelu, następnie sześć tygodni na dopracowanie szczegółów...

Zagrzebałem pieczołowicie ten plan gdzieś w najdalszych zakamarkach pamięci...

Mógł poczekać. Byłem pewien, że jestem w stanie go zrealizować. Klienci już teraz powinni ustawiać się w kolejce.

Jednak jeszcze bardziej ucieszył mnie pomysł, który mógł popsuć szyki Milesowi i Belle i nie dopuścić do przywłaszczenia starego biedaka - „Uniwersalnego Franka”.

Wiedziałem o nim więcej, niż mógł wiedzieć ktokolwiek inny, nawet dogłębnie studiując moje notatki. Nikt nie wiedział, że dla każdej ewentualności, którą wybrałem przy projektowaniu, istnieje co najmniej jeden wariant uboczny- i że mój wybór był ograniczony, ponieważ projektowałem tę maszynę tylko pod kątem zastosowania jej w gospodarstwie domowym. Przede wszystkim mogłem ją udoskonalić, dodając umiejętność poruszania się bez użycia elektrycznego wózka inwalidzkiego. Ten efektowny zabieg umożliwił właściwie wszystko, potrzebowałem do tego jedynie lamp pamięciowych Thorsena - a ich zastosowania Miles nie mógł mi zabronić. Były dostępne na rynku dla każdego, kto chciał zaprojektować jakąś cybernetyczną zabawkę.

Automatyczny kreślarz mógł poczekać; chciałem zabrać się do pracy nad urządzeniem, które nie ograniczone do konkretnego zastosowania, byłoby zdolne wykonać jakąkolwiek czynność nie wymagającą wysiłku ludzkiego umysłu.

Chociaż nie... Najpierw poskładałam kreślarza, a zdobyte w ten sposób doświadczenie wykorzystam przy projektowaniu „Proteusza Pita”.

- Co ty na to, Pit? Nazwiemy pierwszego prawdziwego robota twoim imieniem.

- Mrrr...

- Nie bądź aż taki podejrzliwy. To wielki zaszczyt...

Ponieważ nie zaczynałem od zera, bo przecież zdobyłem już doświadczenie przy

„Franku”, sądziłem, że stać mnie na szybkie zaprojektowanie „Pita”. Zrobię z niego zabijakę, demona, który zmiecie „Franka” z ringu wcześniej, niż oni zaczną go produkować. Mając trochę szczęścia, doprowadzę ich do bankructwa i zmuszę do przyścia do mnie z pokorną prośbą, abym wrócił na dawne stanowisko. W ten sposób dowiodę, że chcieli zabić kurę znoszącą złote jajka!

W domu Milesa paliło się światło, a jego samochód stał przy chodniku.

Zaparkowałem obok i powiedziałem do Pita:

- Będzie lepiej, jak zostaniesz tutaj i popilnujesz wozu, kolego. W razie czego trzykrotnie zawołaj „stój”, a potem strzelaj.

- Nieee!

- Jeżeli pójdziesz ze mną, będziesz musiał siedzieć w torbie.

- Brrr!

- Nie sprzeczasz się. Chcesz iść ze mną, to wskakuj do torby.

Pit wskoczył do torby.

Miles otworzył drzwi. Obyło się bez serdecznego uścisku ręki. Zaprowadził mnie do salonu i wskazał krzesło.

W pokoju czekała już Belle. Nie spodziewałem się tego, ale właściwie nie czułem się zaskoczony. Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się ironicznie.

- Co za przypadek, że spotykamy się tutaj! Tylko nie mów, że przyjechałeś aż z

Mojave po to, by porozmawiać ze starym przyjacielem.

Jak już wpadnę w trans, potrafię być dowcipny.

Belle zachmurzyła się.

- Nie rób z siebie błazna, Dan. Powiedz, co masz do powiedzenia, i znikaj.

- Nie tak ostro, moja droga. Jesteśmy w doborowym towarzystwie, sami swoi... Mój były partner... moja była narzeczona. Brak mi tutaj jedynie mojej byłej firmy.

Miles odezwał się pojednawczo:

- Dan, nie stawiaj tak sprawy. Zrobiliśmy to dla twojego dobra... jeśli tylko zechcesz, możesz wrócić do pracy. Cieszyłbym się bardzo, gdybyś wrócił.

- Dla mojego dobra? Brzmi to jak pouczanie koniokrada przed powieszeniem go na wysokim drzewie. A jeśli chodzi o mój powrót - co ty na to, Belle? Mogę wrócić?

Zagryzła wargi.

- Oczywiście, skoro Miles tak mówi.

- Za bardzo przypomina mi to minione tygodnie, kiedy twierdziłaś zawsze:

„Oczywiście, skoro Dan tak mówi”. Ale wszystko się zmienia, takie jest życie. Ja nie wrócę, mili moi, możecie się nie obawiać. Przyszedłem tu tylko po to, żeby dowiedzieć się kilku drobiazgów.

Miles spojrzał na Belle.

- Na przykład? - zapytała.

- Po pierwsze, kto wpadł na pomysł tego oszustwa? Zaplanowaliście to wspólnie?... *

Miles wolno wycedził:

- To jest niewłaściwe, brzydkie słowo, Dan. Nie podoba mi się.

- Co ty powiesz? Nie będziemy przecież bawić się w *savoir-vivre* dla ubogich. Jeżeli słowo jest brzydkie, to tylko dlatego, że wasza podłość przechodzi wszelkie granice. Mam na myśli sfalszowanie umowy antykonkurencyjnej, sfalszowanie własności patentów - to są przestępstwa, Miles. Ona może nie zdawać sobie z tego sprawy, ale ty wiesz o tym doskonale. Zresztą nie jestem pewien, czy można tu zastosować prawo federalne, lecz FBI niewątpliwie

zechce mnie uświadomić. Jutro - dodałem widząc, jak moje słowa nim wstrząsnęły.

- Dan, przecież nie będziesz takim głupcem, nie będziesz rozrabiał z powodu takiej drobnostki.

- Drobnostki?! Dobiorę się do was od strony prawa cywilnego i karnego, wszędzie, gdzie tylko się da. Będę wam siedział na karku, nie starczy wam nawet czasu, żeby podrapać się po tyłku... jeżeli nie pójdziesz na jedno drobne ustępstwo... Aha... nie wspomniałem jeszcze o waszym trzecim kancie - ukradliście mi notatki i dokumentację „Uniwersalnego Franka”... a także prototyp. Znając was, mogę się spodziewać obciążenia mnie kosztami materiałowymi, bo rachunki pokrywałem z konta firmy.

- Kradzież?... Co za bzdura! - warknęła Belle. - Pracowałeś dla firmy.

- Naprawdę? Na ogół siedziałem po nocach... nikt mnie nie widział. I nigdy nie byłem pracownikiem firmy, Belle, oboje to wiemy. Po prostu pobierałem pieniądze na życie z konta, na które wpływał zysk z moich akcji. Co na to powie Mannix, gdy oskarżę was przed sądem o kradzież wszystkich tych rzeczy, których kupnem byli zainteresowani, a które nigdy nie należały do firmy?

- Bzdura - powtórzyła Belle. - Pracowałeś dla firmy i miałeś umowę.

Skłoniłem się przed nią i zacząłem się śmiać.

- Słuchajcie, moi kochani, teraz nie musicie łąć, kłamstwa zachowajcie dla ławy przysięgłych. „Tutaj nikt nie przeszkrobał... to tylko my, niebożątka...” Naprawdę chciałbym wiedzieć, czyj to był pomysł? Jak go zrealizowaliście, już się zorientowałem. Ty, Belle, przynosiłaś mi zawsze dokumenty do podpisu. Kiedy trzeba było pod- pisać więcej niż jedną kopię, spinałaś wszystkie dokumenty razem - oczywiście dla mojej wygody, byłaś zawsze wzorem sekretarki - i ja nie widziałem nic poza miejscem na podpis. Teraz już wiem, że przemyciłaś w ten sposób niejedno. Również ty kierowałaś całą akcją, Miles nie nadaje się

do tego, nie umie nawet pisać na maszynie. Ale kto spreparował dokumenty, które mi podsunęłaś do podpisu? Ty? Nie wydaje mi się... chyba że masz za sobą studia prawnicze... Nic nie słyszałem na ten temat. Co ty na to, Miles? Czy zwyczajna sekretarka umiałaby tak precyzyjnie sformułować ten wspaniały paragraf siódmy? A może jednak wymagało to głowy prawnika? Twojej, jeśli miałbym wyrazić to ściślej.

Papieros Milesa zgasł dawno. Wyjął go z ust, popatrzył i ostrożnie powiedział:

- Dan, przyjacielu, jeżeli myślisz, że nas złapiesz i przyznamy się, to chyba jesteś niespełna rozumu.

- Ależ, Miles, nie denerwuj się, jesteśmy tutaj sami. Mniejsza o precyzję, winni jesteście oboje. Chciałbym wierzyć, że ta Dalila przyszła do ciebie z już gotowym projektem i przekonała cię w chwili twojej słabości. Wiem jednak, że tak nie było. Belle nie jest i nigdy nie była turystką. Wpadliście na to razem, jesteście współwinni. Ty wymyśliłeś i spisałeś te wszystkie nonsensy, a ona je przepisała na maszynie i podsunęła mi do podpisu. Mam rację?

- Nie odpowiadaj, Miles!

- Oczywiście, że nie odpowiem - skwapliwie potwierdził Miles. - Może mieć w torbie magnetofon.

- Myślałem o tym - zgodziłem się z nim - ale zrezygnowałem. - Otworzyłem torbę i Pit wystawił łepkę. - Słyszałeś wszystko, Pit? Trzymajcie język za zębami, dzieci, Pit ma pamięć jak słoń. Nie, nie przyniosłem magnetofonu - stary, tępy Dan Davis nie umie myśleć o przyszłości. Los rzuca mną to w jedną, to w drugą stronę, a ja nadal wierzę swoim przyjaciołom... tak jak wierzyłem wam. Czy Belle jest prawnikiem, Miles? Albo może ty sam usiadłeś i z zimną krwią uknułeś cały ten spisek, mający wszelki pozór legalności?

- Miles - przerwała Belle - on jest tak zręczny, że mógłby zbudować magnetofon wielkości paczki papierosów. Nie musi go nosić w torbie, może ma go przy sobie.

- To fantastyczny pomysł, Belle. Następnym razem tak zrobię.

- Jestem tego świadomy, moja droga - odpowiedział Miles. - Musisz się mieć na baczności. Uważaj na to, co mówisz.

Belle odszczeknęła takim słowem, że aż mnie zatkało. Podniosłem brwi.

- Chyba się jeszcze nie kłócicie, moje gołąbki? Sprzeczki między współnikami?...

Z zadowoleniem zauważyłem, że kończy się cierpliwość Milesa.

- Ty również uważaj na język, Dan, jeśli nie chcesz oberwać.

- No, no. Jestem od ciebie młodszy, a i lekcje dzudo nie wywietrzały mi całkiem z głowy. A zastrzelić kogoś to dla ciebie zbyt ambitne zadanie, stać się najwyżej na podłożenie mi świni. Oboje jesteście złodziejami i kłamcami. - Obróciłem się do Belle. - Mój tata uczył mnie, że nie wolno nigdy o damie powiedzieć „oszustka”, ale ty, ślicznotko, nie jesteś damą. Jesteś łgarzem... złodziejką... i dziwką.

Belle poczerwieniała i rzuciła na mnie spojrzenie, w którym pogrzebała całą swą urodę. Pozostało jedynie drapieżne zwierzę.

- Miles - wychrypiała - chcesz tak siedzieć i pozwalać mu...

- Cicho! - przerwał jej Miles. - Jest ordynarny. z wyrachowania. Próbuje nas zdenerwować i sprowokować do powiedzenia czegoś, czego będziemy żałować. Z tobą mu się prawie udało. Siedź i słuchaj.

Belle zamilkła, ale wściekłość nadal wykrzywiała jej twarz. Miles obrócił się do mnie.

- Dan, mam wrażenie, że jestem praktycznym człowiekiem w każdej sytuacji.

Próbowałem przemówić ci do rozsądku, zanim podjąłeś decyzję o odejściu. Postąpiłem ugodowo, kierując wszystkim tak, byś mógł w miarę bezboleśnie przeżyć chwilę, która kiedyś musiała nadejść.

- Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem przystać na wszystko w milczeniu.

- Rób, jak uważasz. Nadal chcę polubownie załatwić sprawę. Nie masz szans wygrać żadnego procesu. Jako prawnik wiem, że zawsze lepiej jest nie włączyć się po sądach...

Wspomniałeś przed chwilą, że istnieje coś, co moglibyśmy dla ciebie zrobić, aby cię zadowolić. Powiedz, o co chodzi, a może się dogadamy.

- Aha... Zaraz do tego dojdę. To nie od ciebie bezpośrednio zależy, ale możesz mieć swój udział. To proste. Przekonaj tylko Belle, by dała mi z powrotem te akcje, które przepisałem na nią w prezencie zaręczynowym.

- Nie! - twardo oznajmiła Belle.

- Mówiłem ci przecież, żebyś była cicho - upomniał ją Miles.

Spojrzałem na nią i kontynuowałem:

- Dlaczego nie, moja była miłości? Załatwiłem sobie w tej sprawie fachową konsultację, jak mawiają prawnicy. A więc słuchaj: w chwili, gdy ci je dawałem, miałem na względzie nasze przyszłe małżeństwo; twoim nie tylko moralnym, ale i prawnym obowiązkiem jest mi je oddać. Nie był to prezent bez zobowiązań, lecz towar wymienny. Równowartości w postaci ślubnej obrączki nie otrzymałem do dziś. Tak więc albo mi te akcje oddasz, albo zastanowisz się i wyjdiesz za mnie za mąż.

Wyjaśniła mi dokładnie, gdzie i jak długo mogę czekać na jej zgodę.

- Belle, pogłębiasz tylko impas - zmęczonym głosem odezwał się Miles. - Nie rozumiesz, że on próbuje zaleźć nam za skórę? - Obrócił się z powrotem do mnie. - Dan, jeżeli przyszedłeś tylko w tej sprawie, możesz wyjść od razu. Przyznaję, że gdyby okoliczności były takie, jak twierdzisz, miałbyś może rację. Ale tak nie jest. Przepisałem te akcje na Belle za formalną równowartość.

- Tak? A za jaką? Gdzie jest skasowany czek?

- Czeku nie ma i wcale być nie musi. Była to nagroda od firmy za dodatkową pracę,

nie leżącą w zakresie obowiązków Belle.

Badawczo spojrzałem na niego.

- Piękna teoria, nie ma co mówić! Posłuchaj, Miles, przyjacielu, gdyby to była nagroda za pracę dla firmy, a nie osobiście dla Belle, musiałbyś o tym wiedzieć i zapłacić jej identyczną sumę - przecież w końcu zysk dzieliliśmy na pół, chociaż ja miałem kontrolę w swoim ręku... albo przynajmniej tak myślałem. Nie wmawiaj mi, że dałeś Belle taki sam pakiet akcji!

Zobaczyłem, jak na siebie spojrzeli, i nagle zaświtała mi pewna myśl.

- Może i tak zrobiłeś... Założyłbym się, że moja mała pięknotka zmusiła cię do tego, inaczej nie jechalibyście na jednym wózku. Nie mam racji? Jeżeli tak, możesz być pewny, że od razu pobiegła je zarejestrować... i daty pokażą, iż ja przepisałem na nią akcje przed zaręczynami - przecież nawet daliśmy ogłoszenie w Desert Herald - a ty zrobiłeś to samo wtedy, gdy rzuciłeś mi pętlę na szyję, a ona wyjęła stołek spod nóg. Na pewno znajdą się dowody. Co o tym sądzisz, Miles?

Miałem ich, naprawdę trzymałem ich w garści! Po tym, jak zbledli, poznałem, że trafiłem w jedyny słaby punkt szalbierstwa. Przykręciłem śrubę... i wpadłem na dziki pomysł. Dziki? Nie, logiczny.

- Ile tych akcji było, Belle? Tyle, ile wydusiłaś ze mnie za samą obietnicę „małżeństwa”? Zrobiłaś dla niego więcej, powinnaś też więcej dostać. - Naraz uderzył mnie jeden szczegół. - Słuchaj... od razu pomyślałem, że Belle nie przyjechała tutaj porozmawiać sobie ze mną. Może więc po prostu już tu mieszka? Żyjecie razem na kocią łapę, czy powinienem powiedzieć, że jesteście „zaręczeni”? A może... wzięliście już ślub? -

Zastanowiłem się przez moment. - Założę się, że mam rację. Miles, ty nie jesteś tak naiwny jak ja, założę się o ostatnią koszulę, że nigdy, ale to naprawdę nigdy nie przepisałbyś akcji na

Belle tylko dlatego, że obiecała ci małżeństwo. Jako prezent ślubny być może - oczywiście pod warunkiem, że zatrzymasz dla siebie prawa głosowania. Nie musisz mi odpowiadać, od samego rana zacznę to sprawdzać. Na to też znajdą się dowody.

Miles spojrzał na Belle i odezwał się ponuro:

- Nie marnuj czasu. Poznaj panią Gentry.

- Naprawdę? Serdeczne gratulacje. Jedno warte drugiego. A teraz wróćmy do moich akcji, ponieważ nie mogę poślubić z przyczyn oczywistych, pani Gentry...

- Nie bądź durniem, Dan. Twoją śmieszoną teoryjkę już obaliłem. Przepisałem na Belle część akcji, podobnie jak ty. Z tych samych powodów, jako nagrodę za wzorową pracę dla firmy. Jak powiedziałeś, wszystko da się sprawdzić. Belle i ja wzięliśmy ślub dokładnie tydzień temu... ale akcje przepisałem na nią znacznie wcześniej. Nie możesz łączyć tych dwóch wydarzeń. Dostała akcje od nas obu, ponieważ była nieocenioną podporą przedsiębiorstwa. Kiedy ty puściłeś ją kantem i odszedłeś z fabryki, pobraliśmy się. To mnie rzeczywiście zaskoczyło. Miles był zbyt cwany, by łączyć w sprawach tak łatwych do skontrolowania. Przyszło mi jednak do głowy, że tu właśnie znajdę coś, co nie było prawdą, jakiś haczyk, coś więcej niż domysły.

- Kiedy i gdzie wzięliście ślub?

- W zeszły czwartek, w Santa Barbara. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

- To się jeszcze okaże, czy nie są moje. Kiedy dokonałeś przepisania akcji?

- Dokładnie nie pamiętam. Jeśli się upierasz, sprawdzę.

Nie mogłem uwierzyć, że sprezentował Belle akcje bez odpowiedniego zabezpieczenia. Byłaby to wpadka równa mojej, a on był na to zbyt wyrachowany.

- Chętnie bym się czegoś dowiedział, Miles. Gdybym wynajął detektywa i zlecił mu rozpracowanie tej afery, dowiedziałbym się może, że wzięliście ślub trochę wcześniej. Może

w Yumie. Albo w Las Vegas? Albo podskoczyliście do Reno wtedy, gdy razem wybraliście się na północ z powodu śledztwa podatkowego? Może by się okazało, że istnieją dowody... a uszeregowane daty przelewu akcji i przepisania własności moich patentów na rzecz firmy tworzą razem piękny, kompletny obraz... spisku. Co ty na to?

Miles niewzruszenie wpatrywał się w okno, nawet nie spojrzął na Belle. Nienawiść widoczna na jej twarzy nie mogła być bardziej wymowna. Trafiłem w dziesiątkę. Wydało mi się, że wszystkie klocki układanki pasują do siebie, i dlatego postanowiłem odkryć karty.

- Dan, zachowywałem do tej pory cierpliwość, mając nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Nie usłyszałem nic poza inwektywami, mam więc wrażenie, że już nadszedł czas, by się pożegnać. Inaczej będę zmuszony cię wyrzucić, ciebie i tego zapchlonego kota! - odezwał się Miles.

- Ole! - odkrzyknąłem. - Po raz pierwszy tego wieczora przemówiłeś jak mężczyzna.

Ale nie zarzucaj Pitowi, że jest zapchlony. Zna angielski i może mu przyjdzie ochota przedyskutować ten problem w cztery oczy, a wtedy raczej cienko byś śpiewał. Dobrze, ekskolego, już znikam... ale muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Prawdopodobnie będą to moje ostatnie słowa skierowane do ciebie. Mogę?

—

No... proszę. Ale nie przeciągaj sprawy.

- Miles - wtrąciła się Belle. - Chcę ci coś powiedzieć. Nie spojrzął na nią, nieznacznym gestem dał znak, żeby zamilkła.

- Do rzeczy, Dan. I streszczaj się. Obróciłem się do Belle.

- To nie będzie dla ciebie miłe, Belle. Lepiej, żebyś wyszła.

Jasne, że nie ruszyła się z miejsca. O to właśnie mi chodziło. Ponownie spojrzałem na Milesa.

- Mój drogi, do ciebie nie czuję nawet specjalnego żalu. Mężczyźni zawsze byli gotowi na różne nieprawdopodobne głupstwa dla spódniczek. Jeśli uległ Samson i Marek Antoniusz, dlaczego ty miałbyś być odporny na kobiece wdzięki? Właściwie należy ci się wdzięczność. Przede wszystkim jest mi cię serdecznie żal. - Zerknąłem na Belle. - Teraz tobie siedzi na karku i musisz sobie sam radzić... Ja zapłaciłem częścią akcji i zszarpanymi nerwami. Nie mam pojęcia, czego zażąda od ciebie. Oszukała mnie i udało jej się przekonać starego, zaufanego przyjaciela, żeby mnie zdradził... Ciekaw jestem, kiedy zakpi z nowej ofiary i puści cię kantem. Za tydzień? Za miesiąc? A może dopiero za rok? To jest tak pewne, jak to, że pies wraca zawsze do miejsc, które obsikał...

- Miles! - zajęczała Belle.

- Wynoś się! - rozkazał Miles niebezpiecznym tonem. Wiedziałem, że mówi poważnie. Wstałem.

- Po prostu daliśmy się nabrać. Żal mi cię, przyjacielu. Obaj popełniliśmy na początku zasadniczy błąd i obaj jesteśmy winni. Ale rachunek za całość zapłacisz sam. Cholerna szkoda... ponieważ była to naprawdę głupia pomyłka.

Ciekawość przemogła urażoną dumę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Powinniśmy się zastanowić, co taką mądrą, piękną, zdolną i w ogóle pełną zalet kobietę skłoniło do pracy u nas za pensję maszynistki. Gdybyśmy wzięli jej odciski palców, jak praktykują wielkie koncerny, i sprawdzili na policji, może nie znalazłaby u nas posady... a my dwaj ciągle jeszcze byłibyśmy współnikami.

Znów trafiłem! Miles bacznie przyglądał się swojej małżonce, ta zaś wyglądała jak zaszczute zwierzę, jeżeli zwierzę może mieć takie kształty jak Belle. Nie potrafiłem utrzymać języka na wodzy i zacząłem jeszcze bardziej przykręcać śrubę. Podeszedłem do niej i z

uśmiechem zapytałem:

- Co ty na to, Belle? Gdybym wziął tę szklankę stojącą obok ciebie i zdjął odciski palców, czego bym się dowiedział? Pieniądze na pocztę? Oszustwa? Albo bigamia? Może wychodziłaś za męża za frajerów, a później obrabiałaś ich z forsą? Czy Miles jest twoim legalnym małżonkiem?

Wyciągnąłem rękę i podniosłem szklankę.

Belle wytrąciła mi ją szybkim ruchem, a Miles zaczął na mnie wrzeszczeć.

Faktycznie posunąłem się za daleko. Byłem idiotą, wchodząc bezbronny do klatki z dzikimi zwierzętami, na koniec zaś, nie przestrzegając pierwszego przykazania pogromcy, odwróciłem się do nich tyłem. Miles coś krzyknął, stanąłem i powoli zacząłem się odwracać. Zauważyłem, iż Belle sięgnęła po torebkę... zdziwiłem się, że wybrała dziwny moment na papierosa. Potem poczułem ukłucie igłą.

Pamiętam, że gdy słabły mi kolana i osuwałem się na podłogę, odczuwałem tylko zdziwienie: jak Belle mogła zrobić coś takiego. Mówiąc szczerze, wciąż jej wierzyłem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przytomności nie straciłem nawet na chwilę. Kiedy narkotyk zaczął działać, a działał chyba szybciej niż morfina, zakręciło mi się w głowie i straciłem poczucie rzeczywistości. Innych objawów nie zauważyłem. Miles krzyknął coś do Belle, a kiedy ugięły się przede mną nogi, złapał mnie wpół i usadowił na krześle. Wirowanie momentalnie ustąpiło. Chociaż widziałem i słyszałem wszystko, byłem odrętwiały. Teraz już wiem, czym mnie uraczono: „snami umarłych”. O ile wiem, nigdy nie wypróbowano działania tej trucizny na jeńcach, ale stosowano ją czasem przy praniu mózgu. Istnieje więc, nielegalna, lecz nader użyteczna. Bóg jeden wie, jak ta fiołka wpadła w ręce Belle.

Wtedy nie myślałem o tym. Nie myślałem też, ilu frajerów Belle owinęła sobie wokół

palca. Nie myślałem w ogóle. Byłem jak kłoda, widziałem wszystko - ale gdyby obok mnie przeszła lady Godiva bez konia, nawet bym nie mrugnął.

Zrobiłbym tylko to, co by mi kazano.

Pit wy dostał się z torby, przybiegł do mnie i zapytał, co się stało. Gdy nie odpowiedziałem, zaczął zapamiętale drapać mnie po łydkach, domagając się odpowiedzi.

Wciąż nie reagowałem, wskoczył mi więc na kolana, oparł przednie łapy na piersi, spojrzał prosto w oczy i zażądał wyjaśnień, natychmiast i bez wykrętów.

Ponieważ nadal milczałem, zaczął lamentować.

To zmusiło Milesa i Belle do zwrócenia na nas uwagi. Miles obrócił się ku Belle i wściekle warknął: ,

- No to teraz masz. Zwariowałaś?

- Tylko się nie denerwuj, kuleczko. Skończymy z nim raz na zawsze.

- Co? Jeżeli myślisz, że będę pomagał ci w morderstwie...

- Nie mów głupstw! Byłoby to logiczne... ale ty masz na to za słabe nerwy. Na szczęście nic nie może zrobić, przynajmniej dopóki ma w sobie to świństwo.

- O czym mówisz?

- Teraz jest w naszym ręku. Zrobi wszystko, co mu rozkażę. Nie będzie już przysparzał kłopotów.

- Ale... na litość boską, Belle, nie możesz przecież wiecznie karmić go tym narkotykiem. Jak tylko przyjdzie do siebie...

- Przestań głądzić jak prawnik. Nawet jak to draństwo przestanie działać, będzie robił, co mu każę. Powiem mu, żeby nie składał skargi - grzecznie posłucha. Rozkażę, żeby przestał wciskać nos w nasze sprawy - zaraz się z nich wycofa. Powiem mu, żeby pojechał do Timbaktu - pojedzie. Polecę, żeby o wszystkim zapomniał - zapomni... Zrobi wszystko, czego

będę chciała.

Słuchałem jej, rozumiałem, o czym mówi, ale nie interesowało mnie to w najmniejszym stopniu. Gdyby ktoś zaczął krzyczeć, że dom stoi w płomieniach, oczywiście zrozumiałbym, że to pożar, lecz nie ruszyłbym się z miejsca.

- Nie wierzę.

- Nie wierzysz? Hm... - Dziwnie spojrzała na niego. - Lepiej by było, gdybyś uwierzył.

- Co?! Co masz na myśli?

- Nic, nic. Ten drobiazg działa, kuleczko. Najpierw jednak musimy...

W tym momencie Pit zaczął jęczeć. Kocięgo narzekania nie słyszy się zbyt często; być może nie usłyszycie go nigdy w życiu. Koty nie lamentują nawet wtedy, gdy odniosą ciężką ranę w bójkę, ani (zwłaszcza), gdy się przestraszą.

Kot narzeka tylko w sytuacji beznadziejnej, kiedy rozwiązanie problemu przekracza jego możliwości. Wtedy nie zostaje mu nic innego jak pieśń pogrzebowa.

W kocim płaczu można znaleźć zapowiedź czyjejś śmierci - rozpaczliwe miauczenie poraża nerwy, które z trudem wytrzymują przejmujące, wysokie zawodzenie.

Miles odwrócił się i zaklął:

- Cholerny kot! Z nim też trzeba coś zrobić.

- Zabij go - zaproponowała Belle.

- Co? Widzę, że jesteś zwolenniczką gwałtownych metod, moja droga. Dan zrobiłby z powodu tego cholernego zwierzaka większy hałas, niż gdybyśmy jego samego obdarli ze skóry. Tutaj...

Sięgnął ręką i podniósł torbę podróżną Pita.

- Więc ja go zabiję! - rzuciła wściekle Belle. - Już od kilku miesięcy mam na to

ochotę!

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu jakiejś broni. Obok kominka dostrzegła pogrzebacz. Szybko podbiegła i jednym ruchem wyciągnęła go ze stojaka.

Miles podniósł Pita i próbował wsadzić go z powrotem do torby.

„Próbował” - to właściwe określenie. Pit nie znosi, by ktoś, oprócz mnie i Ricky, brał go na ręce, a kiedy coś mu doskwiera, nawet ja nie mam odwagi doń się zbliżyć, nie ugłaskawszy go wpierw dobrym słowem.

Każdy rozdrażniony kocur jest dla obcego niebezpieczny niczym mieszanka piorunująca, a Pit, który nawet w naj– lepszym humorze nie dopuszczał do siebie nieznajomych, był groźny w dwójnasób.

Wbił pazury w łokieć Milesa. Zębami zaatakował opuszkę jego lewego palca. Miles wrzasnął i puścił kota na podłogę.

- Odsuń się, kuleczko! - krzyknęła Belle i zamachnęła się pogrzebaczem.

Zamiary tej kobiety były zupełnie oczywiste. Miała siłę i broń. Nie potrafiła jednak obchodzić się z żelaznym prętem, a Pit do perfekcji opanował sztukę samoobrony. Przemknął pod ramieniem Belle i zaatakował w czterech miejscach naraz - po dwie łapki na każdą nogę. Belle jęknęła z bólu i wypuściła pogrzebacz.

Dalsze wydarzenia pozostały w mojej pamięci jako nader mgliste wspomnienie.

Ciągle jeszcze patrzyłem prosto przed siebie, co pozwalało mi widzieć prawie całą jadalnię, poza nią nie widziałem w ogóle nic, gdyż nie otrzymałem polecenia, by spojrzeć gdzie indziej. Następne fazy bitwy śledziłem głównie słuchem, z wyjątkiem jednego fragmentu, kiedy uczestnicy starcia przebiegali obok mnie - najpierw dwoje ludzi ścigających kota, a za moment, równy drgnieniu oka, dwoje ludzi ściganych przez kota. Oprócz tej jednej sceny całą bitwę znam jedynie z odgłosów uderzeń, bieganiny, krzyków, przekleństw i złorzeczeń.

Myślę, że nie tknęli go nawet palcem.

Największą przykrością, jaka spotkała mnie w ten wieczór, w godzinę największego triumfu Pita, który stoczył najbardziej chwalebny z wszystkich swych bitew, był nie fakt, iż nie widziałem dokładnie całej walki, lecz przede wszystkim to, że nie mogłem należycie ocenić wygranej. W godzinę jego największego zwycięstwa byłem zupełnie do niczego.

Dzisiaj, wspominając te wydarzenia, usiłuję wyobrazić sobie odczucia, których wtedy nie mogłem zakosztować. Jednak marna namiastka nie zastąpi autentycznej przygody. Nigdy nie będę mógł jej przeżyć, gdyż w owym czasie byłem zupełnie drętwy niczym nowożeńiec, który w noc poślubną zapadł w śpiączkę.

Uderzenia i przekleństwa nagle ustały i wkrótce potem Miles i Belle wrócili do jadalni. Belle, ciężko dysząc, zapytała jadowitym tonem:

- Kto zostawił otwarte drzwi?!

- Chyba ty. A poza tym stul pysk.

Miles miał pokrwawioną twarz i ręce, obmacywał świeże zadrapania na czole i na policzkach. W którymś momencie potyczki musiał potknąć się o coś i upaść - sugerował to stan jego ubrania. Jego marynarka była rozdarta na plecach.

- Nie będę milczała... Czy w tym domu jest jakiś rewolwer?

- Co?

- Zastrzelę tego cholernego kota!

Belle poniosła jeszcze większe straty niż Miles, miała bowiem więcej odsłoniętych miejsc, do których mógł się dostać Pit - nogi, uda i gołe ramiona.

W tej sytuacji nie było co marzyć o wieczorowej sukni z dużym dekoltem. Poza tym groziło jej, że jeśli nie postara się szybko o fachowy opatrunek, pozostaną ślady na pamiątkę tego spotkania.

Wyglądała jak harpia po bezpardonowej walce z siostrami.

- Siadaj - polecił jej Miles.

Odpowiedziała krótko i - jak się można było spodziewać - przecząco.

- Ja tego kota zabiję!

- No to nie siadaj. Idź się umyć. Pomogę ci przemyć rany i zawinąć bandażem, a potem ty mi pomożesz. Ale o istnieniu tego kota zapomnij, ciesz się, że go tu już nie ma.

Belle powiedziała coś niby bez związku, lecz Miles ją zrozumiał.

- Ty także - odparował szorstko - nawet dwa razy. Pomyśl, Belle, gdybym dał ci rewolwer (nie twierdzę, że go mam, ale przyjmijmy, że mam), wybiegłabyś przed dom i zaczęła strzelać. Niewykluczone, że zdobyłabyś myśliwskie trofea, ale ponad wszelką wątpliwość ściągnęłabyś nam na kark policję, która zaczęłaby węszyć po kątach. Chcesz, żeby tutaj przyszli, gdy mamy w domu jego? - Wskazał na mnie palcem. - A jeśli wieczorem wyjdiesz nie uzbrojona, ta bestia cię zabije. - Zachmurzył się jeszcze bardziej. - Powinien istnieć jakiś przepis, który zakazywałby trzymać takie potwory w domach. To zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Tylko go posłuchaj.

Wszyscy słyszeliśmy, jak Pit krąży wokół budynku. Teraz już nie złorzeczył; jego wojenny okrzyk był wyzwaniem, by przeciwnicy wybrali broń i stanęli na placu pojedynczo lub razem.

Belle z przejęciem słuchała bojowych okrzyków Pita. Była najwyraźniej wstrząśnięta.

- Nie bój się - uspokajał ją Miles - do środka się nie dostanie. Założyłem siatkę i zamknąłem porządnie drzwi, które zostawiłaś otwarte.

- To nie ja!

- Być może.

Miles obszedł salon, sprawdzając okna. Belle wyszła z pokoju. Podążył za nią. Pit

uciszył się. Jak długo trwała ich nieobecność, nie wiem - czas nie miał dla mnie żadnego znaczenia.

Belle wróciła pierwsza. Umalowana i uczesana, włożyła suknię z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. Zmieniła też zniszczone pończochy. Wydawało się, że oprócz kilku zadrapań na twarzy zaklejonych plastrem nie odniosła innych obrażeń. Gdyby nie to, że na jej obliczu gościła gradowa chmura, wyglądałaby całkiem rozkosznie. Podeszła do mnie i kazała mi wstać. Wstałem. Szybko i fachowo przeprowadziła rewizję, nie zapominając o kieszonce na zegarek, kieszeniach koszuli i ukośnej kieszonce po wewnętrznej, lewej stronie marynarki, której większość ubrań w ogóle nie ma. Łup nie był wielki - portmonetka z niewielką ilością gotówki, dokumenty, prawo jazdy i jakieś inne papiery, klucze, trochę drobnych, przeciwsmogowa buteleczka inhalacyjna, kilka niepotrzebnych drobiazgów i koperta z potwierdzonym czekiem, który sama wystawiła i podpisała. Odwróciła go i przeczytała. Uśmiechnęła się zdziwiona.

- Co to ma znaczyć, Dan. Ubezpieczyłeś się?

- Nie.

Powiedziałbym jej wszystko, ale potrafiłem odpowiadać tylko na ostatnie zadane mi pytanie.

Zachmurzyła się, odłożyła czek z resztą zawartości. Potem wpadła jej w oko torba Pita. Zauważyłem, jak błysk zrozumienia przebiegł przez jej twarz - przypomniała sobie o kieszeni, której używałem jako schowka na dokumenty.

Podniosła torbę i odsunęła zamek błyskawiczny. Natychmiast znalazła wszystkie cztery komplety dokumentów, które podpisywałem dla ubezpieczalni Mutual. Usiadła i zaczęła je przeglądać. Tkwiałem tam, gdzie mnie zostawiła, jak manekin krawiecki czekający na odstawienie do kąta.

Po chwili do pokoju wszedł Miles. Miał na sobie płaszcz kąpielowy, mnóstwo opatrunków i plastrów. Wyglądał jak czwartorzędny bokser wagi średniej, którego menedżer wystawił na odstrzał. Jeden bandaż opasywał łysawą główkę niczym indiański wojenny pióropusz - od czoła aż po szyję. Było jasne, że Pit szczególnie mocno dał się Milesowi we znaki, gdy ten leżał na ziemi.

Belle podniosła na niego wzrok i powiedziała, żeby nie przeszkadzał, dopóki nie skończy przeglądać dokumentacji. Usiadł obok niej i zaczął studiować papiery odłożone już przez Belle. Czytał szybciej i ostatnią kartkę przejrzeli wspólnie.

- To zmienia zupełnie sytuację - stwierdziła.

- Powiem więcej. To polecenie kontroli lekarskiej ma datę 4 grudnia - datę jutrzejszego dnia. Belle, Dan jest bardziej niebezpieczny niż dynamit. Musimy się go pozbyć.

- Spojrzał na zegarek. - Rano zaczną go szukać.

- Miles, tobie zawsze zaczynają trząść się portki, jak przyjdzie co do czego. To jest nasza szansa, być może wyjątkowa szansa, o jakiej mogliśmy tylko marzyć.

- Jak to sobie wyobrażasz?

- Te „sny umarłych” są wprawdzie rewelacyjne, ale mają jedną wadę. Powiedzmy, że poczęstujesz nimi kogoś i objaśnisz, czego od niego chcesz. Okay, zrobi wszystko, co mu każesz, bo po prostu nie może inaczej. Wiesz coś o hipnozie?

- Niewiele.

- A znasz coś oprócz paragrafów, kuleczko? Czyżby nic cię nie interesowało.

Posthipnotyczny nakaz, którego ewidentnym przykładem jest nasz Danny, może być i prawie zawsze jest sprzeczny z rzeczywistymi pragnieniami obiektu hipnozy. Może się zdarzyć, że wskutek tego trafi do psychiatry, który, jeżeli jest coś wart, prawdopodobnie zorientuje się, o co chodzi. Dlatego nie możemy dopuścić, aby Dan skontaktował się z psychiatrą, bo ten

mógłby odwołać rozkazy przez nas wydane. Gdyby do tego doszło, mielibyśmy masę kłopotów.

- Cholera, przecież twierdziłaś, że ten narkotyk jest pewny.

- Mój Boże, kuleczko, w życiu musisz ciągle ryzykować, w tym tkwi cała

przyjemność. Poczekaj, niech pomyślę. - Po chwili ciągnęła: - Najprostszym i

najbezpieczniejszym rozwiązaniem jest wsadzić go do lodówki, żeby sobie trochę pospał,

skoro już miał ten zamiar. Nie mógłby nam przysporzyć więcej kłopotów, nawet gdyby był

martwy - a ryzyko jest minimalne. Zamiast dać mu mnóstwo złożonych rozkazów i modlić się

potem, żeby je wszystkie wykonał, wystarczy, iż polecimy mu ułożyć się do „zimnego snu”,

zostawimy go, aby wytrzeźwiał, a potem go wyrzucimy... albo najpierw go wyrzucimy, a

potem niech wytrzeźwieje. - Odwróciła się do mnie. - Dan, kiedy chcesz położyć się do

komory hibernacyjnej?

- Nie chcę.

- Co? A to wszystko skąd się wzięło? - Wskazała dokumenty wyjęte z torby.

- To są dokumenty „zimnego snu”. Umowy z ubezpieczalnią Mutual.

- Chyba ma nierówno pod sufitem - sarkastycznie stwierdził Miles.

- Hmm... oczywiście, że tak. Cały czas zapominam, że ludziom pod działaniem tego

specyfiku płaczą się myśli. Słyszysz się i widzi, odpowiada na pytania... tylko że trzeba je jasno

sformułować. On nie jest zdolny do myślenia abstrakcyjnego. - Podeszła bliżej i spojrzała mi

w oczy. - Dan, chcę, żebyś mi wyjaśnił sprawę swojej hibernacji. Opowiedz dokładnie

wszystko od początku do końca. Tutaj masz komplet dokumentów własnoręcznie

podpisanych. Teraz twierdzisz, że nie chcesz iść spać. Powiedz, dlaczego chciałeś to zrobić, a

teraz nagle zniechęciłeś się.

Więc jej opowiedziałem. Kiedy tak sformułowała polecenie, mogłem już

odpowiedzieć. Historia ciągnęła się długo, ponieważ wyjaśniałem jej wszystko, jak mi nakazała, to znaczy opisywałem wydarzenia z najdrobniejszymi szczegółami.

- W tej przydrożnej restauracji podjąłeś decyzję, że nie pójdiesz do hibernatora, lecz udasz się tutaj i wypowiesz nam otwartą wojnę?

- Tak.

Chciałem mówić dalej: jak tu jechałem, co powiedziałem Pitowi i jak Pit zareagował, jak zatrzymałem się w sklepie i zabezpieczyłem akcje Hired Girl i jak dojechałem do domu Milesa, jak Pit nie chciał czekać w samochodzie, jak...

Nie dała mi dojść do słowa.

- Dan, ponownie się rozmyśliłeś. Chcesz przespać następne trzydzieści lat. Nie pozwolisz, by cokolwiek na świecie przeszkodziło ci zrealizować ten zamiar. Rozumiesz? Co zrobisz?

- Położę się do hibernatora. Chcę spać...

Nagle zatoczyłem się. Stałem jak strach na wróble już ponad godzinę i nie poruszałem żadnym mięśniem, ponieważ nikt mi tego nie nakazał. O mało nie upadłem wprost na Belle.

Uskoczyła.

- Siadaj! Usiadłem. Belle zwróciła się do Milesa.

- Mamy go z głowy. Będę ćwiczyć z nim te kilka zdań, dopóki nie upewnimy się, że niczego nie poplącze. Miles zerknął na zegarek.

- Powiedział, że doktor oczekuje go o dwunastej.

- A zatem mamy masę czasu. Powinniśmy odwiedzić go tam sami, bo strzeżonego...

Nie, do diabła!

- Co się stało?

- Nie mamy czasu. Zaaplikowałam mu końską dawkę „snów”, ponieważ chciałam, by

narkotyki zadziałał, zanim Dan zdąży wytrącić mi strzykawkę z ręki. W południe będzie dość trzeźwy, aby przekonać wszystkich, że nie pił. Ale doktora nie nabierze.

- Może to będzie tylko formalność? Badania lekarskie są już podpisane.

- Przecież mówił nam, jak zareagował ten doktorek. Sam słyszałeś. Chce przekonać się, czy Dan nic nie pił przez ostatnie 24 godziny. Musi sprawdzić odruchy podświadome, stan dna oka, zmierzyć szybkość reakcji. A do tego nie możemy dopuścić. Ten wariant odpada, Miles.

- Może poczekać jeszcze dzień? Zadzwońmy tam i powiemy, że nastąpiło małe opóźnienie...

- Zamknij się, pozwól mi myśleć.

Po chwili zaczęła przeglądać papiery, które przyniosłem ze sobą. Wstała, wyszła z pokoju, po kilku sekundach wróciła z jubilerską lupą, którą wsadziła w prawe oko jak monokl, i starannie zaczęła studiować każdy dokument.

Miles zapytał, co robi, ale nie zwróciła na niego uwagi. Wreszcie odsunęła lupę od oka i powiedziała:

- Dzięki Bogu, że wszyscy muszą używać identycznych oficjalnych formularzy, kuleczko. Podaj mi książkę telefoniczną przedsiębiorstw.

- Po co?

- Podaj i niech cię to nie obchodzi. Chcę sprawdzić nazwę jednej firmy... wiem, jak się nazywa, ale wolałabym się upewnić.

Miles mamrocząc przyniósł gruby tom. Chwilę kartkowała, a potem kiwnęła głową.

- Tak. Kalifornijska Ubezpieczalnia Master!... i na każdym dokumencie jest dosyć miejsca. Lepiej byłoby pracować z ubezpieczalnią „Motors” zamiast „Master”, nie miałabym wtedy żadnych problemów. Ale w ubezpieczalni Motors nikogo nie znam, poza tym wydaje

mi się, że oni zajmują się tylko samochodami, a nie hibernacją. - Podniosła wzrok. -

Kuleczko, odwieziesz mnie natychmiast do fabryki.

- Teraz?

- Jeżeli nie znasz szybszego sposobu znalezienia elektrycznej maszyny do pisania z ozdobnymi czcionkami i węglową taśmą, to nic nie mów, tylko chodź ze mną. Albo nie, jedź sam i przywieź ją tutaj, muszę załatwić kilka telefonów.

Miles nie był zachwycony tym pomysłem.

- Zaczynam rozumieć twój plan. To czyste szaleństwo, Belle. I cholernie niebezpieczne. Zaśmiała się.

- To ty tak myślisz. Mówiłam przecież, że mam dobre układy. Umiałbyś sam załatwić tę umowę z Mannixem?

- Hmm... nie wiem.

- Ale ja wiem. Wiem również, że ubezpieczalnia Master jest częścią koncernu Mannixa. Za to ty o tym nie wiedziałeś.

- Rzeczywiście, nie wiedziałem, ale dalej nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

- To znaczy, że nadal mam dobre wejścia. Popatrz, kuleczko, firma, w której poprzednio pracowałam, pomagała Mannixowi w obniżeniu strat z tytułu podatków... dopóty, dopóki mój szef nie zapadł się pod ziemię. Jak myślisz, jakim cudem udało nam się zawrzeć tak korzystną umowę, nie mając żadnej gwarancji, że kochany Daniel zgodzi się na wszystko? Ja wiem wszystko o Mannixie. A teraz pospiesz się, przynieś tę maszynę, a będziesz miał możliwość przyjrzeć się pracy fachowca. I uważaj na kota.

Miles coś zamamrotał, ale posłusznie wziął torbę i wyszedł. Po chwili wrócił.

- Belle! Czy Dan zaparkował swój samochód przed domem?

- Dlaczego pytasz?

- Nie ma go przed furtką. Był wyraźnie zmartwiony.

- Może stanął gdzieś za rogiem. To nie ma znaczenia. Przywieź tylko tę maszynę.

Pospiesz się!

Miles ponownie wyszedł. Mogłem im powiedzieć, gdzie stoi mój samochód, ale ponieważ nie zadali mi takiego pytania, nie myślałem o tym. Przestałem zresztą myśleć o czymkolwiek.

Belle zniknęła w innym pokoju i zostałem sam. Gdzieś nad ranem, jak tylko zaczęło świtać, zjawił się Miles, niosąc naszą ciężką maszynę do pisania. Wyglądał na wyczerpanego.

Potem znowu zostałem sam.

W pewnym momencie Belle wróciła do salonu.

- Dan, znalazłam w twoich papierach dokument, w którym przekazujesz ubezpieczalni pełnomocnictwo na dysponowanie twoimi akcjami Hired Girl. Tego przecież nie chcesz zrobić, chcesz je dać mnie.

Nie odpowiedziałem. Spojrzała na mnie rozzłoszczona i mówiła dalej.

- Powiedzmy inaczej. Ty przecież chcesz dać mi te akcje. Wiesz, że chcesz mi je dać?

- Tak, wiem.

- Doskonale. Chcesz mi je dać. Musisz mi je dać. Będziesz żałował, jeśli mi ich nie dasz. Gdzie one są? Masz je w samochodzie?

- Nie.

- Więc gdzie są?

- Wysłałem je pocztą.

- To niemożliwe - zaczęła jęczeć. - Kiedy je wysłałeś? Komu? Dlaczego to zrobiłeś?

Gdyby drugie jej pytanie było ostatnim, byłbym odpowiedział bez wahania.

Odpowiedziałem jednak na trzecie, ponieważ do niczego innego nie byłem zdolny.

- Przepisałem je. Miles wszedł do pokoju.

- Gdzie są te papiery?

- Mówi, że wysłał je pocztą... ponieważ na kogoś je przepisał. Dobrze by było, gdybyś znalazł i przeszukał jego samochód - może tylko chciał je wysłać. W tej ubezpieczalni miał je na pewno ze sobą.

- Przepisał je - powtórzył Miles. - Boże drogi! Na kogo?

- Zaraz go zapytam. Dan, na kogo przepisałeś swoje akcje?

- Na American Bank.

Nie spytała mnie dlaczego, inaczej musiałbym jej powiedzieć o Ricky. Opuściła ramiona i westchnęła.

- Sprawa się ryła, kuleczko. Możemy spokojnie zapomnieć o tych akcjach. Żeby wy dostać je z banku, potrzebowalibyśmy czegoś więcej niż pilniczka do paznokci... - Nagle błysnęła jej jakaś myśl - ...jeżeli naprawdę je wysłał. Jeśli tego nie zrobił, wyczyszczę klauzulę z odwrotnej strony tak pięknie, jakby wyszła z pralni chemicznej. A potem je znowu przepisze... na mnie.

- Na nas - poprawił ją Miles.

- To już detal. Poszukaj teraz jego wozu. Miles wrócił po jakimś czasie i oznajmił:

- Nie ma go na najbliższych sześciu parkingach. Objechałem w kółko wszystkie ulice, zaglądałem nawet do bram. Musiał przyjechać taksówką.

- Ale mówi, że przyjechał własnym wozem.

- Być może, ale koło domu go nie ma. Zapytaj lepiej, kiedy i gdzie wysłał te akcje.

Belle zapytała, a ja jej odpowiedziałem.

- Bezpośrednio przed przyjazdem do was wrzuciłem je do skrzynki na rogu Sepulveda i Ventura Boulevard.

- Myślisz, że kłamie? - niespokojnie dopytywał Miles.

- W tym stanie, w jakim jest, nie może kłamać. Doskonale pamięta wszystko, co dzisiaj robił... Możliwość fragmentarycznej utraty pamięci odpada. Zapomnijmy o tym, Miles. Być może, kiedy się go już pozbędziemy, okaże się, że to przepisanie jest nieważne z punktu widzenia prawa, ponieważ sprzedał nam te akcje wcześniej... Niech przynajmniej podpisze kilka czystych blankietów, przydadzą się później.

Spróbowała uzyskać mój podpis, a ja próbowałem sprostać jej wymaganiom. Ale nie potrafiłem jej usatysfakcjonować. Na skutek działania narkotyku podpis wychodził drżący i niepewny. Po kilku próbach wyrwała mi kartkę z ręki i z wściekłością oznajmiła:

- Jesteś zupełnie do niczego! Potrafię cię podpisać lepiej niż ty. - Potem pochyliła się ku mnie i wyszeptała: - Żałuję, że nie dorwałam twojego kota i nie wyprułam mu bebechów. Jakiś czas nikt się mną nie interesował. Potem do pokoju znowu weszła Belle.

- Danny, przyjacielu, zrobię ci zastrzyk, poczujesz się znacznie lepiej. Będziesz mógł wstać i chodzić, będziesz zachowywać się całkiem normalnie. Na nikogo nie będziesz się gniewał, a szczególnie na Milesa i na mnie. Jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Kto jest twoim najlepszym przyjacielem?

- Ty. Ty i Miles.

- Ale ja znaczę dla ciebie więcej niż najlepszy przyjaciel. Jestem twoją siostrą.

Powtórz.

- Jesteś moją siostrą.

- Bardzo dobrze. Teraz pojedziemy razem, a potem położysz się spać. Jesteś chory, a gdy się obudzisz, będziesz znów zdrowy. Rozumiesz?

- Tak.

- Kim jestem?

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Moją siostrą.

- W porządku. Podnieś rękaw.

Uklucia igły nie czułem, ale gdy ją wyciągała, trochę zaszczypało. Usiadłem, otrząsnąłem się i powiedziałem:

- Uważaj, siostrzyczko. Zbolało mnie. Co to było?

- Coś, po czym lepiej się poczujesz. Jesteś chory.

- Tak, jestem chory. Gdzie jest Miles?

- Będzie tutaj za chwileczkę. A teraz pokaż mi drugą rękę. Podnieś rękaw.

- Po co? - zapytałem, ale rękaw podwinąłem i pozwoliłem zrobić sobie drugi zastrzyk.

Gdy wyciągnęła igłę, lekko podskoczyłem.

Uśmiechnęła się.

- To przecież zupełnie nie bolało, prawda?

- Co? Nie, nie bolało. Po co był ten drugi zastrzyk?

- Żebyś smacznie spał w samochodzie. Kiedy dojedziemy, obudzisz się.

- Dobrze. Chce mi się spać. Potrzebny mi długi sen. - Nagle przestałem mówić i

rozejrzałem się wokoło. - Gdzie jest Pit? Pit miał iść spać ze mną.

- Pit? - zapytała Belle. - Ależ kochanie, czyżbyś nie pamiętał? Posłałeś Pita do Ricky.

Będzie się nim opiekowała.

- Tak, oczywiście! - zaśmiałem się z ulgą. - Posłałem Pita do Ricky, pamiętam, jak wrzucałem go do skrzynki. To bardzo dobrze. Ricky lubiła Pita; będzie o niego dbała, kiedy ja będę spał.

Odwieźli mnie do schroniska Consolidated w Sawtelle, z którego korzystało wiele małych ubezpieczalni, nie posiadających własnych komór hibernacyjnych. Przespałem całą drogę, ale gdy Belle zwróciła się do mnie, natychmiast się przebudziłem. Miles został w

samochodzie, ona zaś wprowadziła mnie do środka.

Dziewczyna w recepcji podniosła głowę.

- Davis?

- Tak - przytaknęła Belle. - Jestem jego siostrą. Gdzie mogę znaleźć przedstawiciela ubezpieczalni Master?

- Znajdzie go pani w hali numer 9 - są już przygotowani i czekają na was. Dokumenty może pani dać temu facetowi z ubezpieczalni. - Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. - Czy ma wyniki badań?

- Ależ oczywiście - upewniła ją Belle. - Wie pani, w przypadku brata chodzi o odroczonej terapię. Jest znieczulony... to z powodu bólu.

- Proszę się pospieszyć. Te drzwi; a później w lewo.

W hali numer 9 zobaczyłem mężczyznę w eleganckim garniturze, drugiego w białym roboczym kitlu i kobietę w stroju pielęgniarki. Pomogli mi się rozebrać, traktując jak niedorozwinięte dziecko, przy czym Belle znów wyjaśniła, że jestem pod wpływem środków uśmierzających z powodu ogromnych boleści. Kiedy byłem nagi i leżałem na stole, mężczyzna w białym fartuchu zaczął masować mój brzuch i wbijać w niego palce.

- Nie będzie problemów - oznajmił - jest pusty.

- Nie jadł i nie pił od wczorajszego wieczoru - potwierdziła Belle.

- To dobrze. Czasami przychodzą tutaj nafaszerowani jak indyk na Boże Narodzenie.

Niektórzy ludzie nie mają kropli oleju w głowie.

- Ma pan całkowitą rację.

- Hm. No dobrze. Chłopcze, zaciśnij porządnie pięść, a ja wbiję ci tę igłę.

Usłuchałem go i wszystko dokoła mnie zaczęło rozmywać się we mgle. Naraz przypomniałem sobie jedną rzecz i chciałem usiąść.

- Gdzie jest Pit? Chcę widzieć Pita. Belle wzięła mnie za rękę i pocałowała.

- Dobrze już, dobrze, braciszku! Pit nie mógł przyjechać, pamiętasz, Pit musiał zostać z Ricky.

Uciszyłem się, a Belle stłumionym głosem wyjaśniła lekarzowi:

- Nasz brat Piotr ma w domu chorą córeczkę. Zaczynałem usypiać.

Przez moment było mi bardzo zimno. Nie miałem nawet siły podciągnąć kołdry.

Zasnąłem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Skarżyłem się barmanowi na klimatyzację - wentylator ze zbyt dużą prędkością nawiewał zimne powietrze i bałem się, że wszyscy się przeziębimy.

- Nie szkodzi - zapewniał mnie. - Niech pan zaśnie, wtedy zimno przestanie panu dokuczać. Spać... sen... najpiękniejszą część dnia... przepiękny sen.

Miał twarz Belle.

- A może by tak coś ciepłego do wypicia?... - zaproponowałem nieśmiało. - Toma & Jerry? Albo gorącą herbatę, a do niej pleciucha?

- Sam jesteś pleciuch - odpowiedział doktor. - Sen to dla ciebie zbyt wielki rarytas.

Wyrzucić stąd tego marudę!

Chciałem zaprzeć się nogami o mosiężną poręcz, żeby im przeszkodzić. Jednak ten bar nie miał żadnej poręczy, co już było dziwne, a jeszcze dziwniejsze, że leżałem na plecach.

Przypuszczałem, że wprowadzono obsługę dla ludzi bez nóg. Jeśli jednak nie miałem nóg, to w jaki sposób dostałem się pod poręcz? A gdzie są moje ręce?

- Popatrz, nie mam rąk! - Pit siedział mi na piersiach i głośno narzekał.

Ponownie powołano mnie do wojska... były to chyba te kretyńskie „ćwiczenia dla dorosłych" w Camp Hale, kiedy wrzucają wam śnieg za kołnierz, by zrobić z was mężczyznę.

Musiałem wspinać się na przekłętą i najwyższą w całym Kolorado górę. Wokół było pełno lodu, a ja nie miałem nóg. Mimo to targałem największy tornister, jaki kiedykolwiek widziano - przypomniałem sobie, że ktoś wpadł na genialny pomysł sprawdzenia, czy można używać żołnierzy zamiast zwierząt jucznych, a mnie wybrano z powodu niewielkiej przydatności do walki. W ogóle nie dałbym rady, gdyby nie pomoc małej Ricky, która popychała mnie z tyłu.

Starszy sierżant, przełożony, obrócił się w moją stronę. Miał twarz Belle i był siny z wściekłości.

- No, ruszaj się! Nie możemy na ciebie czekać. Jest mi wszystko jedno, czy dojdiesz tam, czy nie... ale spać tu nie będziesz!

Moje nie istniejące nogi niosły mnie dalej. Upadłem w lodowato ciepły śnieg i zasnąłem, podczas gdy mała Ricky płakała i prosiła mnie, żebym się obudził. Ale ja musiałem spać. Przebudziłem się w łóżku z Belle. Potrząsała mną i krzyczała:

- Wstawaj, Dan! Nie mogę czekać na ciebie trzydzieści lat, dziewczyna taka jak ja musi myśleć o przyszłości.

Próbowałem wstać i podać jej worki złota, które trzymałem pod łóżkiem, lecz już jej nie było, a wtedy „Dziewczyna na posługi” z twarzą Belle pozbierała całe złoto, ułożyła je na swojej tacy i uciekła z pokoju. Chciałem biec za nią, ale nie miałem nóg... nagle stwierdziłem, że nie mam wcale ciała.

Jestem całkiem sam, nikt się mną nie opiekuje... Świat składa się ze starszych sierżantów i z pracy... Gdzie i jak pracuję, nie ma żadnego znaczenia. Pozwalam znowu się objuczyć i zaczynam ponownie wspinać się na tę lodową górę. Jest cała biała i przepięknie kulista. Gdybym tylko dostał się na różowy wierzchołek, pozwolono by mi spać, a tylko tego potrzebuję. Nie osiągnę jednak szczytu... jestem bez rąk, bez nóg, bez niczego.

Na górze wybuchła pożar lasu. Śnieg nie taje, ale czuję, jak obmywają mnie fale gorąca, gdy wpinam się z mozołem coraz wyżej. Starszy sierżant, pochylając się nade mną, wrzeszczy: „Obudź się... obudź się... obudź się...” Zaledwie mnie obudzono, znów kazano mi zasnąć. Z tego, co działo się później, mam dosyć mgliste wspomnienia. Część tego czasu spędziłem na wibrującym stole, otoczony reflektorami i tłumkiem ludzi. Kiedy całkiem się obudziłem, leżałem w szpitalnym łóżku i czułem się prawie dobrze, gdyby nie dziwne uczucie, podobne trochę do stanu wznoszenia się, którego człowiek często doświadcza po tureckiej łaźni. Miałem znowu ręce i nogi. Nikt nie chciał jednak ze mną rozmawiać i ilekroć kogoś o coś pytałem, pielęgniarka zatykała mi usta. Często robiono mi masaże, a któregoś dnia rano poczułem się zupełnie dobrze i zaraz po przebudzeniu wstałem z łóżka. Miałem lekkie zawroty głowy, lecz poza tym nic nie dokuczało. Wiedziałem już, kim jestem i w jaki sposób dostałem się do hibernatora, uświadomiłem sobie również, że moje koszmarne przeżycia były tylko snem.

Wiedziałem też, komu zawdzięczam to wszystko. Jeżeli nawet Belle usiłowała wymóc na mnie, gdy byłem pod wpływem narkotyku, żebym żadnego z jej świństw nie pamiętał, teraz jej czary przestały działać. Winą można było obarczać albo niedoświadczoną hipnotyzerkę, albo trzydziestoletni sen, który wymazał wszystko z mojej pamięci. Pewnych szczegółów nie pamiętałem dokładnie, lecz w pełni zdawałem sobie sprawę z tego, jaki numer mi wycięli. A jednak nie czułem specjalnie wielkiej wściekłości. Co prawda, stało się to dopiero „wczoraj”, gdyż sen oddziela jeden dzień od drugiego. Ale w moim wypadku letarg trwał trzydzieści lat. To, co odbierałem jako całkowicie subiektywne, było trudne do precyzyjnego zdefiniowania, bo chociaż pamiętałem dokładnie „wczorajsze” wydarzenia, przyjmowałem je jak bardzo odległą przeszłość.

Czy widzieliście w telewizji podwójne ujęcie gracza baseballu, który w jednym kadrze

przygotowuje się do uderzenia piłki, a drugie ujęcie przedstawia go w chwili, gdy całkowicie zasłania boisko i z trudem mieści się na ekranie?

Coś podobnego działo się ze mną... moje świadome wspomnienia działały na zasadzie ujęcia na pierwszym planie, ale reakcje emocjonalne odnosiły się do czegoś odległego w czasie i przestrzeni.

Oczywiście, miałem zamiar odszukać Belle i Milesa i przerobić ich na karmę dla kotów, ale na razie nie było pośpiechu. Wystarczy, że zajmę się tym za kilka miesięcy - teraz muszę poznać rok 2000.

Ale a propos kotów, gdzie podział się Pit? Powinien tu gdzieś być... jeżeli naturalnie biedaczek przeżył tak długi sen.

W tym momencie - i ani o chwilę później - przypomniałem sobie, że moje starannie przygotowane plany wspólnej hibernacji wzięły w łeb.

Wyciągnąłem Belle i Milesa z przegródki „ad acta” i przesunąłem na pozycję „aktualne”. Więc oni próbowali zabić mojego kota, taak?

To było coś gorszego niż zwykle morderstwo: wygnali Pita, żeby zdziczał... żeby spędził resztę swych dni na poniewierce, przemykając po bocznych uliczkach, grzebiąc w śmietnikach w poszukiwaniu odpadków, żeby został z niego szkielet o wystających żebrach, a jego dobroduszny charakter przemienił się w trwałą nieufność i nienawiść do wszystkich dwunożnych istot.

Zostawili go, by umarł - z pewnością już od dawna nie żyje - zostawili go, by umarł w przekonaniu, że nawet ja go opuściłem.

Za to będą musieli mi zapłacić - jeżeli jeszcze żyją... Miałem nadzieję, że tak, i że i będę mógł się zemścić za ich podłość... Tego nie można puścić płazem!

Uświadomiłem sobie, że stoję w piżamie obok łóżka, trzymając się poręczy, by

zachować równowagę. Rozejrzałem się i postanowiłem kogoś przywołać. Szpitalne sale w zasadzie się nie zmieniły. W mojej izolatce nie było okna. Nie mogłem się zorientować, skąd pada światło. Łóżko było wysokie i wąskie, tak jak za moich czasów, ale zauważyłem, że jego konstrukcja umożliwia nie tylko spanie, gdyż w dole wmontowano rurę w kształcie kaczki pełniącą prawdopodobnie funkcję basenu, a i nocny stolik był integralną częścią konstrukcji. W normalnych okolicznościach na pewno zainteresowałbym się tym urządzeniem, ale w tej chwili pragnąłem tylko znaleźć przycisk przywołujący pielęgniarkę - po prostu chciałem się ubrać.

Dostrzegłem klawisz, nacisnąłem. Na ekranie monitora wiszącego w nogach łóżka zaświecił się napis: PRZYWOŁANIE PIELEŃNIARKI. W ułamku sekundy zgasł i zaraz pojawił się następny: PROSZĘ CHWILĘ POCZEKAĆ.

Szybko i bezgłośnie otworzyły się drzwi i weszła pielęgniarka. Pielęgniarki też się niewiele zmieniły. Ta moja była całkiem do rzeczy, choć zachowywała się prawie jak sierżant na placu ćwiczeń. Na krótko ostrzyżonych włosach koloru orchidei kołysał się mały, idealnie biały czepek, szeleściła sztywno nakrochmalonym, także białym jak śnieg fartuchem. Fason fartucha zasłaniał i odsłaniał miejsca cokolwiek inne niż w roku 1970 - ale zmiany w kobiecych strojach, nawet takich jak roboczy mundurek, były nieuniknione i niezmiennie trwały od tysięcy lat. Nieważne, który był wiek - po jej zachowaniu mogłem od razu poznać, że mam do czynienia z pielęgniarką.

- Proszę natychmiast położyć się do łóżka!

- Gdzie moje ubranie?

- Z powrotem do łóżka! I to zaraz!

- Proszę siostry, jestem wolnym obywatelem, od dawna pełnoletnim i nie notowanym.

Do łóżka wracać nie muszę i tego nie zrobię. Proszę pokazać mi, gdzie mam ubranie, albo

wyjde w takim stroju.

Spojrzała na mnie, obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Drzwi rozsunęły się automatycznie, gdy tylko stanęła na progu. Spróbowałem zrobić to samo. Niestety, dla mnie stanowiły przeszkodę nie do pokonania. Nie mogłem odkryć zasady ich działania, chociaż byłem przekonany, że co jeden technik wymyśli, to drugi w końcu zdekonspiruje. Nie miałem zresztą na te rozmyślenia zbyt wiele czasu, drzwi bowiem otworzyły się znowu i do pokoju wszedł mężczyzna.

- Dzień dobry - pozdrowił mnie. - Jestem doktor Albrecht.

Miał na sobie coś pośredniego między niedzielnym ubraniem z Harlemu i strojem na piknik, ale zmęczone oczy należały do profesjonalisty - byłem skłonny mu zaufać.

- Dzień dobry, doktorze. Chciałbym dostać ubranie.

Wszedł do pokoju, by drzwi mogły się zasunąć, nie przyciąwszy mu pięty. Sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, zamachał nim szybko w powietrzu, włożył do ust i pociągnął; na końcu żarzył się ogienek. Podsunął mi paczkę.

- Zapali pan?

- Hm, dziękuję, ale nie.

- Spokojnie może pan zapalić. Nie zaszkodzi panu.

Pokręciłem przecząco głową. Zawsze pracowałem z dymiącym obok mnie papierosem, postępy w pracy osądzałem na podstawie przepelnionych popielniczek i liczby wypalonych plam na desce kreślarskiej. Teraz gdy spojrzałem na dym, zrobiło mi się trochę słabo i zastanowiłem się, czy hibernacja nie wyleczyła mnie z nałogu.

- Dziękuję, jednak nie skorzystam.

- W porządku, panie Davis. Pracuję tutaj już sześć lat. Jestem specjalistą od hipnologii, resuscytacji i dziedzin im pokrewnych. Przez ten czas przewinęło się przez moje

ręce osiem tysięcy siedemdziesięciu trzech pacjentów - pan jest osiem tysięcy siedemdziesiątą
 czwartą osobą, której pomagam w powrocie z hipotermii do normalnego życia. Widziałem
 najdziwniejsze reakcje po obudzeniu - to znaczy najdziwniejsze dla laika, ale nie dla mnie.
 Niektórzy chcą od razu położyć się z powrotem do hibernatora i są wściekli, gdy im na to nie
 pozwalam. Niektórzy ponownie usypiają i musimy ich odsyłać do innej przychodni. Jeszcze
 inni zaczynają szlochać, kiedy sobie uświadomią, że nie istnieje bilet powrotny i że jest już za
 późno, by wrócić do domu, niezależnie od tego, z jakiego czasu pochodzą. A niektórzy, tak
 jak pan, żądają swoich ubrań i chcą od razu wybiec na ulicę.

- No i co? Dlaczego nie? Czy jestem więźniem?

- Oczywiście, że nie. Może pan otrzymać ubranie, uprzedzam lojalnie, że wyszło z
 mody, ale to pana problem. Zanim po nie poślę, proszę mi łaskawie zdradzić, jaka to pilna
 sprawa przynagla pana do porzucenia naszej gościny... Przecież czekał pan trzydzieści lat...
 co wobec nich znaczy te kilka chwil? Czy naprawdę nie może pan jeszcze poczekać? Może
 nic by się nie stało, gdyby pan zajął się nią w ciągu dnia, albo i jutro?

Już, już chciałem wrzasnąć, gdzie może mi skoczyć, i że jest to pilniejsze od
 wszystkiego na świecie, gdy nagle przyszło na mnie opamiętanie i pokornie przytaknałem.

- Możliwe, że nie jest to takie nagłace.

- Proszę więc wyświadczyć mi tę uprzejmość i wrócić do łóżka, pozwolić się
 spokojnie przebadać, zjeść śniadanie, a potem możemy porozmawiać, co dalej. Być może
 będę mógł panu doradzić to i owo.

- W porządku, doktorze. Przepraszam za kłopoty. Wsunąłem się pod kołdrę. Naraz
 poczułem zmęczenie, nerwy miałem rozdygotane. W łóżku było tak cudownie...

- Nie ma o czym mówić. Kłopoty... powinien pan obejrzeć niektóre nasze przypadki. -

Wygladził kołdrę wokół moich ramion i pochylił się nad stolikiem wbudowanym w łóżko. -

Doktor Albrecht, siedemnastka. Proszę przysłać pacjentowi śniadanie, hm... dieta cztery

minus. - Odwrócił się ku mnie. - Proszę położyć się na boku i podciągnąć górę pizamy, chcę spojrzeć na pana żebra. W czasie badania może pan pytać, o co chce. Jeśli ma pan ochotę.

W czasie, kiedy lekarz obmacywał moje żebra, usiłowałem zebrać myśli.

Przypuszczałem, że używał stetoskopu, choć urządzenie wyglądało raczej na miniaturową słuchawkę dla głuchych. Jednego na pewno nie poprawili - końcówka była zimna i twarda jak dawniej.

O co mam pytać po trzydziestu latach? Czy ludzkość dotarła już do gwiazd? Kto tym razem przygotowuje „wojnę ostateczną”, która wyzwoli nas na zawsze od strachu przed następną? Czy rodzą się dzieci z próbek?

- Panie doktorze, czy w kinach i teatrach stoją jeszcze automaty z prażoną kukurydzą?

- Kiedy byłem tam po raz ostatni, stały. Nie poświęcam na to zbyt wiele czasu.

Nawiasem mówiąc, teraz nie mówi się „teatry”, ale „zeroatry”.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Proszę pójść i zobaczyć. Ale niech pan nie zapomni przypiąć się do fotela; przy niektórych scenach cała sala jest pozbawiona grawitacji. Panie Davis, codziennie spotykamy się z tym samym. Dla nas to już rutyna. Ale dla wszystkich śpiochów przygotowujemy rokrocznie słowniki adaptacyjne i konspekty historyczno-kulturalne. Jest to absolutnie konieczne, ponieważ dezorientacja może spowodować ogromny szok, mimo że staramy się do tego nie dopuścić w miarę możliwości, umiejętności i sprzętu.

- Hm, chyba ma pan rację.

- Na pewno. Szczególnie w ekstremalnie długich przypadkach, takich jak pana.

Trzydzieści lat...

- Trzydzieści lat to maksimum?

- I tak, i nie. Najdłuższy okres hibernacji, z którym mieliśmy do czynienia, to trzydzieści pięć lat, gdyż pierwszy komercyjny klient skorzystał z subtemperatury hibernatora w grudniu 1965 roku. Pan jest śpiochem o najdłuższym stażu, którego osobiście ożywiałem. Teraz zdarzają się nam klienci z zamówieniami na sto, sto pięćdziesiąt lat. Natomiast pan nie powinien być zostać przyjęty na tak długi okres. Trzydzieści lat dla ówczesnych techników to było szalone ryzyko. Miał pan szczęście.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Proszę się obrócić. - Nie przerywając badania, mówił: - Z obecnym stanem wiedzy i doświadczeń zaryzykowałbym nawet tysiącletni skok, gdyby istniała możliwość sfinansowania takiego eksperymentu... Najpierw dla pewności przetrzymałbym pacjenta przez cały rok w takiej temperaturze, w jakiej był pan, a potem gwałtownie, w ciągu milisekundy, obniżyłbym ją do minus dwustu. Myślę, że wytrzymałby to.

To „błyskawiczne ochłodzenie” nie wyglądało specjalnie zachęcająco. Doktor Albrecht kontynuował:

- A teraz zbadamy pana odruchy. Proszę usiąść i skrzyżować nogi. Nie będzie pan miał większych problemów językowych. Ja oczywiście pilnuję się, by mówić z panem językiem roku 1970 - przypuszczam, że potrafię selektywnie prowadzić rozmowy na etapie wstępnym z każdym moim pacjentem; przeszedłem specjalny kurs hipnotyczny. Pan za tydzień będzie równie dobrze jak ja posługiwał się współczesnym slangiem, w zasadzie jest to tylko problem wzbogacenia słownictwa.

Miałem już zamiar uświadomić mu, że co najmniej czterokrotnie użył słów, których znaczenie w 1970 roku nie było znane, ale doszedłem do wniosku, że byłoby to nie na miejscu.

- To wszystko - dodał po chwili. - Aha, jeszcze jedno. Pani Schultz chciała z panem

rozmawiać.

- Kto?

- Pan jej nie zna? Utrzymywała, że jest pana starą przyjaciółką.

- Schultz - powtórzyłem. - Pewnie znałem kiedyś niejedną „panią Schultz”, ale jedyną, którą sobie przypominam, była moja nauczycielka z czwartej klasy. A tej na pewno już dawno nie ma wśród żywych.

- Możliwe, że także wybrała sen. Wiadomość od niej może pan otrzymać, kiedy pan zechce. Podpiszę panu przepustkę. Ale jeśli ma pan choć trochę oleju w głowie, zostanie tu i przejdzie przysposobienie reorientacyjne. Wpadnę do pana później. Proszę złamać kark, jak to się mówiło w waszych czasach. Za chwilę dostanie pan śniadanie.

Uznałem, że jest lepszym lekarzem niż lingwistą. Przestałem o tym myśleć, bo w drzwiach pojawił się salowy ze śniadaniem. Wjechał do pokoju i ostrożnie wyminął doktora Albrechta, który kroczył prosto ku drzwiom, nie zwracając na nic uwagi i nie ustępując nikomu z drogi.

Salowy zbliżył się do mnie, wyciągnął składany stolik i postawił na nim tacę.

- Czy mam nalać kawy?

- Tak, proszę.

Właściwie zależało mi na gorącej kawie dopiero po jedzeniu, ale dzikie pragnienie, żeby zobaczyć, jak salowy ją nalewa, zwyciężyło. Bo ogarnęła mnie nagle niepojęta euforia - oto salowym w tym szpitalu był nie kto inny jak „Uniwersalny Frank”!

Nie ten improwizowany, niedoskonały, toporny pierwszy model, który ukradli mi

Miles i Belle, oczywiście, że nie.

Przypominał pierwszego „Franka” w takim stopniu, jak samochód z

turbodoładowaniem pierwsze pojazdy na węgiel.

Człowiek pozna jednak własne dzieło. Podstawowy element był moim pomysłem, a urządzenie stojące przede mną to końcowy efekt nieuniknionej ewolucji... Praprawnik „Franka”, udoskonalony, wygładzony, wydajniejszy - ale tej samej krwi.

- Czym mogę jeszcze służyć?

- Poczekaj chwilę.

Zorientowałem się od razu, że polecenie nie było prawidłowe, ponieważ automat sięgnął gdzieś do swego wnętrza, wyciągnął twardy kartonik ze sztucznego tworzywa i podał mi bez słowa. Przeczytałem następujący tekst:

KOD GŁOSOWY Pracusia Paula model XVIIa UWAGA WAŻNE! Ten automat NIE ROZUMIE ludzkiej mowy. Jest maszyną i nie ma inteligencji. Dla Państwa wygody konstruktorzy wyposażyli go w analizator konkretnych ustnych poleceń. Automat reaguje jedynie na te rozkazy, które są zakodowane w jego pamięci. W wypadku niekompletnej reakcji obwodów lub sprzeczności poleceń przekaże Państwu niniejszy karton informacyjny.

Prosimy o wnikliwe zapoznanie się ze wszystkimi instrukcjami.

Dziękujemy,

Alladin Autoengineering Corporation, producenci Pracusia Paula, Fryzjera Kena, Kreślarza Ralpa, Budowniczego Sama, Sadownika Sida i Mamki Chloe. Konstruktorzy dostarczają egzemplarze na specjalne zamówienia. Oferujemy szczegółowe konsultacje z dziedziny automatyki.

Polecamy swoje usługi!

Te słowa widniały tuż obok znaku firmowego, który przedstawiał Aladyna pocierającego lampę i dzina czekającego pokornie na jego rozkazy.

Pod znakiem umieszczono długi spis prostych poleceń - STÓJ, IDŹ, TAK, NIE, WOLNIEJ, SZYBCIEJ, CHODŹ TU, WEZWIJ PIELEŃNIARKĘ itp. Niżej następował

krótszy rejestr czynności typowych dla sytuacji, w jakich może znaleźć się pacjent, o niektórych jednak nigdy nie słyszałem. Lista kończyła się uwagą: „Polecenia nr 87 do 242 mogą być wydane tylko przez personel medyczny, w związku z tym nie zamieszczono ich w niniejszym spisie”.

Pierwszy „Uniwersalny Frank” nie reagował na polecenia wydawane głosem, trzeba było kierować nim za pomocą klawiszy. Ale nie dlatego, że o tym nie pomyślałem, lecz po prostu nie miałem możliwości technicznej realizacji tego pomysłu. Zarówno analizator akustyczny, jak i system wyboru poleceń, podobny trochę do centrali telefonicznej, miały ciężar i objętość znacznie większą niż pozostałe mechanizmy „Franka” seniora. Zdałem sobie sprawę, że mam sporo do nadrobienia w zakresie miniaturyzacji i uproszczenia konstrukcji, jeśli oczywiście nie zrezygnuję z pracy zawodowej. Ale już teraz dostrzegłem mnóstwo nowych możliwości. Prace konstrukcyjne to zabawa dla ludzi praktycznych, a postęp zależy od stopnia rozwoju całej generacji, nie zaś geniusza jednego twórcy. Kolej żelazną można było zbudować, gdy istniała już turbina parowa, lecz ani chwili wcześniej. Wszystko dzieje się w odpowiednim czasie. Spójrzcie na tego biednego profesora Langleya, który zmarnował życie, próbując zbudować latającą maszynę - spełnił wszystkie potrzebne warunki, ale przyszedł z tym wynalazkiem za wcześnie - i nie mógł skorzystać z osiągnięć pokrewnych gałęzi nauki, niezbędnych, żeby maszyna wzbiła się wreszcie w powietrze. Albo wielki Leonardo da Vinci - tak bardzo wyprzedził swoją epokę, że jego najśmielsze koncepcje zrealizowano kilkaset lat po jego śmierci!

Teraz wszystko było jasne - czeka mnie niezła zabawa.

Zwróciłem robotowi kartonik, wstałem z łóżka i obejrzałem dokładnie metkę firmową.

Byłem przekonany, że w dolnym lewym rogu zobaczę nazwę HIRED GIRL. Poza tym

interesowała mnie jedna drobnostka - czy „Alladin” nie jest przypadkiem filią korporacji

Mannixa. Metka nie zdradziła mi nic poza numerem modelu, numerem fabrycznym, nazwą i adresem firmy i podobnymi danymi produkcyjnymi.

Zaciekawiło mnie jeszcze jedno: wykaz patentów - chyba czterdziestu - a pierwszy z nich pochodził z roku 1970... i prawie na pewno opierał się na moim pierwotnym modelu i jego teoretycznych założeniach.

Znalazłem przy stoliku długopis i notatnik i zapisałem pierwszy numer. Moje zainteresowanie nim było czysto intelektualne. Nawet gdyby ten patent został ukradziony (akurat tego byłem zupełnie pewny), jego ważność kończyła się w 1987 roku, jeżeli nie zmieniło się prawo patentowe. Chociaż w tej chwili liczyły się tylko patenty zarejestrowane po 1983 roku, chciałem po prostu sprawdzić, jakie były losy mojego wynalazku.

Na automacie zaświeciła się lampka sygnalizacyjna.

- Przepraszam, jestem wzywany do innego pokoju - oznajmił. - Czy mogę odejść?

- Proszę?... Oczywiście, idź! Zauważyłem, że sięga po wykaz instrukcji.

- Idź! - powtórzyłem szybko.

- Dziękuję. Do widzenia panu.

- To ja dziękuję.

- Nie ma za co.

Ktokolwiek użyzył głosu tej maszynie, należałoby mu podziękować za bardzo przyjemny baryton.

Wskoczyłem z powrotem do łóżka i pochłonałem błyskawicznie całe śniadanie

„cztery minus”. Tak na oko wystarczyłoby średniemu ptakowi, ale poczułem, że mam dość, choć parę minut wcześniej zjadłbym konia z kopytami. Pewnie skurczył mi się żołądek.

Kiedy skończyłem (a potrawy przez cały czas zachowywały odpowiednią temperaturę),

uświadomiłem sobie, że to było moje pierwsze pożywienie od trzydziestu lat. Po- myślałem o

tym, gdy czytałem menu, w którym to, co uważałem za słoninę, określono jako „grillowane płatki drożdżowe po wiejsku". Nigdy nie byłem smakoszem i nawet trzydziestoletni post nie potrafił wzbudzić we mnie szczególnego zainteresowania jedzeniem. Zresztą, oprócz śniadania dostałem aktualną gazetę - Great Los Angeles Times ze środy, 13 grudnia 2000 roku.

Gazety zmieniły się niewiele, przynajmniej nie pod względem formatu. Ta, którą otrzymałem, była małą gazetą z wiadomościami, papier stanowił gładką płaszczyznę bez widocznych włókien celulozy, a kolorowe i czarno-białe zdjęcia pokazywały świat w trzech wymiarach.

Nie miałem pojęcia, jak zostały wykonane. Już w czasach mojego dzieciństwa istniały stereofotografie, które można było oglądać bez specjalnych urządzeń; w latach pięćdziesiątych fascynowały mnie stereoreklamy mrożonek, ale do ich wytworzenia potrzebna była dość gruba warstwa przezroczystego plastiku i siatka drobnych pryzmatów. Tymczasem zdjęcia w Timesie wydrukowano na cienkim papierze. Pomimo to nie straciły głębi. Zacząłem przeglądać dalsze wiadomości. „Pracusz Paul" położył gazetę w stojaku i na razie wszystko wskazywało na to, że zdołam przeczytać tylko pierwszą stronę. Pozostałe były jakby sklezione i nie wiedziałem, w jaki sposób je otworzyć. Wreszcie, zupełnie przypadkowo, dotknąłem prawego dolnego rogu. Zawinął się i poruszył całą stroną... widocznie wykorzystywano jakąś formę ładunku elektrostatycznego, aktywowanego w tym miejscu. Resztę dziennika doczytałem w spokoju, bez żadnych niespodzianek.

Przynajmniej połowa wiadomości brzmiała tak swojsko, że niemal się rozczuliłem:

„Wasz horoskop na dzisiaj"; „Mer uruchomił nowy zbiornik wody"; „Nowojorski prawnik oświadcza, że środki bezpieczeństwa ograniczają wolność prasy"; „Drużyna Olbrzymów wygrała po raz drugi"; „Nieoczekiwana fala gorąca zagraża sportom zimowym"; „Pakistan

ostrzeżę Indie" - i tak dalej. W tym samym stylu. To było dla mnie zrozumiałe. Inne informacje dotyczyły spraw nowych, ale tytuły tłumaczyły cały sens: START PROMU KSIĘŻYCOWEGO ODŁOŻONY - stacja orbitalna trafiona dwoma meteorytami, nie ma strat w ludziach; CZTERECH BIAŁYCH ZLINCZOWANO W KAPSZTADZIE - żądania interwencji ONZ; ORGANIZACJA GOSPODYŃ ŻĄDA WYŻSZYCH WYNAGRODZEŃ - żądają zakazu działalności „amatorek”, PLANTATOR Z MISSISIPPI OSKARŻONY NA POD STAWIE PARAGRAFU O „SNACH UMARŁYCH” -

Obrona twierdzi: Ci młodzieńcy nie są narkomanami, są po prostu głupi!

Byłem przekonany, że wiem, o co tu chodzi... szczególnie w ostatniej sprawie...

Natomiast inne wiadomości pozostawały dla mnie zagadkami nie do rozwiązania. Na przykład: epidemia „woglinów” rozszerza się, ewakuowano kolejne trzy miasta we Francji, król zarządził dezynfekcję całego terytorium kraju. Król?! No proszę, francuska polityka ma swoje meandry, ale czym może być Poudre Sanitaire, używany przeciw „woglinom”, tego nie mogłem się domyślić. Chyba nie opad radioaktywny? Miałem nadzieję, że na opylanie wybiorą jakiś bezwietrzny dzień... najlepiej trzydziesty lutego. Sam kiedyś zostałem uraczony nadmierną dawką promieniowania na skutek pomyłki cholernie nieostrożnego technika z kobiecego batalionu pomocniczego w Sandii. Nie doszło, na szczęście, do stadium wymiotów, kiedy to nie ma już ratunku, lecz raczej nie zalecałbym nikomu takiej diety. Korpus policji Los Angeles w Laguna Beach otrzymał jako uzbrojenie leycyloidy. Szef departamentu policji stwierdził, że wszyscy Teddy'owie muszą zniknąć z miasta. „Moi ludzie mają rozkaz najpierw narkować, a dopiero później podoliwiać. To się musi skończyć!” Postanowiłem nie pokazywać się w Laguna Beach, dopóki nie będę wiedział, o co chodzi. Nie miałem pewności, czy mam ochotę być „podoliwiony”... Przytaczam tylko kilka przykładów. Poza tym natknąłem się na mnóstwo informacji,

które zaczynały się rozumiały, a następnie zmieniały się w coś, o czym nie miałem zielonego pojęcia. Przeglądając kronikę towarzyską, zauważyłem nowe tytuły. Oczywiście pozostały wzmianki o urodzinach, zgonach, ślubach i rozwodach, doszły jednak do nich informacje o „przyjęciach” i „zwolnieniach”, zamieszczanych przez poszczególne schroniska. Spojrzałem na „schronisko Sawtelle Cons.” i znalazłem tam swoje nazwisko. Poczułem się nagle pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Najciekawsze jednak w całym dzienniku były ogłoszenia. Jedno z bardziej osobliwych utkwilo mi w pamięci:

„Atrakcyjna i jeszcze młoda wdowa z zamiłowaniem do podróży pozna dojrzałego mężczyznę o podobnych upodobaniach. Cel: dwuletnia umowa małżeńska”.

Dla mnie najistotniejsze były ogłoszenia firmowe. „Dziewczyna na posługi”, jej siostrzyczki, siostrzenice i kuzynki zajmowały przynajmniej połowę szpalt i ciągle jeszcze używały naszego dawnego znaku firmowego - krzepkie dziewczyny z miotłą w ręku. Na moment ogarnął mnie żal, że pozbyłem się tak szybko wszystkich akcji Hired Girl. Wydało mi się, że mają teraz dla mnie większą wartość niż wszystko inne. Po chwili przyszło opamiętanie - gdybym wtedy miał je przy sobie, ta para złodziei na pewno i te dokumenty sfałszowałyby na swoją korzyść.

A tak dostała je Ricky - i jeśli dzięki nim się wzbogaciła, nie mogłem trafić na kogoś bardziej godnego tej darowizny. Ta myśl zrodziła nowe postanowienie: przede wszystkim muszę znaleźć Ricky. Była wszystkim, co pozostało mi ze świata, który kiedyś znałem.

Zacząłem coraz poważniej myśleć o tym spotkaniu. Milutka mała Ricky! Gdyby wtedy była o dziesięć lat starsza, nawet nie spojrzałbym na Belle... i nie byłoby trzeba palić za sobą mostów, chować się w lodówce.

Chwileczkę, ile ona ma teraz lat? Czterdzieści... nie, czterdzieści jeden. Ciężko było myśleć o Ricky jako o kobiecie w średnim wieku. Chociaż w roku 2000 - a nawet w moich

czasach - to jeszcze nie była starość. Wręcz przeciwnie, wątpię, czy z odległości dziesięciu metrów odróżnilibyście czterdziestojednolatkę od podlotka.

Jeżeli jest bogata, poproszę, by postawiła mi drinka, i wspólnie wypijemy, wspominając drogą nam obojgu i wesołą duszyczkę Pita, która pewnie bawi już w przestworzach. A jeżeli coś się skomplikowało i Ricky klepie biedę mimo akcji, które jej zapisałem, wtedy... do licha!

Wtedy się z nią ożenię! Tak, właśnie tak zrobię! Nieważne, że jest prawie dziesięć lat ode mnie starsza. Biorąc pod uwagę moją lekkomyślność, powinienem związać się właśnie z kimś starszym, kto by nade mną czuwał i ostrzegał przed niewłaściwym krokiem.

Ricky była dokładnie taką dziewczyną, jakiej potrzebowałem. Opiekowała się Milesem i dbała o jego gospodarstwo z powagą małej kobietki, choć przecież nie miała jeszcze dziesięciu lat. Czterdzieści nie powinno jej wiele zmienić... może, co najwyżej, wydorosłała.

Po raz pierwszy od momentu przebudzenia poczułem się spokojny o dalszy los. Ricky będzie lekarstwem na wszystko.

Nagle gdzieś w głębi usłyszałem głos: „TY GŁUPCZE, nie możesz się z Ricky ożenić, ponieważ ta wspaniała dziewczyna dawno już znalazła męża i ma czworo dzieci... a najstarszy syn może przerastać cię o głowę... Męża z pewnością nie ucieszy widok starego dobrego wujka Danny'ego". Wsłuchałem się w ten głos i po chwili namysłu skapitulowałem.

Potem niepewnie zacząłem się usprawiedliwiać: „W porządku, znowu uciekł mi pociąg. Ale i tak muszę ją znaleźć. W końcu nic gorszego od śmierci mi nie grozi, Ricky zaś była jedyną osobą, która rozumiała Pita".

Odwróciłem następną stronę gazety i naraz uświadomiłem sobie, jak bolesna jest dla mnie strata dziewczyny i kota.

Z tą świadomością zasnęłam i spałam aż do obiadu, który przyniósł „Pracus Paul” albo jego bliźniak.

Śniłem, że Ricky trzyma mnie na kolanach i szeptem: „Wszystko w porządku, Danny.

Znalazłam Pita i chcemy być razem z tobą. Prawda, Pit?

- Mnoooooou!"

Uzupełnienie słownictwa poszło mi zupełnie gładko, gorzej było z edukacją historyczną. Przez trzydzieści lat może się wydarzyć mnóstwo rzeczy, ale po co ładować je do głowy, skoro i tak wszyscy je znają lepiej ode mnie? Nie zaskoczyło mnie, że Unia Wielkoazjatycka wyparła nas z rynków Ameryki Południowej - przewidywałem taki bieg wypadków od momentu podpisania Umowy Tajwańskiej. Nie zdziwiłem się szczególnie, czytając, że Indie znajdują się pod coraz silniejszym wpływem Bałkanów. Przez chwilę zamroczyła mnie wizja Anglii jako kanadyjskiej prowincji. Kto jest kurą, a kto jajkiem? Pobieźnie przerzuciłem dane na temat paniki w 1987 roku; złoto może być fantastycznym materiałem konstrukcyjnym i naprawdę nie sądziłem, że jego niska obecnie cena - a tym bardziej zlikwidowanie parytetu dolarowego - to tragedia, bez względu na liczbę ludzi, którzy przy tej zmianie stracili swoje ostatnie koszule.

Przestałem czytać i zamyśliłem się nad tym, jak można wykorzystać tanie złoto, jego wysoką gęstość, dobre przewodnictwo, fantastyczną ciągliwość... i przeraziłem się, jak wiele mam do zdziałania. Uświadomiłem sobie, że najpierw czeka mnie długie studiowanie prac, chociażby z dziedziny techniki atomowej... ileż zdążyło się tam zmienić?... Przecież złoto jest bardziej podatne na obróbkę niż inne metale. Gdyby tylko można je było wykorzystać w miniaturyzacji... znowu zatkało mnie z wrażenia. Nagle zacząłem podejrzewać, że „Pracus Paul” może mieć głowę pełną złota. Po prostu musiałem wziąć się porządnie do roboty i sprawdzić, co też nowego wykuło się w laboratoriach w ciągu tych trzydziestu lat.

Schronisko w Sawtelle to nie politechnika, toteż oznajmiłem doktorowi Albrechtowi, że chcę odejść. Ten wzruszył ramionami i stwierdził, że upadłem na głowę, ale wyraził zgodę. Zostałem jeszcze na jedną noc. Poczułem, jak bardzo jestem zmęczony, obserwując mikrofilm przesuwany się w czytniku.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu przyniesiono mi modne ubranie... i udzielono pomocy przy toalecie. Ubranie samo w sobie nie było szczególnie oryginalne (choć nigdy przedtem nie nosiłem karminowych spodni z nogawkami w kształcie dzwonu), ale nie mogłem uporać się z zapięciami. Przypuszczam, że mój pradziadek miałby podobne problemy z zamkiem błyskawicznym, gdyby ktoś wcześniej nie wyjaśnił mu zasady działania. Ja miałem do czynienia z automatycznymi szwami z lepexu - odniosłem wrażenie, że będę musiał zaangażować jakiegoś małego pomocnika, gdy zechcę skorzystać z toalety. Po długich usiłowaniach zrozumiałem wreszcie, że przyleganie szwów polega na osiowej polaryzacji. Mimo to o mały włos nie pożegnałbym się ze spodniami, gdy spróbowałem rozluźnić je w pasie. Nikt jednak nie szydził z mych nieudolnych prób.

- Co pan ma zamiar robić? - zapytał doktor Albrecht.

- Ja? Najpierw zapoznam się z planem miasta. Potem znajdę mieszkanie, a później przez długi, długi czas nie będę robił nic, tylko czytał fachową literaturę... Możliwe, że potrwa to cały rok. Wie pan, doktorze, jestem konstruktorem z prawdziwego zdarzenia i nie widzę przed sobą innej przyszłości.

- Hmm. Życzę dużo szczęścia... Gdyby pan potrzebował pomocy, proszę zwrócić się do mnie.

- Serdecznie dziękuję, panie doktorze. Był pan wspaniały. Cóż, pewnie nie powinienem o tym wspominać przed wizytą w ubezpieczalni, ale chciałbym, żeby te podziękowania brzmiały bardziej konkretnie. Mam nadzieję, że pan rozumie?

Pokręcił głową.

- Jestem wdzięczny za dobre chęci, lecz moje honorarium jest określone umową ze schroniskiem.

- Ale...

- Nie. Nie mógłbym przyjąć żadnego prezentu, więc skończmy tę rozmowę. - Uścisnął mi mocno dłoń i do- dał: - Z Bogiem. Tą drogą dojdzie pan do głównej kancelarii. - Na moment zawahał się. - A gdyby się pan w tym wszystkim zagubił, proszę wrócić do nas. Ma pan jeszcze prawo do czterech dni rekonwalescencji i reorientacji. Są już opłacone, może je pan spokojnie wykorzystać. Jeśli mimo wszystko zdecyduje się pan odejść, nikt nie będzie stawiał żadnych przeszkód.

Uśmiechnąłem się krzywo.

- Dziękuję, doktorze. Nie radzę się zakładać, że wrócę - najwyżej wpadnę kiedyś do pana na pogawędkę.

Przed wejściem do kancelarii zgłosiłem się do recepcjonisty. Podał mi kopertę, w której znalazłem następny sygnał od pani Schultz z numerem telefonu. Nie miałem na razie zamiaru dzwonić do niej, gdyż nie wiedziałem, kto zacz, schronisko bowiem nie zezwalało na składanie wizyt i telefonowanie do „świeżo zmartwychwstałych”, jeżeli ci sobie tego nie życzyli. Popatrzyłem na wiadomość, wsadziłem kopertę do kieszeni i zastanowiłem się, czy czasami nie popełniłem błędu konstruując „Uniwersalnego Franka”... zbyt uniwersalnego.

Kiedyś w recepcji królowały piękne dziewczęta, a nie maszyny.

Portier zwrócił się do mnie.

- Proszę tędy. Nasz księgowy chciałby z panem porozmawiać.

Czemu nie, ja też chciałem zamienić z nim kilka słów, wszedłem więc do pokoju.

Byłem ciekawy, ile pieniędzy zarobiłem, i gratulowałem sobie w duchu, że zainwestowałem

w akcje z puli podstawowej, zamiast grać „na pewniaka”. Wartość innych akcji bez wątpienia spadła w czasie paniki 1987 roku, ale trzynaście lat później powinna być znowu wysoka - prawdę mówiąc wiedziałem, że co najmniej dwie z firm, w których akcje wsadziłem pieniądze, stoją cholernie dobrze. Upewniły mnie w tym dane z rubryki finansowej w Timesie. Księgowy okazał się typowym urzędasem. Delikatnie uścisnął mi rękę.

- Dzień dobry, panie Davis, moje nazwisko Doughty. Proszę usiąść.

- Dzieńdoberek, panie Doughty - zażartowałem. - Nie będę pana zanudzał. Proszę mi tylko powiedzieć, czy ubezpieczalnia załatwi moje roszczenia za pośrednictwem pańskiej kancelarii, czy też muszę udać się bezpośrednio do nich?

- A jednak proszę usiąść. Chciałbym wyjaśnić kilka drobiazgów.

Usiadłem. Jego asystent, znowu stary dobry „Frank”, przyniósł moją teczkę i księgowy przystąpił do rzeczy.

- Mamy tutaj wszystkie podpisane przez pana umowy. Chce pan na to spojrzeć?

Oczywiście chciałem. Cały czas od chwili przebudzenia modliłem się o to, by Belle nie wpadła na pomysł, jak ograbić mnie i z tego źródła dochodów. Bałem się, bo chociaż kanty z potwierdzonymi czekami są znacznie trudniejsze niż z osobistymi, to Belle była wysokiej klasy fachowcem w tej dziedzinie.

Kamień spadł mi z serca, gdy przekonałem się, że wszystkie postanowienia brzmią tak, jak ustaliłem - naturalnie z wyjątkiem dodatkowej umowy w sprawie Pita i dokumentów, które dotyczyły akcji Hired Girl. Przekonałem się, że w kilkunastu miejscach Belle zamieniła „Ubezpieczalnię Mutual” na „Kalifornijską Ubezpieczalnię Master”.

Moja dama była prawdziwą artystką, nikt nie mógłby w to wątpić po zapoznaniu się z tymi papierami. Przypuszczam, że doświadczony kryminolog uzbrojony w mikroskop, stereoaparat, preparaty chemiczne i inne akcesoria z laboratorium udowodniłby fałszerstwo,

ale taki laik jak ja nie miał najmniejszych szans. Zaciekawilo mnie, jak Belle poradziła sobie z przepisaniem nazwiska na odwrotnej stronie potwierdzonego czeku, ponieważ wiedziałem, że drukowane są na papierze nie poddającym się zwykłemu gumowaniu. No cóż, pewnie nie użyła gumki - co jeden człowiek wymyśli, to drugi potrafi obejść - a Belle miała główkę nie od parady.

Pan Doughty chrząknął znacząco. Spojrzałem nań i zapytałem:

- Czy możemy tutaj przeprowadzić porównanie?

- Tak.

- Chciałbym ograniczyć swoją ciekawość do jednego słowa: ile?

- Hm... panie Davis, zanim odpowiem na to pytanie, pragnąłbym zwrócić uwagę na jeden dodatkowy dokument i pewne okoliczności z nim związane. Jest to umowa między naszym schroniskiem i Kalifornijską Ubezpieczalnią Master, dotycząca warunków pańskiej hipotermii, opieki i żywienia. Proszę zauważyć, że całe honorarium opłacane jest z góry, co wydaje się korzystne dla obu stron, ponieważ zabezpiecza w ten sposób pana pobyt u nas przez cały okres hibernacji. Pieniądze - cała suma uzyskana w taki sposób - wpłacane są na specjalne konto i pozostają do dyspozycji Sądu Najwyższego, który kontroluje fundusz powierniczy. My jako schronisko co cztery lata występujemy o dotacje na podstawie złożonego preliminarza wydatków.

- Doskonale. To brzmi zupełnie rozsądnie.

- Bo jest rozsądne. Gwarantuje ochronę bezbronnych ludzi. Z tym że teraz musi pan jedno zrozumieć - nasze schronisko jest samodzielną firmą, a nie częścią pańskiej ubezpieczalni; nasza umowa dotycząca opieki podczas hibernacji nie ma nic wspólnego z umową o zarządzaniu pańskim majątkiem.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Czy posiada pan jakieś inne aktywa poza tymi, które powierzył pan ubezpieczalni Master?

Zamyśliłem się głęboko. Kiedyś miałem samochód... diabli wiedzą, co się z nim stało.

Bieżący rachunek w Mojave wyczyściłem zaraz na początku swoich perypetii, a w dniu, który zakończyłem w domu Milesa, miałem chyba trzydzieści bądź czterdzieści dolarów w kieszeni. Książki, ubrania, suwak logarytmiczny - nigdy nie miałem tendencji do chomikowania - i kilka innych drobiazgów, wszystko to przepadło.

- Nawet biletu na autobus, panie Doughty.

-* W takim razie - jest mi przykro, że muszę to panu oznajmić - nie ma pan żadnych aktywów.

Nagle wzruszenie poraziło mnie tak, że tylko wzrokiem zacząłem błądzić gdzieś po ścianach, aby po chwili utkwic go w podłodze.

- Jak pan to rozumie? Niektóre z tych akcji, w które zainwestowałem, stoją przecież bardzo wysoko. Wiem z gazet, że mają wysokie notowania.

Podniosłem Timesa; przestudiowałem go przy śniadaniu.

Pokręcił przecząco głową.

- Bardzo mi przykro, panie Davis, ale pan nie jest już właścicielem żadnych akcji.

Ubezpieczalnia Master zbankrutowała.

Byłem wdzięczny księgowemu, że namówił mnie na zajęcie fotela. Nogi drżały mi jak po paraliżu, a kolana wystukiwały szybki rytm.

- Jak to się stało? W czasie paniki?

- Nie, to akurat nie. Krach ubezpieczalni Master zaczął się od krachu całego Koncernu Mannixa... ale pan oczywiście o tym nic nie wie. Miał miejsce po panice i można powiedzieć, że ona właśnie go zapoczątkowała. Ale ubezpieczalnia Master nie padłaby, gdyby jej

wcześniej systematycznie nie okradano, wulgarnie mówiąc, nie „wydojono”. Przy zwykłym bankructwie i likwidacji przedsiębiorstwa dałoby się coś odzyskać. Niestety, gdy nastąpił krach, okazało się, że z firmy została tylko fasada... Ludzie odpowiedzialni za tę sytuację rozplynęli się we mgle. Hm, jeśli to pana pocieszy, nasze obecne przepisy skutecznie przeciwdziałają takim machinacjom.

Wcale mnie to nie pocieszyło, zresztą nie wierzyłem w sprawne wcielanie w życie tych przepisów. Mój tata zawsze twierdził, że im bardziej skomplikowane jest prawo, tym więcej daje okazji do kantów. Inna jego maksyma brzmiała: mądry człowiek powinien ciągle siedzieć na tobołkach i umieć je porzucić w razie potrzeby. Bardzo mnie interesowało, ile jeszcze razy będę musiał się w to bawić, żeby zasłużyć na miano mądrego.

- A... panie Doughty, pytam z ciekawości: jak wygląda sytuacja ubezpieczalni Mutual?

- Mutual? Bardzo solidna firma. Oczywiście, im także panika trochę pomieszała szyki, ale przeżyli to bezboleśnie. Ma pan może u nich jakąś polisę?

- Nie.

Niczego mu nie wyjaśniłem, sprawa była bezdyskusyjna. Do ubezpieczalni Mutual nie mogłem się zgłosić, ponieważ nie doszło do umowy z nimi. Podać do sądu tych z Master też nie miało sensu - oskarżenie nieboszczyka na nic by się nie zdało. Mogłem wytoczyć proces Milesowi i Belle, gdyby znaleźli się pod ręką - nie miałem zamiaru robić z siebie durnia. Brakowało mi dowodów, nawet najmniejszego punktu zaczepienia. Zresztą, nie chciałem spotkać się z Belle nawet w sądzie. Znacznie chętniej wytatuowałbym jej na całym ciele różne obelgi... najlepiej tępą igłą. Dopiero potem zapytałbym o Pita. Jeszcze nie wymyśliłem kary, która swą srogością dorównałaby jej draństwu. Nagle przypomniałem sobie, że to właśnie Mannixowi Belle i Miles mieli zamiar sprzedać Hired Girl.

- Panie Doughty, jest pan pewien, że ludzie Mannixa nie mają żadnych aktywów? Czy firma Hired Girl nie była ich własnością?

- Hired Girl? Myśli pan o tej firmie produkującej zautomatyzowany sprzęt gospodarstwa domowego?

- Tak, oczywiście.

- Raczej mało prawdopodobne. Właściwie zupełnie niemożliwe, ponieważ koncern Mannixa nie istnieje już jako całość. Rzecz jasna nie mogę twierdzić z całą stanowczością, że między Hired Girl i Mannixem nigdy nie istniały jakieś powiązania. Nie wierzę jednak, by miały one poważniejsze znaczenie, bowiem musiałbym o tym coś słyszeć.

Nie było co dyskutować. Jeżeli Miles i Belle zbankrutowali razem z Mannixem, w to mi graj... Chociaż z drugiej strony, jeśli koncern przejął Hired Girl i potem upadł, Ricky również straciła wszystko. A tego przecież nie chciałem, nawet za cenę upokorzenia moich „przyjaciół”.

Podniosłem się z fotela.

- Serdecznie dziękuję, że zechciał mnie pan tak delikatnie wprowadzić w te sprawy, panie Douhty. Pożegniam się już.

- Niech pan jeszcze nie wychodzi, panie Davis... Jako pracownicy tej instytucji bierzemy na siebie pewną odpowiedzialność za losy pacjentów. To wykracza poza ramy umowy. Rozumie pan, pana przypadek nie jest ani pierwszy, ani ostatni. W związku z tym nasza rada nadzorcza ustanowiła niewielki fundusz i dała mi go do dyspozycji w celu wykorzystania w podobnych sytuacjach. Jest to...

- Nie potrzebuję żadnego wsparcia, panie Doughty. Dziękuję za dobre chęci.

- To nie jest wcale filantropia, tylko pożyczka, prawnie usankcjonowana pożyczka.

Proszę mi wierzyć, nasze straty z tego tytułu są minimalne... i naprawdę nie chcemy, żeby pan

odchodził od nas z pustymi kieszeniami.

Poważnie zastanowiłem się nad tą propozycją. Nie miałem w tej chwili nawet drobnych na fryzjera, ale pożyczać w mojej sytuacji pieniądze - to samobójstwo. Drobna pożyczkę trudniej spłacić niż milion.

- Panie Doughty - oszczędnie dobieierałem słowa - doktor Albrecht powiedział mi, że mam prawo spędzić jeszcze cztery dni w schronisku.

- Chyba tak. Musiałbym zajrzeć do pana kartoteki. Nie mamy zwyczaju nikogo stąd wyrzucać tylko dlatego, że upłynął termin umowy. Dopóki pacjent nie jest do tego przygotowany, nie odchodzi.

- Wcale tak nie myślałem. Chciałbym się tylko dowiedzieć, ile kosztuje całodzienna opłata za pokój i wyżywienie.

- Proszę? Ależ my nie wynajmujemy pokojów. To nie szpital, tylko specjalistyczna klinika rekonwalescencji hibernowanych.

- Rozumiem. Jednakże już choćby ze względu na sprawy podatkowe musicie prowadzić jakieś kalkulacje.

- Hm... i tak, i nie. Dotacji nie otrzymujemy na ich podstawie. Do wydatków zaliczamy amortyzację, koszty eksploatacyjne, transportowe, akumulację, płace pracowników, koszty specjalne kuchni dietetycznej i tak dalej. Ale mógłbym może obliczyć koszt użytkowania jednego pokoju.

- Nie, proszę nie zagłębiać się w zbyt szczegółowe wyliczenia. Ile w takim razie kosztuje łóżko i wyżywienie w szpitalu?

- Nie jest to wprawdzie mój resort, ale sądzę, że około stu dolarów dziennie.

- Mógłbym tu jeszcze spędzić cztery dni, pożyczcie mi więc czterysta dolarów.

Zamiast odpowiedzieć, podyktował swemu mechanicznemu pomocnikowi kilka cyfr,

chyba jakiś kod, ten odliczył osiem pięćdziesięciodolarówek i wręczył mi je bez słowa.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem, chowając pieniądze do kieszeni. - Zrobię wszystko, żeby jak najszybciej mógł pan skreślić mnie z ewidencji. Sześć procent? A może oprocentowanie jest teraz wyższe?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- To nie jest pożyczka. Wykorzystałem pańską sugestię i całą kwotę zaliczyłem na poczet kosztów tych pozostałych dni.

- Co? Chwileczkę, panie Doughty, nie chciałem nic panu sugerować. Oczywiście potraktuję...

- Przepraszam bardzo. Poleciałem asystentowi, żeby wprowadził dane do pamięci jako bezzwrotną rekompensatę, a pan chciałby skomplikować życie naszym kontrolerom z powodu jakichś głupich czterystu dolarów? Byłem przygotowany na znacznie większą sumę.

- Okay, nie będziemy się kłócić. Jeszcze jedno, panie Doughty: na jak długo mi to wystarczy?

- Hmm... pytanie nie jest proste...

- Tylko w ogólnych zarysach, żebym miał jakieś wyobrażenie. Ile kosztuje codzienne wyżywienie?

- Żywność nie jest specjalnie droga. Za dziesięć dolarów zje pan doskonałą kolację... jeśli zada pan sobie trochę trudu, by znaleźć jakąś tańszą restaurację.

Podziękowałem mu jeszcze raz i wyszedłem z lekkim sercem. Pan Doughty przypominał mi jednego księgowego, którego spotkałem kiedyś w wojsku. Istnieją tylko dwa gatunki księgowych: jeden zawsze udowodni, że nic się wam nie należy, drugi zaś tak długo będzie grzebał w paragrafach, aż znajdzie taki, zgodnie z którym dostaniecie wszystko, czego potrzebujecie, nawet jeśli nie macie do tego szczególnego prawa. Doughty należał do tych

drugich.

Ze schroniska wychodziło się na Wilshire Ways. Przed budynkiem stały ławeczki, zieleniły się krzewy i kwiaty. Usiadłem, żeby spokojnie przemyśleć sytuację i zdecydować, dokąd iść - na wschód czy na zachód. Na fotelu u pana Doughty'ego trzymałem się całkiem nieźle, ale prawdę mówiąc, nowiny mocno mną wstrząsnęły, mimo że miałem dość pieniędzy, by przez tydzień nie umrzeć z głodu. Słońce mile przygrzewało, ulica lekko szumiała, byłem młody (przynajmniej biologicznie), miałem dwie ręce i głowę na karku. Zacząłem bojowo pogwizdywać i otworzyłem Timesa na stronie z ogłoszeniami. Zwalczyłem pokusę spojrzenia na rubrykę „Wysoko kwalifikowani mechanicy” i wyszukałem kolumnę „Bez kwalifikacji”. Była cholernie krótka, o mało jej nie przegapiłem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nazajutrz, w piątek piętnastego grudnia, znalazłem pracę. Oprócz tego przeżyłem niewielką kolizję z prawem i miałem ustawiczne problemy z tym, jak postępować, co mówić i co myśleć o różnych rzeczach. Doszedłem do wniosku, że „reorientacja” w teorii to jak czytanie o seksie - z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Pewnie miałbym mniej kłopotów, gdyby wypuszczono mnie z kliniki w Omsku, Santiago lub Dżakarcie, bo kiedy jesteście w obcym kraju, w obcym mieście, wiecie, że panują tam inne obyczaje, natomiast w Wielkim Los Angeles podświadomie oczekiwałem, że wszystko będzie jak dawniej, chociaż wiedziałem, jak ogromne zaszły zmiany. Trzydzieści lat to oczywiście w historii tylko chwila. Każdy człowiek styka się z takimi, a może nawet większymi przemianami. Jednakże to coś innego niż błyskawiczne przyswojenie dokonań całej generacji w jednym momencie. Na przykład w czasie rozmowy użyłem słowa, które nabrało obecnie w odmiennego znaczenia. Tylko dlatego, że byłem „śpiochem”, nie oberwałem od małżonka obrażonej damy. Powolutku jednak przepychałem się do przodu. W pracy kasowałem prasą

hydrauliczną nowe samochody (system komunikacji naziemnej wychodził z użycia), aby złom można było odesłać do hut Pittsburgha. Cadillaki, chrysler, eisenhowery, lincolny - wszystkie możliwe typy pięknych, wielkich, nowych i silnych turbinowców, bez jednego kilometra przebiegu na liczniku. Wjazd między szczęki prasy - chrup, trzask - i złom do wysokich pieców był gotowy.

Z początku serce mnie bolało, gdy na to patrzyłem, ponieważ nie dorobiłem się jeszcze grawilotu i byłem zmuszony korzystać z komunikacji miejskiej. Wspomniałem tylko o tym i niewiele brakowało, żebym pożegnał się z pracą. Na szczęście szef zmiany przypomniał sobie, że jestem „śpiochem” i że czasami o rzeczach zupełnie oczywistych mam tyle pojęcia co ślepy o kolorach.

- To czysto ekonomiczny problem, chłopcze. Te samo- chody pochodzą z zapasów, które rząd przyjął jako gwarancję utrzymania stabilnych cen. Teraz mają już dwa lata i nikt ich nie sprzeda. Dlatego decyzją rządu niszczymy je i sprzedajemy odlewniom. Wysoki piec potrzebuje topników, nie tylko rudy, to powinieneś wiedzieć, mimo żeś „śpioch”. Im wyższe zapotrzebowanie na stal wysokiej jakości, tym więcej złomu musimy „wyprodukować”.

Przemysł hutniczy czeka na nasze dostawy.

- Dlaczego więc dalej produkuje się samochody, których nie można sprzedać?

Wygląda to na marnotrawstwo.

- Tylko wygląda. Czyżbyś chciał pozbawić pracy tysiące ludzi? Chcesz, żeby obniżył się poziom życia?

- W porządku, zatem wyślijmy je za granicę. Na tym rynku dostalibyśmy chyba więcej niż tu za ten szmelc?...

- Co?! I zniszczyć w ten sposób rynki zbytu?! Do tego narazilibyśmy się jeszcze naszym partnerom, skłóciłibyśmy wszystkie potęgi handlowe: Japonię, Francję, Niemcy,

Wielką Azję... nikt nie zdążyłby się obejrzeć, a stanęlibyśmy w obliczu kryzysu. Chaos w światowym handlu mógłby spowodować wojnę! Tego chcesz?! - Westchnął i ciągnął ojcowskim tonem: - Wpadnij kiedyś do biblioteki publicznej i wypożycz kilka książek na ten temat. Nie masz prawa komentować tych spraw, dopóki czegoś się o nich nie dowiesz. Darowałem więc sobie komentarze. Nie zdradziłem mu, że w bibliotece publicznej lub uniwersyteckiej spędzam cały swój wolny czas. W ogóle wolałem nie wspominać, że kiedyś byłem inżynierem mechanikiem. Moje roszczenia do tego tytułu miały tyle sensu, ile zdrowego rozsądku tkwiłoby w decyzji zatrudnienia alchemika w rafinerii ropy naftowej. Problem niszczonych samochodów zaczął nurtować mnie jeszcze bardziej, gdy odkryłem, że tylko niewiele z nich nadaje się do użytku, a niektórym brakuje tak podstawowych części, jak tablice rozdzielcze czy urządzenia klimatyzacyjne. Kiedy dostrzegłem, że w jednym wozie, miażdżonym przez szczęki prasy, nie ma silnika - nie mogłem się opanować i wspomniałem o tym szefowi. Ten spojrzał na mnie z ukosa.

- Do wszystkich diabłów, chłopcze, chyba nie oczekujesz szczególnej staranności przy produkcji czegoś, co od razu idzie do magazynu zbędnych zapasów, a potem na złom? Te samochody przeznaczone do kasacji znacznie wcześniej, niż znalazły się na taśmie montażowej.

Tym razem zamknąłem się na dobre. Swoją przyszłość widziałem w projektowaniu.

Ekonomia mogła pozostać dla mnie na zawsze czarną magią.

Miałem mnóstwo czasu na rozmyślania. Pracy, którą wykonywałem, nie mogłem traktować serio, oczywiście według moich kryteriów. Przecież tylko dzięki najrozmaitszym odmianom „Uniwersalnego Franka” w tej fabryce w ogóle coś się działo. „Frank” i jego bracia obsługiwali prasę, podjeżdżali samochodami na miejsce, odwozili złom, liczyli i wazyli kolejne transporty - a ja stałem (nie mogłem siedzieć) na niewielkiej platformie przy

wyłączniku. Gdyby coś szło nie tak, miałem przełożyć dźwignię i zatrzymać cały cykl produkcji. Nigdy się to nie zdarzyło, ale szybko zorientowałem się, że wystarczy drobne uszkodzenie w automatyce, a powinienem wszystko wyłączyć i sprowadzić ekipę remontową. Dzięki tej pracy miałem stałe dochody - dwadzieścia jeden dolarów dziennie, co zapewniało skromny wikt.

Po odliczeniu ubezpieczenia, podatku cechowego, podatku dochodowego, podatku obronnego, ubezpieczenia zdrowotnego i raty do kasy wzajemnej pomocy, zostawało mi prawie szesnaście. Pan Doughty mylił się twierdząc, że kolacja kosztuje dziesięć dolarów. Można było najść się do syta i za trzy, jeżeli nie upierałeś się przy prawdziwym mięsie. Ja jednak przypomniałem sobie wszystkie opowieści o przepysznym mięsie, po którego zjedzeniu licznik Geigera terkotał niczym obłąkany, i poprzestałem na syntetycznych sznyclach.

Pewne problemy miałem z mieszkaniem. Ponieważ Los Angeles nie przeżyło wyburzenia dzielnic podczas Sześciotygodniowej Wojny, zaludnienie zwiększyło się o uchodźców (do których można było i mnie zaliczyć, choć sam nie uważałem się za takiego) nie mających z wiadomych powodów żadnych szans na powrót do domu. Kiedy kładłem się do hibernatora, miasto - jeśli Wielkie Los Angeles można tak traktować - dusiło się. Teraz przypominało wypchaną damską torebkę. Być może błędem była likwidacja smogu - w latach sześćdziesiątych corocznie kilka procent mieszkańców wyjeżdżało wskutek zapalenia zatok. Miałem wrażenie, że teraz nikt już stąd się nie wyprowadzi.

A oto jak potoczyły się moje losy od chwili opuszczenia schroniska.

W dniu, gdy mnie zwolniono, obmyśliłem plan działania, porządkując wszystko według hierarchii ważności. Przede wszystkim (1) musiałem znaleźć pracę, (2) znaleźć dach nad głową, (3) uzupełnić braki w wykształceniu, (4) odnaleźć Ricky, (5) zatrudnić się

ponownie jako konstruktor, (6) odszukać Belle i Milesa i wyrównać z nimi rachunki, nawet za cenę więzienia i (7) całe mnóstwo innych spraw, jak np. wygrzebanie pierwotnego patentu na „Pracusia Paula” i sprawdzenie, czy nie jest to przypadkiem ulepszona wersja „Uniwersalnego Franka”, zapoznanie się z historią firmy Hired Girl itd., itd.

Niektóre z tych czynności były oczywiście powiązane ze sobą, na przykład liczyłem się z tym, że poszukiwania Ricky, Belle i Milesa mogą pójść tym samym torem.

Równocześnie musiałem odrabiać zaległości w wykształceniu, szukać pracy i jakiegoś kąta. Jednak hierarchię celów ustaliłem już dawno - praca oznaczała dolary, a te były kluczem do wszystkich innych spraw... przynajmniej tak to wyglądało z punktu widzenia totalnego bankruta. Kiedy nie przyjęto mnie w sześciu miejscach w mieście, wybrałem się do okręgu San Bernardino, ale zgłosiłem się o dziesięć minut za późno. Zamiast pójść po rozum do głowy i wynająć na miejscu jakąś przyczepę, postanowiłem wrócić do centrum, żeby znaleźć pokój, wstać wcześniej rano i zająć pierwsze miejsce w kolejce po jakąkolwiek pracę anonsowaną w porannej prasie.

Nie przewidziałem trudności, jakie powstały przy szukaniu noclegu. Zapisalem się na liście oczekujących w czterech pensjonatach i skończyłem w parku. Wytrzymałem do północy - zimy w Wielkim Los Angeles są niemal tropikalne tylko wtedy, gdy bierzecie poważnie słowo „niemal”. Doszedłem do wniosku, że jedynym wyjściem jest dworzec na Wilshire Ways... i gdzieś koło drugiej wygarnięto mnie stamtąd razem z innymi włóczęgami. Standard więzienia poprawił się. Było ogrzewane i mam wrażenie, że wymagano tam od karaluchów, żeby wycierały sobie nogi. Zostałem oskarżony o włóczęgostwo. Sędzią był młody chłopak, który nawet nie podniósł głowy znad gazety, tylko sucho zapytał:

- Wszyscy dotąd nie karani?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Miesiąc aresztu albo pluton pracy. Następni. Zaczęto nas już wyprowadzać, gdy postanowiłem zaprotestować.

- Chwileczkę, panie sędzio.

- Tak? Macie jakieś uwagi? Jesteście winni czy nie?

- Hm, właściwie to nie wiem, ponieważ nie mam zielonego pojęcia, co złego zrobiłem.

Wie pan...

- A może obrońcę z urzędu? Jeśli chcecie, możemy was zamknąć, dopóki któryś nie znajdzie chwili czasu, by rozpatrzyć waszą sprawę. O ile wiem, mają teraz opóźnienia około tygodnia... ale to wasz przywilej.

- Nie wiem, co o tym sądzić. Możliwe, że wybiorę pluton pracy, chociaż dokładnie nie wiem, co to jest.

Przede wszystkim chciałbym uzyskać poradę od Wysokiego Sądu, jeżeli Wysoki Sąd pozwoli.

- Odprowadzić pozostałych - polecił sędzia urzędnikowi, następnie zwrócił się do mnie: - Do roboty. Jednak jestem pewny, że moja rada wam się nie spodoba. Pracuję tutaj już dość długo, słyszałem najróżniejsze zmyślane historyjki i ostrzegam, że na ogół wyprowadzają mnie z równowagi.

- Rozumiem, panie sędzio. Moja historia nie jest wymyślona, może pan ją łatwo sprawdzić. Mianowicie, wczoraj obudziłem się po trzydziestoletniej hibernacji i...

Skrzywił się z nie ukrywanym obrzydzeniem.

- Ach tak, jesteście jednym z nich? Często zastanawiałem się, dlaczego właściwie nasi przodkowie myśleli, że mogą na nas przerzucić swoje problemy. Więcej ludzi - to ostatnia rzecz, jakiej moglibyśmy sobie życzyć, zwłaszcza takich darmozjadów. Najchętniej kopnąłbym was tak, żebyście dolecieli z powrotem do tego czasu, z którego pochodzicie.

Przyczepiłbym jeszcze karteczkę z informacją, że ta przyszłość ze snów to nie kraina mlekiem i miodem płynąca. - Westchnął ciężko. - W ten sposób jednak niczego się nie załatwi. W porządku, czego ode mnie oczekujecie? Że dam wam jeszcze jedną szansę? Chyba tylko po to, żebym za tydzień znowu was tu spotkał?!

- Panie sędzio, mam nadzieję, że mnie pan już więcej nie zobaczy. Dysponuję dostateczną sumą pieniędzy, aby przetrwać, dopóki nie znajdę jakiejś pracy i...

- Tak? Po co więc barakowaliście, skoro macie pieniądze?

- Panie sędzio, nie wiem nawet, co ten wyraz oznacza.

Tym razem pozwolił mi na dłuższą opowieść. Kiedy doszedłem do tego, jak wyrolowała mnie ubezpieczalnia Master, zaczął zachowywać się zupełnie inaczej.

- To dranie! Moja matka płaciła im składki przez dwadzieścia lat, a oni ją wykiwali.

Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej? - Wyciągnął wizytówkę, coś na niej napisał i powiedział: - Proszę z tym zgłosić się do kancelarii Urzędu Nadmiarowych Rezerw. Gdyby tam nie dostał pan pracy, proszę wrócić do sądu i wtedy zastanowimy się, co dalej. Jeden warunek: koniec z barakowaniem! Nie tylko przyczynia się pan w ten sposób do wzrostu przestępczości, ale w dodatku naraża się na niebezpieczeństwo spotkania werbownika „bezdusznych”.

Tak dostałem pracę i zabrałem się do niszczenia zupełnie nowych samochodów.

Pomimo to nie sędzę, że popełniłem błąd w logicznej ocenie sytuacji, poszukując najpierw zatrudnienia. Człowiek z pokaźnym kontem w banku czuje się wszędzie jak w domu - gliniarze zostawią go zawsze w spokoju.

Znalazłem wkrótce miły tani pokoik w zachodniej części Los Angeles, nie będącej jeszcze w przebudowie, zgodnie z założeniami „Nowego planu”. Sędząc po wielkości pomieszczenia, kiedyś musiała to być szafa na ubrania.

Nie chciałbym, żeby na podstawie powyższej relacji ktoś pomyślał, że rok 2000 w porównaniu z rokiem 1970 jest zupełnie do kitu. Wręcz przeciwnie. Pomimo nękających mnie czasami ataków tęsknoty za domem wyznawałem pogląd, że Wielkie Los Angeles z początku trzeciego tysiąclecia jest prawdopodobnie najwspanialszym miastem, jakie kiedykolwiek widziałem. Było czyste, gwarne i czarujące, pomimo że żyło tu tak dużo ludzi. Ale i ten problem powoli likwidowano. Dzielnice, przebudowane według „Nowego planu”, cieszyły oko świeżością i przejrzystością konstrukcji. Gdyby rada miejska mogła na dziesięć lat powstrzymać napływ imigrantów, bez trudu zdołałaby rozwiązać problem mieszkaniowy. Ponieważ jednak nie miała nieograniczonej władzy, musiała stawiać czoło coraz to nowym falom uchodźców spływającym z okolicznych gór. W tych warunkach magistrat nie mógł liczyć na sukcesy, a zdarzające się niepowodzenia przybierały tragiczne rozmiary. Warto było przespać trzydzieści lat tylko po to, by znaleźć się w czasach, gdy nie istnieje katar i nikomu nie cieknie z nosa. Przejąłem się tym faktem bardziej niż stacją badawczą na Wenus. Największe wrażenie zrobiły na mnie dwie rzeczy - jedna wielka, jedna mała. Ta wielka to oczywiście zerowa grawitacja. Już w 1970 roku wiedziałem o badaniach w Instytucie Babsona, ale nie oczekiwałem rewelacyjnych wyników. Rzeczywiście, te próby zakończyły się fiaskiem; podstawową teorię pola, z której wynika pojęcie zerowej grawitacji, opracowano na uniwersytecie w Edynburgu.

Dla mnie, człowieka bazującego na wiadomościach szkolnych, grawitacja była czymś niezmiennym, nierozzerwalnie związanym z samą formą przestrzeni. Wyglądało więc na to, że zmieniono jej formę. Oczywiście w określonym miejscu i czasie, ale do przemieszczenia jakiegoś materialnego przedmiotu nic więcej nie potrzebujemy. Ciągłe jednak układem odniesienia jest staruszka Ziemia, dlatego nie można wykorzystać zerowej grawitacji na potrzeby statków kosmicznych - przynajmniej nie w roku 2001. Jak tę sprawę rozwiąże

przyszłość - nie wiem i nie chcę zgadywać. Dowiedziałem się, że przy podnoszeniu masy ciągle trzeba używać energii kinetycznej, pokonywać potencjał grawitacyjny ciała i na odwrót - przy opuszczaniu musimy energię potencjalną zgromadzić w akumulatorze, gdyby bowiem pozostało choć kilka procent tych dzuli, miejsce eksperymentu przypominałoby krater po wybuchu tysiackilogramowej bomby. Kiedy chcemy przenieść jakąś rzecz horyzontalnie, powiedzmy z San Francisco do Los Angeles, wystarczy wynieść ją na odpowiednią wysokość, a resztę drogi przebędzie jak narciarz zjeżdżający z długiego stoku. Fantastyczne! Próbowałem rozgryźć podstawy teoretyczne tego wynalazku, jednakże teoria zerowej grawitacji matematycznie zaczyna się tam, gdzie kończy się rachunek tensorowy, a to już był szczyt moich możliwości. Nie zmartwiłem się tym zbytnio - konstruktor rzadko bywa doskonałym matematykiem czy fizykiem, zresztą nie musi nim być. Wystarczy, jeśli zrozumie i prawidłowo wykorzysta w praktyce parametry eksploatacyjne. A tego mogłem się nauczyć.

Tą małą rzeczą, o której wspomniałem, były zmiany w damskiej modzie, wynik wynalezienia lepezu. Gołe ciała na plażach nie zaskoczyły mnie, mogłem tego oczekiwać już w roku 1970. Ale niektóre kreacje wstrząsnęły mną do głębi.

Mój dziadek urodził się w 1890 roku; przypuszczam, że na wiele spraw z 1970 roku zareagowałby identycznie.

Ten ŻYWY nowy świat podobał mi się jednak i byłbym zupełnie zadowolony, gdyby nie jeden fakt - czułem się strasznie osamotniony. Nie należałem do tej rzeczywistości. Były chwile, zazwyczaj w środku nocy, gdy dałbym wszystko, co miałem, i to z pocałowaniem ręki, za jednego pokrytego bliznami kocura lub za wizytę w zoo z małą Ricky... bądź za przyjaźń z Milesem z czasów, gdy nie mieliśmy nic poza ciężką harówką i wielkimi nadziejami.

Ciągle jeszcze był początek roku 2001, nie wykonałem nawet połowy założonego planu, kiedy zachciało mi się opuścić wygodne miejsce i zasiąść z powrotem za deską kreślarską. Opierając się na aktualnym stanie techniki, miałem zamiar zaprojektować parę tuzinów rzeczy, o których w 1970 roku nawet nie śniłem.

Na przykład automatyczne sekretarki, które preparowałyby doskonale od strony prawnej, wycyzelowane stylistycznie (że nie wspomnę o interpunkcji i ortografii) umowy handlowe. Udział człowieka polegałby tu jedynie na przedstawieniu ogólnego planu.

Dotychczas nie spotkałem czegoś podobnego. To znaczy, ktoś wymyślił automatyczną maszynistkę, ale zakres jej czynności był bardzo ograniczony. Nadawała się jedynie do języków takich jak esperanto, natomiast nie sprawdzała zupełnie, gdy w grę wchodziło coś takiego, jak „Though the tough cough and hiccough plough him through”.

Ludzie nie zrezygnują z nielogiczności angielskiego tylko po to, aby ułatwić pracę jakiemuś wynalazcy. Mahomet musi pofatygować się do góry.

Jeśli tę zwariowaną angielską pisownię jest w stanie opanować uczennica szkoły średniej, to dlaczego nie miała – by nauczyć się tego maszyna? Na to pytanie odpowiadano zazwyczaj słowem „niemożliwe”. Teoretycznie potrzebna tu ludzka inteligencja i umiejętność rozumowania.

Lecz przecież wynalazek jest tym czymś, co do pewnego tylko momentu pozostaje „niemożliwe”. Za to właśnie przyznaje się patenty.

Dzięki obecnej miniaturyzacji (słusznie przewidywałem szalony wzrost znaczenia złota w elektronice) i pamięciowym lampom elektronowym można wpakować do jednej stopy sześcienniej sto tysięcy kodów dźwiękowych... inaczej mówiąc, przydzielić poszczególny kod każdemu słowu, przy czym liczba stu tysięcy jest przesadzona: liczba dziesięciokrotnie mniejsza wystarczyłaby w zupełności. Nikt nie wymaga przecież od stenografa, żeby znał

takie słowa, jak „hipoentektoidalny” czy „hipsciamin”. Kiedy już trzeba będzie pomieścić w tekście taki dziwoląg, można go po prostu przeliterować. W porządku, program rozszerzamy tak, by w razie trudności maszyna zapisywała to, co się przeliteruje. Specjalne kody przydzielamy znakom przestankowym... różnym krojom czcionki... wyszukiwaniu adresów w spisach... różnej liczbie kopii... pismo rozstrzelone... i zostawiamy co najmniej tysiąc wolnych miejsc dla terminów specjalnych, uwzględniając możliwość dalszego kodowania przez właściciela lub użytkownika urządzenia. System powinien być tak elastyczny, by po jednorazowym przeliterowaniu takiego słowa jak „leptomeningitis”, i wciśnięciu klawisza pamięci, nie było już potrzeby powtarzania całej procedury.

Wszystko niesłychanie proste. Należało tylko połączyć ze sobą dostępne na rynku urządzenia, wyłapać usterki i zbudować prototyp.

Największym problemem były homonimy. „Pisarka Daisy” nie powinna się zawahać nawet przez sekundę przy wyrażeniach typu „tough cough and hiccough”, ponieważ każde z tych słów brzmi inaczej. Ale wybrać jedno z dwojga: „Bóg” czy „buk” lub „rów” czy „ruf”, to znacznie bardziej skomplikowana operacja.

Ze słownikiem angielskich homonimów w rękę zacząłem liczyć te pary słów, których nie mogłem opuścić, cały czas starając się ustalić, które wymagają szczególnego kodowania i jak często występują.

Byłem coraz bardziej nerwowy i niecierpliwy. Marnowałem trzydzieści godzin tygodniowo na bezsensowną pracę, a nie miałem czasu na sensowną - w bibliotece.

Potrzebowałem kreślarni, warsztatu do eksperymentowania i usuwania usterek, katalogów, fachowych czasopism, komputera i wielu innych rzeczy.

Zdecydowałem się poszukać zajęcia przynajmniej trochę związanego z moim zawodem. Nie byłem takim głupcem, by wyobrażać sobie, że tak od razu mogę być

konstruktorem. Miałem jeszcze mnóstwo do nadrobienia - wymyślałem metody, jak zrobić coś za pomocą czegoś innego, czego właśnie się nauczyłem, i z przykrością stwierdzałem, że ktoś inny rozwiązał ten problem bardziej pomysłowo, lepiej i taniej niż ja - i w dodatku dziesięć lub piętnaście lat wcześniej.

Musiałem dostać się do jakiejś pracowni konstruktorskiej, by przyjrzeć się z bliska wszystkim nowinkom. Miałem nadzieję, że mnie zatrudnią jako zwyczajnego kreślarza. Wiedziałem, że w użyciu są elektryczne półautomaty kreślarskie, ale byłem przekonany, że nauczyłbym się je obsługiwać w ciągu dwudziestu minut, gdyż przypominały urządzenia, o których myślałem dawniej. Tym razem jednak byłem pewien, że nie ukradziono mojego pomysłu, ponieważ nigdy nie opuścił on mojej głowy. Ktoś po prostu wymyślił to samo i zrealizował tak, jak ja bym to zrobił. Jednego z najlepszych kreślarzy - „Kreślarza Ralpha” - produkował Alladin, ta sama firma, która skonstruowała „Pracusia Paula”. Sięgnąłem głębiej po oszczędności, kupiłem lepsze ubranie i neseser na bazarze, neseser wypakowałem gazetami i wybrałem się do Oddziału Sprzedaży firmy Alladin udając, że chcę kupić jeden egzemplarz. Zażądałem zademonstrowania umiejętności „Kreślarza Ralpha”. Kiedy zbliżyłem się do urządzenia, ogarnęło mnie szczególne uczucie. Psychologowie określają taki stan mianem *deja vu*. Ta cholerna maszyna była wykonana dokładnie tak, jak ja bym ją skonstruował, gdyby nie to... porwanie, narkotyki i przymusowy trzydziestoletni sen. Nie pytajcie mnie, skąd wzięło się to wrażenie. Każdy człowiek pozna swój styl pracy. Krytyk malarstwa przypisze dany obraz Rubensowi bądź Rembrandtowi na podstawie ruchu pędzla, sposobu operowania światłem, kompozycji, wyboru odcieni i tuzina innych rzeczy. Konstruowanie nie jest wiedzą daną, ale sztuką, i zawsze istnieje cała gama możliwości rozwiązania konkretnego problemu konstrukcyjnego. Wyborem jednej z nich podpisuje konstruktor swoje dzieło prawie tak samo czytelnie jak malarz swoje.

„Kreślarz Ralph" miał tak wiele rozwiązań charakterystycznych dla moich pomysłów, że przeżyłem wstrząs. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie istnieje telepatia.

Gdy dotarłem do pierwszego numeru patentowego, nie byłem zaskoczony, widząc rok 1970. Postanowiłem odnaleźć wynalazcę. Mógł nim być jeden z moich nauczycieli, od których przejąłem pewien styl, albo ktoś, z kim kiedyś współpracowałem.

Twórca „Kreślarza Ralpa" mógł jeszcze żyć. Gdyby rzeczywiście tak było, muszę się z nim spotkać... poznać człowieka, którego myśli biegną identycznym torem jak moje.

W końcu otrząsnąłem się z zamyślenia i poprosiłem sprzedawcę, by pokazał mi, w jaki sposób pracuje to urządzenie. „Kreślarz Ralph" i ja byliśmy stworzeni dla siebie. Po dziesięciu minutach posługiwałem się nim lepiej niż pracownik sklepu. W rezultacie wykonałem niezły rysunek i otrzymałem cennik, rabat i instrukcję obsługi. Gdy sprzedawca poprosił mnie o wpisanie nazwiska do odpowiedniej rubryki, wyszedłem obiecując, że zatelefonuję. To było nieczyste zagranie, ale zabrałem mu w końcu tylko godzinę.

Ze sklepu powędrowałem do fabryki Hired Girl, gdzie miałem zamiar (i nadzieję) podjąć pracę.

Wiedziałem już, że Miles i Belle nie pracują tutaj od dawna. Cały wolny czas poświęciłem na poszukiwania Belle, Milesa, a przede wszystkim Ricky. Żadne z nich nie figurowało w książce telefonicznej Wielkiego Los Angeles.

Nie znalazłem ich nazwisk nawet w ogólnoamerykańskim banku numerów w Cleveland. Zapłaciłem poczwórną opłatę, Belle mogła przecież używać nazwiska Darkin lub Gentry.

Podobnym fiaskiem zakończyły się próby ze spisem wyborców okręgu Los Angeles.

Firma Hired Girl w osobie jakiegoś siedemnastego zastępcy, odpowiedzialnego za nieodpowiedzialną korespondencję, nie odrzucała możliwości, że kiedyś, przed trzydziestu

laty, zatrudniała osoby o takich nazwiskach, ale teraz nie jest w stanie dostarczyć mi żadnych informacji.

Znaleźć trop po trzydziestu latach to zajęcie nie dla amatora, który ma niewiele czasu i jeszcze mniej pieniędzy. Nie dysponowałem ich odciskami palców, w przeciwnym razie spróbowałbym może w FBI. Nie znałem numerów ich polis ubezpieczeniowych. Mój kraj nigdy nie był policyjnym państwem, dlatego nie istniał żaden urząd prowadzący kartoteki z danymi wszystkich obywateli, a gdyby nawet było inaczej, i tak nie miałbym do nich dostępu. Jakaś agencja detektywistyczna pewnie chętnie zajęłaby się moją sprawą, oczywiście za sowitą opłatą. Mogłaby przekopać się przez spisy we wszystkich możliwych urzędach, archiwa dziennikarskie i diabli wiedzą co jeszcze. Nie miałem jednak ani tyle forsy, ani przedsiębiorczości i czasu, by sam się tym zająć.

Jeśli chodzi o Milesa i Belle, pogodziłem się już z myślą, że ich nie odnajdę.

Postanowiłem jednak twardo, że gdy uzbieram odpowiednią kwotę, wynajmę zawodowców, aby znaleźli Ricky. Przekonałem się, że nie jest właścicielką akcji Hired Girl. W związku z tym zwróciłem się do American Bank.

Odpowiedzią było typowe pismo z adnotacją o poufności podobnych danych.

Wysłałem drugi list, argumentując, iż jestem „śpiochem”, a Ricky jest moją jedyną żyjącą krewną. Tym razem dostałem dłuższy elaborat, podpisany przez jednego z urzędników wydziału funduszy powierniczych. Niestety i on nie mógł mi pomóc, gdyż dane dotyczące użytkowników funduszy były ściśle tajne. Uznał jednak, że może przekazać mi oświadczenie, iż jego bank ani żadna z filii nie zarządzały nigdy funduszem powierniczym Frederiki Virginii Gentry.

W ten sposób wyjaśniło się przynajmniej jedno. Ci nikczemnicy jakimś cudem zdołali zagrabić akcje Ricky.

Dokument o przepisaniu akcji musiał przejść przez American Bank, żeby nabrać mocy prawnej. Nic takiego jednak się nie stało. Biedna Ricky! Okradli ją tak samo jak mnie. Spróbowałem jeszcze jednej drogi. Archiwum w kancelarii wyższego inspektora szkolnego w Mojave zawierało wprawdzie nazwisko Frederiki Virginii Gentry, ale obok widniał wpis, że wspomniana uczennica odeszła ze szkoły w 1971 roku. Dalszych informacji na jej temat nie było.

Jedyną pociechą był fakt, że czasami ktoś potwierdzał realność istnienia Ricky, nic poza tym. Mogła przeprowadzić się do którejkolwiek z tysięcy szkół publicznych na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Jak wiele czasu straciłbym, gdybym chciał do wszystkich napisać? A jeśli nawet byłiby skłonni odpowiedzieć, to czy istniały jeszcze stare listy uczniów?

Jedna mała dziewczynka może zniknąć wśród setek milionów ludzi jak kropla w morzu.

Chociaż nie znalazłem Milesa i Belle, upewniłem się przynajmniej, że nie zasiadają w dyrekcji Hired Girl, dzięki czemu z większą śmiałością mogłem starać się o posadę w tej firmie. Co prawda, mogłem spróbować szczęścia w którymkolwiek z setek przedsiębiorstw produkujących automaty, lecz Hired Girl i Alladin były z nich najważniejsze - ich znaczenie można porównać z rolą, jaką w dobie rozwoju automobilizmu grały Ford i General Motors. Hired Girl wybrałem też trochę z sentymentu - chciałem po prostu zobaczyć, co wyrosło z dawnego warsztatu.

W poniedziałek, 5 marca 2001, postanowiłem stawić czoło losowi i stanąłem w kolejce bezrobotnych przed działem do spraw personalnych mojej byłej firmy. Razem z innymi wypełniłem tuzin ankiet nie mających nic wspólnego z pracą pomocnika kreślarza, i jedną, która zdawała się mieć jakiś związek z tym stanowiskiem. Procedurę zakończono

ogłoszeniem, że nie należy wydzwaniać z pytaniami o wyniki, bo jeśli firma zdecyduje się na jakiegoś kandydata, sama go o tym zawiadomi.

Zostałem na miejscu z mocnym postanowieniem osiągnięcia czegoś więcej. Udało mi się wkręcić do pokoju niższego rangą pracownika. Niechętnie przejrzał ten jedyny sensowny formularz i wyjaśnił mi, że mój tytuł inżyniera mechanika zda się psu na budę, ponieważ upłynęło trzydzieści lat od chwili, gdy po raz ostatni wykorzystywałem swoje kwalifikacje zawodowe.

Zaoponowałem, zwracając jego uwagę na fakt, iż byłem hibernowany.

- To jeszcze gorzej. Bez względu na okoliczności nie angażujemy nikogo powyżej czterdziestu pięciu lat.

- Ale ja nie mam czterdziestu pięciu lat. Skończyłem trzydziestkę.

- Urodził się pan w 1940 roku. Przykro mi.

- Więc co, do licha, mam robić? Zastrzelić się? Wzruszył ramionami.

- Na pana miejscu poprosiłbym o rentę z tytułu podeszłego wieku.

Wypadłem z pokoju, żeby przypadkiem zbyt gwałtownie nie doradzić czegoś temu tępakowi. Okrążyłem budynek i wszedłem głównym wejściem. Dyrektor generalny nazywał się Curtis - poprosiłem o przyjęcie.

Pierwsze dwie przeszkody pokonałem łatwo, twierdząc, że mam do załatwienia pilny interes handlowy. Firma Hired Girl zatrudniała biznesmenów, a nie bezduszne automaty.

Przebiłem się w końcu do sekretariatu mieszczącego się kilka pięter wyżej i (według powierzchniowych obserwacji) oddalonego o dwoje drzwi od gabinetu głównego szefa.

Niestety, tutaj natrafiłem na nieugięty opór urzędniczki, która bezwzględnie zażądała sprecyzowania, z czym przychodzę.

Rozejrzałem się wokół. Stałem w wielkiej sali wypełnionej mnóstwem sprzętu i

tłumkiem urzędników z nosami w stosach papierów.

- Więc? - powtórzyła z naciskiem. - Proszę powiedzieć, o co chodzi, a ja skontaktuję się z osobistą sekretarką pana Curtisa.

Odpowiedziałem głośno, żeby usłyszeli mnie wszyscy obecni:

- Chciałbym wiedzieć, jakie pan Curtis ma zamiary wobec mojej żony.

W ciągu minuty znalazłem się w jego prywatnym gabinecie. Popatrzył na mnie i zapytał:

- O co chodzi? Co za bzdury pan tu opowiada?!

Wystarczyło pół godziny i wielka sterta starych akt, aby przekonać go, że nie mam żony, natomiast jestem rzeczywistym założycielem firmy. Po ustaleniu tych faktów zapanowała przyjacielska atmosfera, zaproponowano mi drinka i cygaro, przed moimi oczami przemaszrowali kierownik działu zbytu, główny inżynier i kierownicy pozostałych działów.

- Myśleliśmy, że pan już nie żyje - wyjaśniał Curtis. - Zresztą w oficjalnych zakładowych dokumentach jest pan od dawna nieboszczykiem.

- Czcza gadanina. To na pewno dotyczy jakiegoś innego D.B. Davisa.

Kierownik działu zbytu, Jack Galloway, wtrącił nagle:

- Czym pan się w tej chwili zajmuje?

- Niczym szczególnym. Pracuję, hm, w samochodach. Mam jednak zamiar przerzucić się na coś innego. Dlaczego pan pyta?

- Dlaczego? Przecież to jasne jak słońce. - Zwrócił się do głównego inżyniera, człowieka w starszym wieku o nazwisku McBee. - Słyszałeś to pytanie? Wy, konstruktorzy, jesteście wszyscy tacy sami, nie widzicie możliwości reklamy, nawet kiedy przyjdzie do was i pocałuje w czoło. Dlaczego?! Panie Davis! Ponieważ jest pan żywą reklamą, dlatego! Jest pan żywym reliktem tych romantycznych czasów, gdy stawialiśmy pierwsze kroki! Założyciel

firmy wstaje z grobu, aby obejrzeć swoje dzieło! Wynalazca pierwszego robota

powszechnego użytku spogląda na owoce swego geniuszu.

Przerwałem mu szybko:

- Proszę chwilę poczekać. Nie jestem ani modelem reklamowym, ani gwiazdą przyciągającą tłumy. Cenię swoją prywatność. Nie po to tutaj przyszedłem. Chcę pracować jako... konstruktor.

Pan McBee podniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Przed dłuższą chwilę trwała gwałtowna wymiana zdań. Galloway próbował przekonać mnie, że mam obowiązki wobec firmy, którą założyłem. McBee nie uważał za stosowne wygłaszać podobnych tyrad, ale dał mi do zrozumienia, że nie byłbym odpowiednim nabytkiem dla jego wydziału - zapytał mnie przy okazji, co wiem na temat konstrukcji obwodów w stałej fazie. Musiałem przyznać, że niewiele, właściwie tylko tyle, ile przeczytałem w nie utajnionych katalogach.

Curtis zaproponował w końcu rozwiązanie kompromisowe.

- Panie Davis, znajduje się pan w zupełnie wyjątkowej sytuacji. Można powiedzieć, że jest pan ojcem nie tylko tej firmy, ale całej gałęzi przemysłu maszynowego. Jednocześnie, jak słusznie zaznaczył pan McBee, w czasie pana nieobecności ta gałąź szalenie się rozwinęła. Co powiedziałby pan na posadę z tytułem, hm... „inżyniera mechanika emeritusa”?

Zawahałem się:

- Jak mam to rozumieć?

- Zostawiam panu wolną rękę pod tym względem. Pragnąłbym jednak dodać, że wiązałoby się to z koniecznością współpracy z panem Gallowayem. Zajmujemy się nie tylko produkcją, musimy również myśleć o sprzedaży.

- Czy miałbym możliwość prowadzenia jakichś prac w dziedzinie konstrukcji?

- To zależy tylko od pana. Będzie mógł pan dysponować całym sprzętem, który posiadamy, i realizować wszystkie swoje zamierzenia.

- Czy warsztatem również?

Curtis spojrział na McBee'a. Główny inżynier odpowiedział z tak silnym akcentem irlandzkim, że z trudem zrozumiałem jego słowa.

- Oczywiście, oczywiście... naturalnie w rozsądnych granicach.

- Panowie, doszliśmy do porozumienia - powiedział wesoło Galloway. - Przepraszam na moment. Panie Davis, proszę nie opuszczać gabinetu, sfotografujemy pana z prototypem „Dziewczyny na posługi”.

Co też zrobili. Byłem zadowolony, że znowu widzę ten model, który zbudowałem własnymi rękoma, włożywszy weń mnóstwo wysiłku. Chciałem przekonać się, czy jeszcze działa, ale McBee nie pozwolił włączyć urządzenia - sądzę, że tak naprawdę to nie wierzył, iż potrafię je obsługiwać.

Cały marzec i kwiecień przeżyłem w Hired Girl jak we śnie. Miałem do dyspozycji wszelkie narzędzia badawcze, literaturę techniczną, niezastąpione katalogi firmowe, podręczną bibliotekę, „Kreślarza Ralpa” (wyrób Alladina, Hired Girl nie produkowała automatów kreślarskich, choć sama używała najlepszych, jakie były na rynku) i fachowe dyskusje z profesjonalistami - żyć nie umierać!

W najlepszej komitywie byłem z Chuckiem Freudenbergiem, zastępcą głównego inżyniera ds. konstrukcji. Moim zdaniem tylko Chuck był konstruktorem z prawdziwego zdarzenia, pozostali reprezentowali typ mechanika-naukowca o wielkich ambicjach. Osoba młodego inżyniera, według mnie, potwierdzała w całej rozciągłości słuszość starych poglądów na dobrego projektanta. Rzeczywiście, był on kimś więcej niż tylko absolwentem politechniki z dyplomem w kieszeni, a wspaniały szkocki akcent dodawał mu niewątpliwie

uroku. Gdy skłoniłem go do szczerych zwierzeń, potwierdził moje zdanie na temat dzisiejszego stanu firmy.

- Mac właściwie nie lubi nowości, najchętniej robiłby wszystko tak jak jego dziadek.

- Skąd więc, u licha, wziął się na tym stanowisku?

Freudenberg nie znał szczegółów, ale podejrzewał, iż przed dwudziestu laty - ze względu na oszczędności - nastąpiła fuzja Hired Girl i przedsiębiorstwa, które produkowało automaty, wykorzystując moje patenty.

Przyjęto wspólną nazwę „Hired Girl”, McBee zaś był prawdopodobnie właścicielem kontrolnego pakietu akcji.

Chuck i ja mieliśmy zwyczaj spędzać wieczory przy piwie, dyskutując o tajnikach pracy konstruktorów, potrzebach zakładu i innych sprawach. Z początku wzbudzałem w nim ciekawość jako „śpioch”. Doszedłem już dawno do wniosku, że mnóstwo ludzi przejawia nienaturalne zainteresowanie hibernowanymi (jakby co najmniej byli rarogami), dlatego rzadko przyznawałem się do trzydziestoletniego snu. Jednak Chuck fascynował się samym skokiem w czasie, a jego zainteresowanie było naturalną potrzebą człowieka, który chciał coś wiedzieć o dawno minionym świecie, żyjącym w moich wspomnieniach jak coś, co zdarzyło się zaledwie wczoraj.

Jego przyjaźń umożliwiła mi szybki powrót do społeczności nowoczesnych konstruktorów. Z anielską cierpliwością analizował projekty nowych urządzeń, którymi sypałem jak z rękawa, i studził mój zapał, kiedy przychodziłem do niego z czymś, co dawno już zostało urzeczywistnione.

Któregoś kwietniowego wieczoru rozwodziłem się na temat automatycznej sekretarki.

Chuck po namyśle podniósł głowę.

- Dan, czy już zacząłeś pracować nad tym w naszej budzie?

- Co? Nie, jeszcze nie... Dlaczego pytasz?

- Czy podpisałeś umowę?

- Nie mam żadnej umowy. Curtis wpisał mnie na listę płac, Galloway obfotografował i najął jakiegoś pismaka, który zadawał mi idiotyczne pytania. To wszystko.

- Hmm... przyjacielu, radziłbym ci nie wychylać się z tym projektem, dopóki nie będziesz wiedział, na czym stoisz. To jest naprawdę dobry pomysł i sądzę, że masz szansę go zrealizować.

- Nie spojrzałem na sprawę z tego punktu widzenia.

- Zostaw to na jakiś czas. Wiesz, jaka jest nasza firma... Zarabia i produkuje solidne rzeczy. Ale wszystkie nowości z ostatnich pięciu lat pochodzą z licencji. Ja nie zdołałem pokonać upartego konserwatyzmu McBee'a, ale ty możesz go obejść i załatwić wszystko z wielkim szefem. W każdym razie teraz nie rób nic... jeżeli nie chcesz, żeby firma zrobiła szmal na twojej naiwności i dała ci marne grosze.

Postąpiłem według jego rady. Kreśliłem dalej, ale wszystkie rysunki, które uważałem za dobre, spaliłem - miałem je w głowie, były mi już więc niepotrzebne. Nie czułem się winny, w końcu firma nie zaangażowała mnie jako konstruktora, płacili mi za rolę maskotki reklamowej. Kiedy moja reklamowa wartość spadnie do zera, otrzymam miesięczne wynagrodzenie, podziękowanie i wymówienie.

Ale wtedy będę już prawdziwym konstruktorem z opracowaną koncepcją własnej firmy i gdyby Chuckowi zbrzydła praca w Hired Girl, miał u mnie zaklepaną posadę.

Tymczasem Jack Galloway snuł wielkie plany o ogromnym reportażu w Life, nawiązującym do artykułu sprzed lat trzydziestu, który opisywał prototyp „Dziewczyny na posługi”. Jego zdaniem moja historia nie nadawała się do dzienników, lecz dla czasopism ogólnokrajowego zasięgu. Life co prawda nie połknął haczyka, ale Galloway sprzedał temat

w kilku innych redakcjach i rozwinął szeroką kampanię reklamową.

Dostałem sporo listów od rozmaitych dziwaków - najciekawszy od faceta, który groził mi ogniem piekielnym za pokrzyżowanie boskiego planu wobec mojego losu. Wyrzuciłem je wszystkie, myśląc, że gdyby Bóg miał jakieś obiekcje co do mojego życia, nie dopuściłby do hibernacji. Poza listami nic nie niepokoiło mojej cichej egzystencji.

Jednak w czwartek 3 maja 2001 zadzwonił telefon.

- Ma pan na linii panią Schultz. Łączyć?

Panią Schultz? Do diabła, obiecałem podczas ostatniej rozmowy z Doughtym, że do niej zadzwonię. Ciągle jednak zwlekałem, ponieważ nie miałem najmniejszej chęci z nią rozmawiać. Byłem przekonany, że mam do czynienia z jedną z tych zwariowanych damulek, które uganiają się za hibernantami i pytają o wrażenia.

No dobrze, winien byłem Doughty'emu przynajmniej to, że nie odłożę słuchawki.

- Proszę.

- Czy pan Danny Davis?

Telefon w moim pokoju nie miał ekranu, więc mnie nie widziała.

- Przy telefonie. Pani nazywa się Schultz?

- Ach, Danny, kochanie, jak to wspaniale słyszeć znowu twój głos!

Nie odpowiedziałem od razu.

—

Czyżbyś mnie nie poznał? - szczebiotała dalej. Oczywiście, że ją poznałem. To była Belle.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Umówiłem się z nią na spotkanie.

Najpierw miałem szaloną chęć posłać ją do diabła i odwiesić słuchawkę. Już dawno

zrozumiałem, że szukanie zemsty byłoby dziecinadą. Pita nie mogła mi wrócić, a gdybym rzecz serio potraktował, zgniłbym w więzieniu. Od czasu kiedy przestałem poszukiwać Belle i Milesa, ani razu o nich nie pomyślałem.

Byłem jednak pewien, że Belle wie, gdzie jest Ricky, i dlatego zgodziłem się na to rendezvous.

Chciała, żebym zaprosił ją na kolację, ale odmówiłem. Nie dbam przesadnie o niuanse savoir-vivre'u, ale wspólna kolacja oznacza dla mnie spotkanie z przyjaciółmi, czego o Belle raczej nie mogłem powiedzieć. Zapisałem adres i obiecałem, że przyjadę o ósmej wieczór.

Mieszkanie znajdowało się w taniej czynszowej kamienicy bez windy, w jednej z dzielnic (centralny La Brea), która nie została jeszcze przebudowana według „Nowego planu”. Już zanim zadzwoniłem do drzwi, nie miałem wątpliwości, że Belle przepuściła wszystko, co mi ukradła - inaczej nie mieszkałaby tutaj.

Gdy ją zobaczyłem, uświadomiłem sobie, że na zemstę jest już za późno. Upływający czas zrobił to za mnie, a ona sama dzielnie mu sekundowała.

Belle twierdziła, że ma pięćdziesiąt trzy lata, prawdopodobnie zaś dobiegała sześćdziesiątki. Dzięki geriatrici i endokrynologii kobieta, która zechciała zatroszczyć się o swoje ciało, mogła teraz wyglądać na trzydziestolatkę nawet z szóstym krzyżykiem na karku i nie było w tym nic osobliwego. Niektóre gwiazdy filmowe chlubiły się wnukami i jednocześnie grały role podlotków.

Belle jednak nie zadała sobie ani odrobiny trudu, żeby ukryć starość.

Była tłusta, głos miała chrapliwy, a jej wysiłki, by zachować się uwodzicielsko, wyglądały żałośnie. Nadal uważała swoje ciało za główny atut, chociaż negliż z lepexu nie ukrywał niedostatków dawno minionej urody, wprost przeciwnie, ukazywał wszystkie szczegóły wyglądu zwiędłej, przekarmionej i pozbawionej ruchu samicy.

Nie była tego świadoma. Jej kiedyś tak sprawny mózg pracował na zwolnionych obrotach, a oprócz zarozumiałości i egoizmu nic nie pozostało z dawnej Belle. Rzuciła się na mnie z okrzykiem radości i zanim udało mi się wyrwać z jej objęć, o mało mnie nie pocałowała.

Chwyciłem ją za nadgarstki i odepchnąłem.

- Opanuj się!

- Ależ, kochanie! Jestem tak szczęśliwa, tak wzruszona, tak podniecona twoją obecnością...

- Wierzę ci na słowo.

Przyszedłem do niej z twardym postanowieniem utrzymania nerwów na wodzy...

Chciałem dowiedzieć się tego, co mnie interesowało, i ulotnić się. Jednak okazało się to nie takie proste.

- Pamiętasz, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni?! Nafaszerowałaś mnie narkotykami, żeby potem wpakować do hibernatora!

Wyglądała na zmieszaną i niewinnie skrzywdzoną.

- Ależ, najdroższy, zrobiliśmy to tylko dla twojego dobra! Byłeś taki chory.

Sądzę, że naprawdę zdążyła już w to uwierzyć.

- Dobrze, w porządku. Gdzie jest Miles? I skąd to nazwisko Schultz?

Spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

- To ty nie wiesz?...

- Czego?

- Biedaczek Miles... biedny najdroższy Miles. Nie przeżył nawet dwóch lat po tym, jak nas opuściłeś, Danny. - Nagle wyraz jej twarzy się zmienił. - Ten nikczemnik mnie oszukał!

- Miałś pecha.

Ciekawiło mnie, w jaki sposób Miles zmarł. Wypadł z okna albo ktoś go z niego wypchnął? Zupka z arsenikiem? Postanowiłem przejść do sedna sprawy, zanim Belle wejdzie na wysokie obroty.

- Co się stało z Ricky?

- Z Ricky?

- Frederica, dziewczynka Milesa.

- Ach ta, ten mizerny, mały smarkacz. Skąd mam wiedzieć? Przeprowadziła się do babki.

- Dokąd? Jak nazywała się ta babka?

- Dokąd? Do Tucson albo do Yumy, w każdym razie do jakiegoś nudnego miasta. A może do Indii. Kochanie, nie mówmy więcej o tym niemożliwym dzieciaku. Porozmawiajmy o nas.

- Za chwilę. Jak nazywała się jej babka?

- Ależ, Daneczku, jesteś strasznie męczący. Dlaczego miałabym pamiętać takie szczegóły?

- Jak się nazywała?

- Hm, Hanolon... albo Haney... Heinz... Może zresztą Hinckley. Nie nudź, najdroższy.

Napijemy się za nasze szczęśliwe spotkanie.

Pokręciłem głową.

- Nie piję.

Była to niemal prawda. Od pamiętnego kryzysu, kiedy to przekonałem się, że alkohol nie jest najlepszym przyjacielem, postanowiłem ograniczać się do jednego piwa dziennie.

- Co za przykrość, kochanie. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli sama się napiję?

Bez zachęty z mojej strony naląła pełną szklanę czystego dżinu, przyjaciela

samotnych kobiet. Zanim wypła, wzięła plastikową buteleczkę z pigułkami i dwie wysypała na dłoń.

- Weźmiesz jedną?

Poznałem opakowanie w paski - euforion. Według oficjalnych zapewnień miał być nietoksyczny i nie prowadził do nałogu, ale opinie o nim krążyły rozmaite. Niektórzy byli przekonani, że należałoby zakwalifikować go to tej samej klasy narkotyków, co morfina i barbiturany.

- Dzięki, czuję się okay i bez tego.

- To miło.

Połknęła obie pastylki i popła dżinem. Pomyślałem, że jeżeli chcę się czegoś dowiedzieć, muszę przyspieszyć tempo rozmowy. Za parę chwil Belle nie będzie w stanie pozbierać myśli.

Wziąłem ją za rękę i posadziłem na tapczanie. Sam usiadłem naprzeciwko.

- Belle, powiedz mi coś o sobie, o swoich problemach. Jak na przykład udała się tobie i Milesowi ta spółka z Mannixem?

- Co? Ależ my w ogóle nie podpisaliśmy umowy. I to była twoja wina!

- Jak to moja wina? Przecież mnie tam w ogóle nie było.

- Oczywiście, że to twoja wina. Pamiętasz tę okropną rzecz, którą zbudowałeś z tego starego wózka? Tego chcieli. A właśnie jej nie było.

- Dlaczego? Co się z nią stało?

Łypnęła na mnie swoimi świńskimi podejrzliwymi oczkami.

- To ty powinieneś wiedzieć... sam ją ukradłeś.

- Ja? Czyś ty zwariowała?... Nie mogłem jej ukraść, bo leżałem zamrożony na kość w

hibernatorze... Kiedy zniknęła?

Potwierdziły się moje przypuszczenia. Ktoś musiał ukraść „Uniwersalnego Franka”, gdyż Belle i Miles nie zyskali na nim ani grosza. Lecz spośród miliardów ludzi na całej kuli ziemskiej ja byłem ostatnim, który mógł w tym maczać palce. Nie widziałem „Franka” od chwili, gdy owego pechowego wieczora przegłosowali mnie i wywalili z firmy.

- Opowiadaj dalej, Belle. Gdzie był ukryty? I właściwie dlaczego mnie podejrzewasz?

- To musiałeś być ty. Nikt inny nie wiedział, jaką wartość ma ta kupa złomu! A mówiłam Milesowi, żeby nie chował go do garażu.

- Nawet jeśli ktoś go ukradł, wątpię, czy umiałby się z nim obchodzić. Przecież wszystkie dane, instrukcje i wykresy mieliście u siebie.

- A skądże! Zniknęły razem z automatem, były w nim. Ten idiota Miles wsadził je razem z nim do garażu tej samej nocy, gdy ukryliśmy go przed twoim gniewem.

Nie miałem zamiaru sprzeczać się o to „ukrycie”. Jednak nie mogłem pojąć, w jaki sposób Miles mógł wpakować do „Uniwersalnego Franka” taki stos papieru, skoro ten był i tak naładowany elektroniką niczym faszerowana gęś. Nagle przypomniałem sobie o prowizorycznej półce, którą zrobiłem na ramie wózka; służyła mi jako schowek na narzędzia. Ktoś mógł spokojnie wsadzić tam i notatki, i resztę dokumentacji.

Sprawa dawno straciła już na aktualności. To przestępstwo - podobnie jak inne - miało miejsce przed trzydziestu laty. Teraz chciałem tylko wiedzieć, co uniemożliwiło im kontrolę nad Hired Girl.

- Co zrobiliście z firmą, kiedy nie wypaliła umowa z Mannixem?

- Ciągnęliśmy dalej... Nic innego nam nie pozostało. Po odejściu Jake'a Miles powiedział, że musimy zamknąć zakład. Miles był niedołągą... a ten Jake Schmidt też mi się nie podobał. Cholerny bazyliszek! Ciągle tylko wypytywał, dlaczego właściwie się

zwolniłeś... tak jakbyśmy mogli coś na to poradzić. Chciałam zaangażować jakiegoś dobrego fachowca i kontynuować produkcję. Warsztat miałby w ten sposób większą wartość. Ale Miles się nie zgodził.

- A co potem?

- Sprzedaliśmy licencję, oczywiście Geary Manufacturing. Musisz przecież o tym wiedzieć, bo u nich pracujesz.

O tym rzeczywiście wiedziałem. Pełna nazwa firmy Hired Girl brzmiała teraz „Hired Girl Appliances and Geary Manufacturing”, chociaż na ogół używano tylko pierwszego członu. Gdy i to z niej wyciągnąłem, sądziłem, że już niczego ciekawego się nie dowiem. Chciałem spytać tylko o jeszcze jedną sprawę.

- Gdy sprzedaliście licencję Geary'emu, zachowaliście swoje akcje?

- Co? Skąd ci to przyszło do głowy? - Zrobiła minę skrzywdzonego niewiniątka. Po policzkach pociekły łzy. - Oszukali mnie! Oszukali, dranie! Ten przeklęty oszust nawiał z forszą! - Pociągnęła nosem i w zamyśleniu dodała: - Wszyscy mnie oszukali... a ty byłeś najgorszy, Daneczku. A ja tak się o ciebie martwiłam...

Przełknęła łzy.

Doszedłem do wniosku, że euforion jest zdecydowanie przereklamowany. A może ten płacz był jej potrzebny?

- Jak to oszukali?

- Co? Ty tego nie wiesz? Zostawił wszystko tej cholernej smarkuli... A tyle mi obiecywał... jak opiekowałam się nim, gdy miał te straszne bóle. Żeby to chociaż była jego córka... Tak mnie skrzywdził...

To była pierwsza dobra wiadomość, jaką usłyszałem tego wieczora. Przynajmniej tym razem Ricky miała szczęście. Wróciłem zatem do najważniejszego.

- Belle, jak nazywała się babcia Ricky?... Gdzie mieszkała?

- Kto gdzie mieszkał?

- Babcia Ricky.

- Kto to jest Ricky?

- Córka Milesa. Skoncentruj się, Belle, to dla mnie ważne. Ostatnia uwaga trochę ją zmobilizowała. Wyciągnęła palec ku mnie i jęknęła.

- Ja cię znam. Byłeś w niej zakochany, wiem o tym. Ta podstępna mała dziewczucha... i ten straszny kocur!

Na wzmiankę o Picie ogarnęła mnie wściekłość, ale opanowałem się. Chwyciłem ją za rękę i potrząsnąłem jak workiem ziemniaków.

- Daj spokój, Belle. Chcę wiedzieć tylko jedno. Gdzie mieszkały? Jak Miles adresował listy do Ricky? Spróbowała mnie kopnąć.

- Nie chcę z tobą w ogóle rozmawiać! Zachowujesz się skandalicznie. - Przez moment wydawało mi się, że wytrzeźwiała. - Nie wiem - oznajmiła. - Ta jej babka nazywała się Hanecker albo podobnie... Widziałam ją tylko raz, w sądzie, podczas odczytywania testamentu.

- Kiedy to było?

- Zaraz po śmierci Milesa.

- A kiedy zmarł Miles? Spróbowała wykręcić kota ogonem.

- Chcesz wiedzieć za dużo. Jesteś taki sam jak policjanci... ciągle tylko wypytujesz...

wypytujesz... jak na przesłuchaniu! - Zerknęła na mnie spod oka i błagalnie zamamrotała: -

Zapomnijmy o przeszłości i bądźmy znowu razem. Zostaliśmy tylko we dwoje, najdroższy... i ciągle jeszcze mamy życie przed sobą. Kobieta trzydziesto-dziewięcioletnia wcale nie jest stara. Schultz mówił, że jestem najmłodszą duchem istotą, jaką kiedykolwiek widział - a ten

stary cap widział ich naprawdę mnóstwo, możesz mi wierzyć! Możemy być jeszcze szczęśliwi, najdroższy! Moglibyśmy...

Nie wytrzymałem. Nie potrafiłem wytrzymać w roli detektywa.

- Belle, muszę już iść.

- Co, najmilszy? Ale dlaczego, jest jeszcze wcześniej... mamy przed sobą całą noc.

Myślałam...

- Nie obchodzi mnie, co myślałaś. Muszę natychmiast wyjść.

- Tak mi przykro. Kiedy cię znowu zobaczę? Jutro? Mam nawał pracy, ale odwołam wszystkie spotkania i...

- Już nigdy do ciebie nie przyjdę, Belle.

Starannie zamknąłem za sobą drzwi. Nigdy jej już nie zobaczyłem.

Gdy tylko przyjechałem do domu, wziąłem gorącą kąpiel. Potem siadłem w fotelu i spróbowałem uporządkować zebrane informacje, zresztą nader skąpe. Belle twierdziła, jeżeli można było wierzyć jej paplaninie, że nazwisko babki Ricky zaczynało się na H oraz że mieszkali razem w którymś z pustynnych miast Arizony lub Kalifornii. W porządku, profesjonalni detektywi może by coś z tego wydusili, choć nie było to takie proste. W każdym razie zapowiadały się nader długie i pracochłonne poszukiwania, a to wiązało się z wydatkami, na które nie było mnie jeszcze stać.

Czy dowiedziałem się poza tym tego czegoś ważnego?

Miles zmarł (przynajmniej według słów Belle) około roku 1972. Jeśli umarł w tutejszym okręgu, powinno wystarczyć kilka godzin, aby sprawdzić datę, i może trochę więcej czasu, aby znaleźć wyrok sądowy, dotyczący postępowania spadkowego. W ten sposób mógłbym się dowiedzieć, gdzie Ricky wtedy mieszkała. Nie miałem pojęcia, czy ktoś to zapisuje, a jeśli nawet, to i tak... poszukiwania obejmą zaledwie dwadzieścia osiem lat.

Zastanowiłem się, czy warto poszukiwać kobiety obecnie przeszło czterdziestoletniej, zapewne zamężnej i z dziećmi. Ta straszliwa ruina, w której z trudem poznałem dawną Belle Darkin, uświadomiła mi skutki upływu czasu, zmieniającego wszystkich, którzy jeszcze żyli. Nie tego się bałem, że dorosła Ricky może być inna niż ta, którą pamiętam, ale tego, czy w ogóle zechce mnie poznać. To znaczy, czy nie stanę się dla niej osobą bez twarzy, człowiekiem, którego kiedyś nazywała „wujkiem Danny” i który miał fajnego kota. Czy przypadkiem nie żyłem, choć w sposób inny niż Belle, w wymyślonej przeszłości?

A jednak postanowiłem twardo, że spróbuję jeszcze raz, nie mam nic do stracenia. Najwyżej będzie mi przysyłać raz do roku kartkę na Boże Narodzenie. Tego nie mógłby jej zabronić nawet mąż.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia, w piątek 4 maja, wybrałem się do okręgowego archiwum. Niestety, byli w trakcie przeprowadzki i doradzili wrócić za miesiąc.

Wstąpiłem więc do redakcji Timesa i kark mi zdrętwiał nad czytnikiem mikrofilmów.

Upewniłem się tylko, że jeśli Miles zmarł między 1971 a 1974, to nie stało się to w okręgu Los Angeles - jeżeli lista nekrologów była kompletna.

Naturalnie nie istniał żaden przepis, który zakazywałby mu umrzeć właśnie w okręgu LA. Umrzeć można, gdzie się chce. Tak się składa, że to nie podlega jeszcze planowaniu.

Rejestr ogóln amerykański znajdował się w Sacramento. Stwierdziwszy, że kiedyś będę musiał tam zajrzeć, podziękowałem redakcyjnemu archiwistce, skoczyłem na obiad, a dopiero potem wróciłem do firmy.

Czekały tam na mnie dwie wzmianki o telefonach i list - wszystko od Belle. Gdy przeczytałem nagłówek „Najdroższy Danny”, podarłem go na strzępy i wyrzuciłem.

Poprosiłem też telefonistkę z centrali, żeby nie łączyła żadnych rozmów z panią Schultz.

Następnie wpadłem na chwilę do działu finansowego i spytałem głównego księgowego, czy istnieje możliwość sprawdzenia danych właściciela nieaktualnych już akcji. Obiecał, że spróbuje, a ja podyktowałem mu z pamięci numery pierwotnego pakietu akcji Hired Girl, które kiedyś należały do mnie. Nie musiałem się specjalnie wysilać: zakładając firmę wypuściliśmy dokładnie tysiąc akcji, a ja zostawiłem sobie pierwszych pięćset dziesięć. Prezent zaręczynowy dla Belle stanowił początek tej pięćsetki.

Wróciłem do swego gabinetu i natknąłem się na głównego inżyniera.

- Gdzie się pan włóczy? - zapytał ostro.

- Wszędzie. Dlaczego pan pyta?

- To nie jest zadowalająca odpowiedź. Szukał pana dwukrotnie Galloway. Musiałem mu powiedzieć, że nie wiem, gdzie pan jest.

- No i co z tego? Jeśli Galloway ma interes, to wcześniej czy później gdzieś mnie znajdzie. Gdyby choć połowę czasu, który poświęca na wymyślanie tych swoich reklamowych trików, przeznaczył na normalną sprzedaż jak Bóg przykazał, od razu podskoczyłyby obroty firmy.

Galloway załazł mi już za skórę. Oficjalnie sprawował funkcję kierownika działu zbytu, ale wydawało mi się, że nie robi nic innego poza kibicowaniem agencji reklamowej, propagującej wyroby naszej firmy. Być może jestem nieobiektywny - interesuje mnie tylko konstruowanie. Inne sprawy nie mają według mnie żadnego znaczenia i traktuję je jak najzupełniej zbędną przybudówkę.

Wiedziałem, do czego potrzebuje mnie Galloway, i prawdę mówiąc, unikałem, jak mogłem, tej roboty. Ubzdurał sobie, że sfotografuje mnie w ubraniu z 1900 roku. Próbowałem mu uświadomić, że rok 1900 wyprzedzał o dwanaście lat czas urodzin mojego ojca, i że jeśli

mają mi zrobić zdjęcie, to najwyżej w ubraniu sprzed lat trzydziestu. Galloway uparł się twierdząc, że i tak nikt się nie zorientuje, więc posłałem go do diabła. Zarzucił mi, że nie mam właściwego podejścia do rzeczy.

Ludzie, którzy pracują w reklamie i starają się wykiwać wszystkich, mają na stałe zakodowane, że cała reszta społeczeństwa oprócz nich to kompletni analfabeci.

- Nie docenia pan roli reklamy - odezwał się McBee.

- Nie? Bardzo mi przykro.

- A poza tym pana sytuacja jest szczególna. Oficjalnie należy pan do mojego wydziału, ale powinien pan być w każdej chwili do dyspozycji działu zbytu. Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby pan od dzisiaj podpisywał listę obecności jak każdy pracownik firmy i prosił mnie o pozwolenie wyjścia w czasie godzin pracy. Mam nadzieję, że zastosuje się pan do tych zaleceń.

Powoli policzyłem do dziesięciu - w systemie dwójkowym - a potem zapytałem:

- Czy pan podpisuje listę?

- Co? Naturalnie, że nie. Jestem przecież głównym inżynierem.

- Rzeczywiście. Ma pan to wypisane na drzwiach gabinetu. Proszę wziąć pod uwagę fakt, że ja byłem głównym inżynierem tej firmy znacznie wcześniej, niż pan zaczął się golić.

Czy pan myśli poważnie, że będę bawił się w podpisywanie listy?

Zaczerwienił się jak indyk.

- Nie wiem. Ale w przeciwnym wypadku nie otrzyma pan pensji.

- No-no-no. Nie pan mnie zaangażował i nie pan mnie będzie zwalniał.

- Hmm... to się jeszcze okaże. Mogę przynajmniej przenieść pana tam, gdzie pana miejsce: do reklamy... Jeśli w ogóle jest tu dla pana jakieś zajęcie. - Spojrzał na mojego automatycznego kreślarza. - U mnie nie ma pan czego szukać. Nie mogę tolerować

bezproduktywnych pracowników i pozwalać na nieprawidłowe wykorzystywanie takich drogich urządzeń. Żegnam.

Wyszedłem za nim z pokoju. Do gabinetu wjechał posłaniec i położył do mojej przegródki jakąś niewielką paczkę, ale nie chciałem tracić czasu na sprawdzenie jej zawartości. Zszedłem na dół do pracowniczej kantyny, pieniąc się z wściekłości. Mac myślał tak jak mnóstwo twardogłowych biurokratów - że twórcza praca powinna być wykonywana od gwizdka do gwizdka. Nic dziwnego, że moja stara firma od paru lat nie wprowadziła żadnego novum do produkcji.

Ale co tam, nie zależy mi na układach. I tak miałem zamiar wkrótce odejść.

Po godzinie lub dwu wróciłem do pokoju i w przegródce obok paczki znalazłem kopertę oznaczoną symbolem korespondencji firmowej. Kiedy ją otwierałem, pomyślałem, że Mac zaczął już działać. Mile się rozczarowałem, gdyż była to wiadomość z działu finansowego.

Szanowny Panie Davis,

dotyczy: akcji, będących obiektem pańskiego zainteresowania.

Dywidendy z większej części pierwotnego pakietu akcji przelewano od pierwszego kwartału 1971 do drugiego kwartału 1980 na konto funduszu powierniczego, zarządzanego przez osobę o nazwisku Heinicke. W 1980 nastąpiła reorganizacja naszej firmy i zestawienie, które mam do dyspozycji, jest dosyć niejasne. Wynika z niego jednak, że odpowiednie akcje zostały sprzedane ubezpieczalni Cosmopolitan i są jej własnością do dzisiaj.

Pozostała, mniejsza część akcji, zgodnie z pańskimi informacjami, była własnością Belle D. Gentry do roku 1972. Następnie akcje te zostały przekazane spółce Sierra Acceptances, która je rozdzieliła i sprzedała za gotówkę. Jesteśmy w stanie sprawdzić dokładnie późniejsze losy każdej z nich i ich ekwiwalentu. Wymaga to jedynie czasu.

Jeżeli nasz dział może być jeszcze w czymś Panu przydatny, proszę ponownie do nas się zwrócić.

Y.E. Reuther główny księgowy

Zadzwońłem do Reuthera, podziękowałem i powiedziałem, że te informacje mi wystarczą. Teraz byłem pewien, że przepisanie akcji na Ricky nigdy nie nabrało mocy urzędowej. Ponieważ było ono w widoczny sposób sfałszowane, nie miałem wątpliwości, że Belle maczała w tym palce. Nowy właściciel mógł być podstawioną marionetką albo zgoła fikcyjną osobą - prawdopodobnie już wtedy Belle planowała wykiwać Milesa.

Po jego śmierci widocznie nie dysponowała gotówką, więc mniejszą część akcji sprzedała spółce. To jednak mnie nie interesowało. Zapomniałem zapytać Reuthera, co się stało z akcjami Milesa. Nawet gdyby okazało się, że Ricky już ich nie ma, może dowiedziałbym się czegoś o niej samej. Ponieważ jednak zbliżał się weekend (było późne piątkowe popołudnie), postanowiłem poczekać z tym do poniedziałku, zwłaszcza że ogarnęła mnie nieprzeparta chęć natychmiastowego otwarcia paczki, kiedy przeczytałem na niej adres nadawcy.

Na początku marca napisałem do Urzędu Patentowego w sprawie praw do patentów „Pracusia Paula” i „Kreślarza Ralpa”. Moje przeświadczenie, że pierwszy „Pracus Paul” to po prostu inaczej nazwany „Uniwersalny Frank”, zostało zachwiane, gdy zapoznałem się z „Kreślarzem Ralphem”. Musiałem wziąć pod uwagę, że „Pracus Paul” może być dziełem tego samego nieznanego geniusza, który skonstruował „Ralpa” prawie dokładnie według mojego pomysłu. Tę teorię potwierdzał fakt, że oba patenty zostały zarejestrowane w tym samym roku i że ich właścicielem była (przynajmniej do czasu upłynięcia ważności) ta sama firma - Alladin.

Musiałem jednak mieć co do tego pewność, i jeśli wynalazca żył - poznać go. Mógł

mnie nauczyć wielu rzeczy.

Najpierw napisałem do Urzędu Patentowego i otrzymałem zdawkową odpowiedź, że wszystkie zapisy dotyczące patentów, których okres karencji już minął, znajdują się w Narodowym Archiwum w jaskiniach Karbadu. Wysłałem do tamtejszego archiwisty list i dostałem szampową odpowiedź z wyliczeniem koniecznych opłat. Napisałem po raz trzeci, przesyłając pieniądze w gotówce („nie przyjmujemy osobistych czeków”) na fotokopie wszystkich dokumentów związanych z oboma patentami, tj. opisów, zastrzeżeń patentowych, wykresów i całej tej makulatury.

Wyglądało na to, że ta mała paczka zawiera odpowiedź.

Na wierzchu leżał patent numer 4 307 909 - podstawowy patent, chroniący prawa wynalazcy „Pracusia Paula”. Nie traciłem czasu na przeglądanie opisów i zastrzeżeń, skoncentrowałem się na rysunkach, jako że orientuję się w nich szybciej niż w opisach. Musiałem przyznać, że konstrukcja nie wyglądała na plagiat „Uniwersalnego Franka”, na pierwszy rzut oka robiła lepsze wrażenie. Miała bardziej funkcjonalne i znacznie uproszczone połączenia. Zasada działania była identyczna - ale inaczej być nie mogło. Każde urządzenie, sterowane pamięciowymi lampami Thorsena i poprzedzające „Pracusia Paula”, musiało opierać się na tych samych zasadach, z których korzystałem projektując „Uniwersalne-go Franka”.

Prawie widziałem siebie, jak pracuję nad konstrukcją takiego automatu... jakiegoś modelu „Franka” drugiej generacji. Kiedyś rzeczywiście myślałem o czymś podobnym - o „Franku”, który miałby zastosowanie nie tylko w gospodarstwie domowym.

W końcu dotarłem do dokumentów z widniejącym na nich nazwiskiem wynalazcy.

Bez cienia wątpliwości mogłem stwierdzić, że nie jest mi ono nie znane. Brzmiało - D.B.

Davis.

Wpatrywałem się w nie i zacząłem cicho pogwizdywać, fałszując niemiłosiernie. A więc Belle znowu kłamała. Chętnie bym się dowiedział, czy w potopie bełkotliwych słów, którymi mnie zaląła, tkwiło choć ziarenko prawdy. Belle była bez wątpienia patologiczną oszustką, a gdzieś kiedyś czytałem, że podobne przypadki charakteryzuje działanie według specyficznego schematu. Owi ludzie zaczynają od prawdy i przekręcają ją na wszystkie strony, zamiast wymyślać całą rzecz od początku, jak się to zdarza w prostych oszustwach. W tym momencie pojąłem, że nigdy nie istniała kradzież prototypu „Franka”, że moi współnicy sprzedali go innemu konstruktorowi, aby go ulepszył, a dopiero później zgłoszenie patentowe podpisali moim nazwiskiem.

Jeden fakt nie pasował do całej tej układanki - umowa z Mannixem rzeczywiście nie doszła do skutku, wiedziałem o tym na pewno z dokumentów archiwum firmy. Natomiast Belle twierdziła, że do umowy nie doszło, bo nie mogli pokazać gotowego wyrobu, nie mając go.

Może więc Miles schował „Franka” dla siebie i utrzymywał Belle w przekonaniu, że go ukradziono? Albo, dokładniej mówiąc, ukradziono powtórnie?...

W tym wypadku... Przestałem kombinować, ponieważ było to beznadziejne, jeszcze bardziej beznadziejne niż moje poszukiwania Ricky. Wyglądało na to, że aby zwęszyć, skąd Alladin wy dostał podstawowy patent i kto ciągnął korzyści z jego eksploatacji, musiałbym się chyba u nich zatrudnić jako archiwista. Prawdopodobnie wyniki takiej akcji i tak nie miałyby większego sensu, jako że patent stracił już dawno swą ważność. Miles spoczywał sześć stóp pod ziemią, a jeśli Belle otrzymała z tego tytułu chociażby dziesięć procent, to i tak dawno je przepuła. Zaspokoilem swoją ciekawość. Moja zawodowa godność została uratowana.

Komu może zależeć na pieniądzach, jeśli je do syta i ma gdzie spać? Mnie już było wszystko jedno.

Uspokojony, zacząłem przeglądać patent numer 4 307 910 - podstawowy dokument dotyczący „Kreślarza Ralpa”.

Rysunki złożeniowe były przepiękne.

Nie potrafiłbym tego lepiej zaprojektować; facet naprawdę miał do tego smykałkę.

Podziwiałem oszczędność połączeń i elegancję wykończenia, umiejętność zredukowania do minimum części ruchomych. Ruchome podzespoły są jak ślepa kiszka, stanowią źródło kłopotów, którego najlepiej pozbyć się jak najszybciej.

Podobało mi się również, że przy obudowie klawiatury skorzystał z istniejącej już obudowy elektrycznej maszyny do pisania i kilku patentów firmy IBM. Tak należało projektować, to było prawdziwe konstruowanie.

Musiałem się zaraz dowiedzieć, kim jest ten facet z głową na karku, sięgnąłem więc po część opisową patentu.

Autorem był D.B. Davis.

Sporo czasu upłynęło, zanim byłem w stanie zadzwonić do doktora Albrechta.

Przedstawiłem się, bo ciągle nie miałem jeszcze zamontowanego ekranu.

- Poznałem pana po głosie - zapewnił. - Witam, chłopcze. Jak leci w nowej pracy?

- Całkiem nieźle. Nie zaproponowali mi jeszcze przystąpienia do spółki.

- Proszę dać im trochę czasu. Poza tym wszystko w porządku? Nie szykuje się pan do nowego snu?

- Jasne! Gdybym wiedział, jak teraz jest wspaniale, położyłbym się do hibernatora znacznie wcześniej. Ale za nic w świecie nie wróciłbym do moich czasów.

- No, no, proszę nie przesadzać. Pamiętam tamten rok całkiem nieźle. Jako mały chłopak mieszkałem na farmie w Nebrasce, chodziłem na polowania i na ryby. Spędziłem tam kilka wspaniałych lat. Lepszych niż obecne.

- Hm, gusta są różne. Mnie odpowiada dwudziesty pierwszy wiek. Ale, panie

doktorze, nie zadzwoniłem do pana, żeby zabawiać się filozoficznymi dywagacjami; mam mały problem.

- Słucham. Dobrze, że mały, zazwyczaj ludzie miewają wielkie.

- Doktorze, czy to możliwe, żeby hibernacja powodowała utratę pamięci?

Zanim odpowiedział, zastanowił się przez moment.

- Prawdopodobnie tak. Ja sam nie spotkałem się jeszcze z takim przypadkiem. To znaczy, zawsze był związek z innymi przyczynami.

- Co właściwie powoduje utratę pamięci?

- Całe mnóstwo czynników. Najczęstszą przyczyną jest podświadome życzenie samego pacjenta. Zapomina o pewnych faktach z przeszłości albo przetwarza je zgodnie z własnymi pragnieniami, gdyż realna rzeczywistość jest dlań nie do zniesienia. Tak wygląda klasyczny przypadek funkcjonalnej utraty pamięci. Nie można zapominać o starym dobrym uderzeniu w głowę - amnezja jest wtedy wynikiem traumy. Spotkałem już przypadki zasugerowania utraty pamięci... pod wpływem narkotyków albo hipnozy. Co się dzieje, przyjacielu? Nie może pan znaleźć książeczki czekowej?

- Nie, nie o to chodzi. O ile wiem, finansowo stoję całkiem nieźle. Nie mogę jednak logicznie powiązać kilku spraw, które zdarzyły się jeszcze przed hibernacją... i z tym mam problemy.

- Hmm... czy należy brać pod uwagę którąś z powyższych przyczyn?

- Tak - odpowiedziałem po chwili namysłu - właściwie to wszystkie z wyjątkiem uderzenia w głowę... choć i tego nie wykluczam.

- Nie powiedziałem jeszcze - dodał sucho - o najczęstszej obecnie przyczynie utraty pamięci - lukach spowodowanych nadużywaniem alkoholu. Słuchaj, synku, czemu nie

przyjdiesz do mnie, żebyśmy wszystko dokładnie omówili? Jeżeli nie wpadnę na to, co cię gnębi - nie jestem przecież psychiatrą - mogę polecić cię jakiemuś hipnoanalitykowi, a ten wyłuska z ciebie nawet to, dlaczego czwartego lutego, będąc uczniem drugiej klasy, spóźniłeś się do szkoły. Mam jednak wrażenie, że to trochę kosztuje, więc dlaczego nie spróbować najpierw u mnie?

- Niech to diabli wezmą, panie doktorze - usprawiedliwiałem się - miał pan ze mną już tyle kłopotów... a poza tym ma pan staroświeckie poglądy na temat pieniędzy.

- Synku, ja zawsze troszczę się o swoich podopiecznych, byłych czy obecnych... Jesteście moją jedyną rodziną.

Obiecałem, że gdybym sam nie zdołał uporać się z tym problemem, zadzwonię w poniedziałek. Musiałem całą sprawę dokładnie przemyśleć.

Większość światel w budynku już zgasła. Do gabinetu zajrzała „Dziewczyna na posługi” (typ sprzątaczk biurowej), spostrzegła, że pomieszczenie jest jeszcze zajęte, i cichutko wycofała się na korytarz. Zostałem sam.

Po jakimś czasie do pokoju wsadził głowę Chuck Freudenberg i zdziwił się:

- Myślałem, że dawno wyszedłeś. Nie śpij w biurze. W domu jest znacznie milej. Podniosłem ciężko głowę.

- Chuck, mam genialny pomysł. Kupimy beczkę piwa i dwa litrowe kufle. Zamyślił się głęboko.

- Hmm... dzisiaj jest piątek, a w poniedziałek mam zawsze małego kaca - po tym poznaję, jaki jest dzień...

- Przegłosowano i wykonano. Zaczekaj chwilę, wrzucę jeszcze do teczek kilka papierów.

Strzeliliśmy na początek kilka piw, potem zamówiliśmy kolację, potem zapiliśmy ją w

lokalu z dobrą muzyką... a jeszcze potem przenieśliśmy się do lokalu bez muzyki, ale za to z wygłuszonymi boksami, gdzie nikt wam nie przeszkadza, jeżeli co godzinę zamówicie coś do picia, i przeszliśmy do właściwej rozmowy. Pokazałem Chuckowi dokumenty.

Przejrzał najpierw dokumentację „Pracusia Paula”.

- No, to faktycznie niezła robótka, Dan. Jestem z ciebie dumny, kolego. Poproszę o autograf.

- Spójrz lepiej na to - podałem mu komplet rysunków automatu kreślarskiego.

- W niektórych miejscach ten jest nawet lepszy - spokojnie oznajmił Chuck. - Dan, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że miałeś prawdopodobnie większy wpływ na stan dzisiejszej techniki niż w swoim czasie Edison? Dociera to do ciebie, bracie?

- Przestań chrzanić, Chuck, to wcale nie jest takie proste. - Wskazałem plik fotografii.

- W porządku, jednego mam na sumieniu. Ale do tego drugiego nie mogę się przyznać w żadnym wypadku. Nie przyłożyłem do tego ręki... chyba że moje życie przed hibernacją obfitowało w zdarzenia, których teraz nie mogę sobie za Boga przypomnieć.

- Tę kwestię powtarzasz już od dwudziestu minut. Nie sądzę, żebyś miał jakieś nie zamknięte obwody. Nie jesteś bardziej stuknięty niż inni...

Uderzyłem pięścią w stół, aż półlitrowe szklanki podskoczyły.

- Muszę się tego dowiedzieć!

- Dobra, dobra, uspokój się. Co masz zamiar zrobić z tym fantem?

- Co? - Zamyśliłem się. - Wynajmę psychiatrę, żeby wszystko ze mnie wyciągnął.

- Wiedziałem, że do tego zmierzasz - westchnął Chuck. - Zastanów się, Dan. Założmy, że zapłacisz temu mechanikowi od mózgu furę pieniędzy, a on ci powie: „Panie Davis, niczego panu nie brakuje, pamięć ma pan doskonałą i wszystko klapuje”. I co dalej?

- Niemożliwe!

- To samo powiedzieli Kolumbowi. Nie wspomniałeś ani słowem o najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniu.

- To znaczy, o jakim?

Nie odpowiedział, zawołał kelnera i polecił mu przynieść grubą książkę telefoniczną okręgu LA.

- Co ty kombinujesz? - zapytałem z przekąsem. - Chcesz zadzwonić po kilku chłopców w białych mundurkach?

- Jeszcze nie w tej chwili. - Przerzuciał strony olbrzymiej księgi, aż wreszcie zatrzymał się na jednej i podsunął mi ją pod nos. - Spójrz na to, Dan.

Trzymał palec przy nazwisku „Davis”. Były tam całe kolumny Davisów. Tam, gdzie miał palec, figurował tuzin szczególnych przedstawicieli tego nazwiska - wszyscy mieli inicjały D.B., od Dabneya do Duncana. Danielów B. Davisów wykryto tylko trzech. Jednym z nich byłem ja.

- I to tylko z niecałych siedmiu milionów - dodał. - Chciałbyś spróbować szczęścia z pozostałymi dwustu pięćdziesięcioma?

- To nie jest żaden dowód - broniłem się słabo.

- Nie - zgodził się - to naturalnie niczego nie dowodzi. Przyznaję, że musiałby to być cholerny zbieg okoliczności, gdyby dwaj konstruktorzy o tak specyficznym talencie przypadkowo pracowali nad tym samym w tym samym czasie. Poza tym przypadkowo mając to samo nazwisko i inicjały imion. Rachunek prawdopodobieństwa określiłby nam raczej stopień nieprawdopodobieństwa takiego zdarzenia. Jednak ludzie - zwłaszcza tacy jak ty, którzy nie powinni o tym zapominać - nie pamiętają, że choć rachunek prawdopodobieństwa podkreśla znikomość szans na takie zbiegi okoliczności, to równie precyzyjnie udowadnia, że są większe od zera. A to oznacza, iż czasami trafiają się takie cuda... To wyjaśnienie podoba

mi się bardziej niż stwierdzenie, że mojemu kumplowi od piwa odbiła szajba. Dobrych kumpli od piwa trudno znaleźć.

- Jak sądzisz, co mam robić dalej?

- Po pierwsze, nie marnuj forsy i czasu na psychiatrę, dopóki nie sprawdzisz drugiej możliwości, to znaczy nie poznasz pierwszego imienia tego D.B. Davisa, który wystąpił o patent. Na pewno istnieje jakiś prosty sposób, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie jest to Dexter albo nawet Dorothy! Zachowaj zimną krew, jeśli będzie to „Daniel”, bo to „B” może oznaczać na przykład „Berzowski”. A ta trzecia rzecz, od której zresztą powinieneś zacząć, to zapomnieć o wszystkim i zamówić jeszcze jedną kolejkę.

Zrobiłem, jak chciałem, i przeszliśmy do innych tematów, przede wszystkim spraw płci pięknej. Chuck wyznawał teorię, że kobiety są spokrewnione z maszynami - ich zachowania również nie można logicznie przewidzieć. Próbował udowodnić swoją tezę, rysując rozlanym piwem esy-floresy na stole.

W pewnym momencie dyskusji oznajmiłem stanowczo:

- Gdyby naprawdę istniały podróże w czasie, wiedziałbym już, co robić.

- Co? O czym ty mówisz?

- Ciągle o tym samym, Chuck... o tych pieprzonych kłopotach. Pomyśl... znalazłem się tutaj, w dwudziestym pierwszym wieku, odbywając właściwie podróż w czasie, choć raczej to on biegł, gdy ja leżałem w lodówce. Oczywiście miałem więcej szczęścia niż rozumu, ale w tej chwili nie to jest ważne. Wszystkie problemy, które zatruwają mi życie, mają korzenie w siedemdziesiątych latach zeszłego wieku... Powoli zaczynam dochodzić do przekonania, że jedyny sposób na ich rozwiązanie to po prostu wehikuł czasu. Trzeba się cofnąć w przeszłość, żeby nie dopuścić do błędów. Ale taka maszynka nie istnieje...

Chuck chytrze spoglądał na mnie.

- Skądże znowu!

- Co?!

W jednej chwili wytrzeźwiałem.

- Nie powinienem tego mówić.

- Pewnie, że nie - przytaknąłem - ale już się stało. Zechciej teraz łaskawie wyjaśnić, co przez to rozumiesz, zanim wyleję ci te pół litra na głowę.

- Zapomnij o tym, Dan. Wymknęło mi się niechcący.

- Mów!

- Niestety nie mogę. - Rozejrzał się wokół, nikogo na horyzoncie nie było. - To jest tajne.

- Maszyna czasu jest tajna? Rany boskie, dlaczego?!

- Do jasnej cholery, czyś ty nigdy nie pracował dla rządu? Gdyby mogli, utailiby i seks. Mogą to zrobić bez żadnych powodów: po prostu mieli taką zachciankę. Maszyna jest tajna, mnie zaś zobowiązuje przysięga, zatem nie próbuj tego ze mnie wyciągnąć.

- Ale... Chuck, nie rób takich ceregieli, wiesz, jakie to dla mnie ważne. Strasznie ważne. - Kiedy nie odpowiedział i próbował trzymać fason, mówiłem dalej: - Możesz mi zaufać. Cholera, kiedyś miałem zweryfikowaną kategorię „Q”. Nie odebrali mi jej do dzisiaj. Nie pracuję dla rządu i tyle.

- Co to jest kategoria „Q”?

Wyjaśniłem mu w kilku słowach i patrzyłem, jak zareaguje. Po chwili przytaknął.

- Masz na myśli status „alfa”. Przyjacielu, musiałeś być niezłą fiszą. Ja dopracowałem się tylko „bety”.

- Dlaczego więc nie możesz mi zdradzić tej tajemnicy?

- Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Bez względu na posiadany status po prostu nie

powinieneś jej znać.

- JA nie powinienem?. To w takim razie kto?... Chuck trwał w swoim uporze, więc w końcu zniechęcony warknąłem:

- Myślę, że nic takiego w ogóle nie istnieje, a całą sprawę wyssałeś z palca. Popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

- Danny.

- O co chodzi?

- Powiem ci, ponieważ nikomu tym nie zaszkodzę. Poza tym chcę, abyś sobie uświadomił, że to nie rozwiąże twojego problemu. Podróże w czasie są realne, ale zupełnie niepraktyczne. Nie można ich do niczego wykorzystać.

- Dlaczego?

- Pozwól mi dokończyć. Nigdy nie dopracowano szczegółów takiej podróży i nie istnieje nawet teoretyczna możliwość, że kiedyś w przyszłości to nastąpi. Ten wynalazek nie ma żadnej wartości... nawet dla celów badawczych. Stanowi uboczny efekt zerowej grawitacji

- dlatego też go utajnili.

- Przecież, do cholery, zerowa grawitacja nie jest już tajemnicą.

- No i co z tego? Gdyby na przemieszczeniu w czasie można było zarobić, trąbiliby o tym na rogu każdej ulicy. A tak musimy trzymać buzie na kłódkę.

Mam wątpliwości, czy potrafiłem utrzymać język na wodzy, ale wróćmy do opowieści Chucka. Kiedy był na ostatnim roku automatyki Uniwersytetu Kolorado - to znaczy w Boulder - dorabiał sobie jako technik w wielkim laboratorium o specjalności kriogenicznej. Mniej więcej w tym czasie uniwersytet otrzymał ogromne zlecenie z Ministerstwa Obrony, mające ścisły związek z teorią pola opracowaną przez Edynburg. Daleko za miastem, w górach, wybudowano zupełnie nową placówkę. Przerzucono tam Chucka, który został

przydzielony profesorowi Hubertowi Twitchellowi - doktorowi nauk fizycznych, będącemu wówczas o krok od Nagrody Nobla, a obecnie wściektemu na cały świat, bo nie otrzymał upragnionych laurów. Twitch sądził, że gdyby udało mu się ustawić polaryzację w innej osi, mógłby pole grawitacyjne nie tylko wyrównać, ale zupełnie obrócić. Eksperyment jednak się nie udał. Wsadził więc wszystkie dane do komputera, a kiedy otrzymał wynik, oczy mało nie wyskoczyły mu z orbit. Naturalnie Chuckowi nigdy nie zdradził tych rewelacji. Profesor poprosił go tylko, żeby oznaczył dwie srebrne jednodolarówki, następnie włożył je do komory doświadczalnej - wtedy jeszcze używali metalowych pieniędzy. Wcisnął solenoidalny przycisk i dolary znikły.

To oczywiście o niczym jeszcze nie świadczyło, mógł to być zwykły trik, i gdyby wyciągnął je z nosa jakiemuś chłopakowi, który odważyłby się przyjść do laboratorium, nikt by się nie dziwił.

Tydzień później Chuck znalazł jedną z tych monet. Tylko jedną. Ale jeszcze wcześniej, któregoś popołudnia, gdy sprzątał laboratorium, w komorze pojawiła się świnka morska. Nie należała do wyposażenia i nigdy przedtem jej tam nie było. Wracając do domu wstąpił do biologów, którzy po skontrolowaniu aktualnego stanu klatek stwierdzili, że wszystkie zwierzęta są na swoim miejscu. Zabrali ją więc do domu.

Kiedy wrócił ten srebrny dolar, Twitch tak się przejął, że przestał się golić. Przy następnej próbie użył dwóch świnek morskich z laboratorium biologicznego. Chuckowi z czymś się kojarzyła, ale widział ją zbyt krótko, ponieważ Twitch przycisnął ten swój guzik i obie świnki znikły.

Jedna z nich wróciła mniej więcej po dziesięciu dniach. Twitch nie miał już wątpliwości, że przesyłanie małych przedmiotów w czasie jest realne. Wtedy wkroczył na scenę miejscowy wysoki dygnitarz z Ministerstwa Obrony - typ gabinetowego pełnomocnika

o przeszłości profesora botaniki. Klasyczny przykład wojskowego kretyna... Twitch nie taił, że uważa go za kompletnego idiotę. Ten pułkownik zmusił ich do złożenia przysięgi, że zachowają tajemnicę aż po grób - co było wymaganiem o niebo ostrzejszym od warunków naszej „statutowej” przysięgi. Widocznie wydawało mu się, że jest na tropie największego wynalazku wiedzy wojskowej od czasu, gdy Cezar wymyślił papier przebitkowy. Według niego wystarczyło cofnąć w czasie bądź wysłać w przyszłość odpowiednią liczbę dywizji, by rozstrzygnąć każdą bitwę, nawet tę, która miała być przegrana. Nieprzyjaciel nie byłby w stanie pojąć, o co chodzi. Oczywiście, ten pułkownik był po prostu i w sposób doskonały szalony... i nigdy nie doczekał się generalskich szlifów, na których mu tak zależało. Skutek jego poczynań był jednak niewesoły. Nalepka „ściśle tajne”, przyklejona na sprawie, utrzymała się do dzisiaj i nigdy nie zezwolono na podanie tych faktów do publicznej wiadomości.

- Wydaje mi się, że chyba dałoby się w jakiś sposób wykorzystać w wojsku ten wynalazek - zaproponowałem. - Platforma przesyłowa musiałaby być odpowiednio większa, żeby pomieścić całą dywizję i... o cholera, widzę już ten haczyk. Wszystko powinno być zdublowane. Dwie dywizje -jedna przemieściłaby się w przyszłość, a druga cofnęła w czasie. Jedna nie przydałaby się do niczego, ale ta druga znalazłaby się na odpowiednim miejscu.

- Masz rację, ale bynajmniej nie z tych powodów. Nie musisz używać dwu dywizji, dwu świnek morskich bądź jakiegokolwiek pary identycznych rzeczy. Wystarczy, żebyś zrównoważył masę. Mógłbyś w jedną stronę wysłać dywizję wojska, a w drugą kupę kamieni o identycznym ciężarze. Zasada akcji i reakcji, trzecie prawo dynamiki Newtona. - Zaczął kreślić w rozlanym piwie jakieś wzory. - MV równa się mv ... takie jest podstawowe prawo dla rakiet. Odpowiedni wzór dla podróży w czasie wygląda podobnie - MT równa się mt .

- Ciągle jeszcze nie rozumiem, w czym tkwi haczyk. Kamienie są raczej tanie.

- Rusz trochę głową, Danny. Rakiety możesz całkiem dokładnie skierować na konkretny cel. A powiedz mi teraz, jakim kierunkiem jest miniony tydzień? Pokaż mi.

Spróbuj. Nie masz najmniejszego pojęcia, która z mas przemieści się w czasie do przodu, a która do tyłu. To urządzenie działa w przestrzeni całkowicie anizotropowej.

Uszło ze mnie powietrze. Zamiana świeżych elitarnych jednostek na kupę złomu dla każdego generała byłaby przykrym zaskoczeniem. Nic dziwnego, że były profesorek nigdy nie dosłużył się szlifów. Chuck mówił dalej:

- Postępujesz z tymi dwiema masami jak z okładkami kondensatora, ładujesz je do jednakowego potencjału czasowego, a potem gwałtownie rozładowujesz, przy czym krzywa tłumienia temporalnego przechodzi prawie od razu w prostą równoległą do osi czasu. Bum - jedna z nich mierzy prościutko w kierunku przyszłego tygodnia, a druga jest już dawno w przeszłości. Niestety nigdy nie wiadomo, która z nich jest która. Ale to jeszcze nic. Najgorsze jest to, że nie możesz wrócić.

- Jak to? A komuś na tym zależy?

- Jasne, pomyśl, jaki sens dla badań ma fakt, iż nie możesz wrócić. A jakie to ma w dodatku znaczenie z handlowego punktu widzenia! Czy trafisz w przeszłość, czy w przyszłość, i tak nie możesz skorzystać ze swoich pieniędzy, a łączności ze swoim czasem nie nawiązesz, choćbyś nie wiem jak się starał. Nie masz po temu technicznych możliwości - wierz mi że do takich skoków potrzeba i odpowiednich Urzędzeń, i odpowiedniej ilości energii. My czerpaliśmy energię bezpośrednio z reaktora atomowego, co podnosi niewspółmiernie koszty - następny minus.

- Mógłbyś wrócić dzięki hibernacji - przypominałem mu.

- Tak? Owszem, gdybyś wracał z przeszłości. Ale tego nigdy nie byłbyś

stuprocentowo pewny, z równym prawdopodobieństwem możesz zniknąć w przyszłości.

Zresztą po co cofać się do momentu, kiedy hibernacja stała się rzeczywistością? To zaledwie trzydzieści parę lat. Po co? Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć na przykład o roku 1980, zapytaj kogoś po czterdzieście albo przejrzyj stare gazety. Gdyby dzięki temu wynalazkowi można było sfotografować Ukrzyżowanie... ale nie można. Nie tylko dlatego, że powrót jest niemożliwy, ale przede wszystkim z tego powodu, że na całej kuli ziemskiej brakuje energii, która jest potrzebna do cofnięcia się o dwa tysiąclecia. Energia zachowuje się w tym wypadku jak światło, maleje z kwadratem przesunięcia w czasie.

- Jednakowoż przypuszczam, że niektórzy ludzie spróbowaliby tylko z ciekawości.

Nie znaleźli się amatorzy takiej przygody?

Chuck znowu rozejrzał się podejrzliwie wokół.

- Już ci i tak za dużo powiedziałem.

- Naprawdę nie zaszkodzi, jeśli powiesz więcej.

- Okay, sądzę, że przymierzyli się do takiej wycieczki trzej ludzie. Jednym z nich był nauczyciel akademicki. Siedziałem właśnie w laboratorium, kiedy weszli tam obaj. Twitch i ten chłopak, Leo Vincent. Twitch zwolnił mnie do domu, ale ja kręciłem się w pobliżu. Za chwilę Twitch wyszedł sam. I o ile wiem, Vincent do tej pory nie wrócił, przynajmniej nigdy nie widziałem go podczas zajęć.

- A pozostała dwójka?

- Byli to studenci Twitcha. Do pomieszczenia, gdzie stała komora, weszli wszyscy razem, a wyszedł znowu tylko Twitch. Jednego z nich zauważyłem następnego dnia na wykładzie, natomiast drugi jakby się pod ziemię zapadł. Przez cały tydzień go nie było. To wszystko, co wiem.

- Ciebie nigdy nie kusiło spróbować?

- Mnie? Czy wyglądam na półgłówka? Twitch naturalnie zaoferował mi, dla dobra

nauki, rolę przymusowego ochotnika, ale się nie zgodziłem. Zaproponowałem mu odwrotną sytuację i obiecałem, że z radością wcisnę ten guzik dla niego. Propozycji nie przyjął.

- Ja bym poszedł na takie ryzyko. Sprawdziłbym, na czym to wszystko polega... i przespałbym tych trzydzieści lat po raz drugi. Opłaciłoby się.

Chuck westchnął głęboko.

- Powinieneś już przestać, kolego, jesteś chyba pijany. Zupełnie mnie nie słuchałeś. Po pierwsze... - zaczął rysować na stole linie - nie masz żadnej pewności, że trafisz z powrotem.

- Mogę spróbować. Podoba mi się tutaj znacznie bardziej niż w przeszłości, może za trzydzieści lat będzie mi się jeszcze bardziej podobało.

- W porządku, wleź więc teraz do hibernatora, to bezpieczniejsze wyjście. Albo po prostu siądź na tyłku i poczekaj, aż ta świetlana przyszłość przyjdzie sama... przynajmniej ja tak mam zamiar zrobić. I nie przerywaj, kiedy mówię. Po drugie, gdyby nawet udało ci się z „kierunkiem”, mógłbyś rok 1970 minąć o ładnych parę latek. O ile wiem, Twitch strzelał na ślepo, bez żadnej rachuby. Zastrzegam się, że byłem tylko pomocnikiem. Po trzecie, laboratorium zbudowano w lesie, tuż przed rokiem 1980. Wyobraź sobie, że pojawiaasz się dziesięć lat wcześniej w środku zagajnika. To by była piękna eksplozja - prawie jak bomba kobaltowa, prawda? Tylko że ty już byś tego nie zobaczył.

- Ale... prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego człowiek powinien pojawić się gdzieś w pobliżu laboratorium. A dlaczegoż by nie w jakimś punkcie w kosmosie, odpowiadającym miejscu, gdzie było laboratorium... to znaczy gdzie był... chcę wiedzieć...

- Nie mów w ogóle nic. Wylądujesz dokładnie w tym punkcie kuli ziemskiej, gdzie byłeś przedtem. I nie troszcz się o matematykę, tylko przypomnij sobie, gdzie znalazłem świnkę morską. Gdybyś wrócił w przeszłość, kiedy jeszcze nie wybudowano laboratorium, mógłbyś skończyć wewnątrz jakiegoś drzewa. Po czwarte, w jaki sposób dostałbyś się z

powrotem w dwudziesty pierwszy wiek, nawet po szczęśliwym rozwiązaniu poprzednich trzech problemów?

- Jak to w jaki sposób? Identycznie jak za pierwszym razem. Dlaczego nie miałbym zrobić tego jeszcze raz?

- No dobrze. A czego użyłbyś zamiast pieniędzy?

Otworzyłem usta i od razu je zamknąłem. Tak, w tej sprawie nie mogłem liczyć na szczęście - poczułem się trochę głupio. Kiedyś dysponowałem znacznymi sumami, ale to było dawno. Nie mogłem zabrać ze sobą oszczędności (notabene niewystarczających) ani żadnej będącej dzisiaj w obiegu gotówki. Nawet gdybym włamał się do banku (nie mając pojęcia o fachu gangstera, a zwłaszcza predyspozycji) i zrabował milion, to i tak nic by mi z tego nie przyszło w 1970 roku. Skończyłbym za kratkami, oskarżony o fałszowanie pieniędzy. Przez trzydzieści lat zmieniła się forma banknotów, kolory, symbolika, nie mówiąc już o numerach serii czy datach.

- Musiałbym je zaoszczędzić.

- To mi się podoba. Zanim byś skończył ciułanie, znalazłbyś się z powrotem tutaj... tylko że bez włosów i zębów.

- Dobrze, dobrze. Wróćmy do przedostatniego punktu. Czy w miejscu, gdzie zbudowano laboratorium, doszło kiedykolwiek do wielkiego wybuchu?

- Chyba nie.

- Czyli nie skończyłbym w drzewie, ponieważ w nim nie skończyłem. Śledzisz mój tok rozumowania?

- Daleko je wyprzedzam. Nie zbijesz mnie z tropu, nie ze mną takie numery.

Kombinowałem nad teorią czasu prawdopodobnie więcej niż ty. Podchodzisz do zagadnienia z niewłaściwej strony, od tyłu. Do wybuchu nie doszło i ty nie skończysz w drzewie...

ponieważ nigdy nie zrobisz tego skoku. Nadażasz za mną?

- A gdybym jednak zrobił?

- Nie zrobisz. Ze względu na punkt piąty. Jest najważniejszy, więc nadstaw porządkie

uszu. Nie zrobisz takiego skoku, ponieważ cała ta sprawa jest tajna. Nie pozwolę ci na to.

Lepiej o tym zapomnij, Danny. Po tym naszym wieczorze jutro rano mogę mieć wizytę z FBI.

Proponuję jeszcze jedną kolejkę, a jeśli do poniedziałku nie przymkną mnie albo jedni, albo

drudzy, zadzwonię do głównego inżyniera z Alladina i sprawdzę imię tego D.B. Davisa.

Dowiem się też, kim był, bądź kim jest. Może jeszcze tam pracuje, a jeśli tak, to umówię go z

tobą na obiad. Niezależnie od tego chciałbym zapoznać cię ze Springerem - głównym

inżynierem w Alladinie... naprawdę fajny gość. Poza tym postaraj się zapomnieć o tym

pomyśle z wehikułem czasu. Z powrotu do przeszłości nic nie będzie. Nie powinienem o tym

w ogóle wspominać... Jeżeli kiedykolwiek piśniesz choć słowo o dzisiejszej rozmowie,

spojrzę ci prosto w oczy i wyprę się wszystkiego. Niewykluczone, że mój status „beta” będzie

mi jeszcze potrzebny.

Na pożegnanie wypiliśmy po jednym piwie. Kiedy dotarłem do domu, niezwłocznie

wlazłem pod prysznic, a potem odwiedziłem pewne miłe pomieszczenie. Uwolniony od

części wypitego piwa i z trzeźwą głową, doszedłem do przykrego wniosku, że Chuck miał

rację. Podróż w czasie była dla moich problemów rozwiązaniem równie praktycznym jak

poderżnięcie gardła w celu pozbycia się bólu głowy.

I co ważniejsze - informacje o moim „bliźniaku” otrzymam za pośrednictwem pana

Springera - bez wysiłku, bez ryzyka i za darmo. A swoją drogą stulecie, w którym obecnie

żyłem, wydawało mi się całkiem niczego sobie...

Już w łóżku przypominałem sobie o obowiązku codziennej lektury Timesa. Teraz

nigdy nie wyrzucałem gazet, dopóki nie spojrzałem przynajmniej na tytuły i nie przejrzałem

kroniki towarzyskiej. To drugie robiłem nie ze względu na ogłoszenia o narodzinach, zgonach i ślubach w wielkim świecie, ale dlatego że miałem nikłą nadzieję, iż któregoś dnia zobaczę w rubryce „zwolnieni” nazwisko kogoś znajomego. Chciałbym go odwiedzić, porozmawiać i pomóc na początku nowej drogi. Rzecz jasna, prawdo– podobieństwo było tu raczej znikome, ale nie rezygnowałem, i dopiero przeczytanie tej rubryki dawało mi poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

W gazetach nie znalazłem nic specjalnie ciekawego z wyjątkiem wiadomości o zaginionej gdzieś między Ziemią a Marsem rakiecie - dokładniej mówiąc, o utracie wszelkiego kontaktu ze statkiem. Wśród świeżo „wskrzeszonych” nie znalazłem żadnego ze starych przyjaciół. Staralem się zasnąć jak najszybciej.

Około trzeciej nad ranem obudziłem się nagle zupełnie rześki. Miałem dziwny sen.

Nie była to typowa nocna zmora, choć niewiele brakowało - otóż śniłem, że przegapiłem w kronice towarzyskiej wiadomość o małej Ricky.

Wiedziałem, że to tylko nocne majaki. Jednak kamień spadł mi z serca dopiero wtedy, gdy stwierdziłem, że sterta gazet z całego tygodnia leży na swoim miejscu... czasami wyrzucałem je od razu.

Wciągnąłem parę kilogramów makulatury z powrotem na łóżko i zacząłem raz jeszcze starannie przeglądać kronikę. Nie opuszczałem niczego - urodzin, zgonów, ślubów, rozwodów, adopcji, zmiany nazwiska, przyjęć i zwolnień. Nazwisko Ricky mogło mi utknąć, gdyż dokładnie przeglądałem jedynie wiadomości o hibernowanych. Nie mogłem wykluczyć, że wzmianka dotyczyła jej ślubu, urodzin dziecka lub innej uroczystości.

To, co prawdopodobnie postawiło mnie na nogi w środku nocy, o mały włos nie uszłoby uwagi i za drugim razem. Times z 2 maja 2001 podawał w rubryce „zwolnieni ze schroniska Riverside” nazwisko... F.V. Heinicke.

- F.V. Heinicke!

Heinicke - tak nazywała się babka Ricky... wiedziałem o tym, byłem tego pewien! Nie miałem pojęcia, skąd ta pewność, ale czułem, że tkwiło to gdzieś zagrzebane w mojej podświadomości i czekało tylko, żeby się z niej wygrzebać. Zapewne kiedyś widziałem tę kobietę, może opowiadali mi o niej Ricky albo Miles, niewykluczone, że mogłem ją spotkać w Sandii. Nieważne. Kiedy w Timesie zobaczyłem to nazwisko, zakodowana informacja wypłynęła na powierzchnię.

Musiałem się przekonać, czy F.V. Heinicke to istotnie Frederica Virginia Heinicke.

Drżałem ze zdenerwowania, oczekiwania i lęku. Chociaż już dawno przyzwyczałem się do wkładania spodni z naelektryzowanymi szwami, tym razem bezskutecznie próbowałem zapiąć je na zamek błyskawiczny. Wreszcie po kilku minutach znalazłem się w holu, gdzie stała budka telefoniczna. Ledwie stanąłem przed automatem, musiałem wrócić do pokoju, gdyż okazało się, że z tego wariackiego pośpiechu zapomniałem karty telefonicznej.

Ręce drżały mi tak, że miałem kłopoty z wsunięciem kartonika w szczelinę. W końcu udało się i wykręciłem numer centrali miejskiej.

- Z kim mam pana połączyć?

- Hm, poprosiłbym schronisko Riverside, w obwodzie o tej samej nazwie.

- Szukam... jeszcze chwila... linia jest wolna. Już łączę. Ekran rozjaśnił się i zobaczyłem jakiegoś mężczyznę.

- Ma pan chyba złą fazę. Schronisko Riverside o tej porze jest zamknięte.

- Proszę się nie rozłączać. Jeżeli mówię ze schroniskiem Riverside, to właśnie od was chciałem się czegoś dowiedzieć.

- No dobrze, o co chodzi o tak późnej porze?

- Macie u siebie klientkę, F.V. Heinicke, niedawno przebudzoną. Chciałbym

wiedzieć... Pokręcił głową.

- Nie podajemy telefonicznie informacji o pacjentach. A tym bardziej w środku nocy.

Będzie lepiej, jak zadzwoni pan po dziesiątej. Albo niech pan przyjedzie osobiście.

- Przyjadę, oczywiście, że przyjadę. Muszę jednak wiedzieć szalenie ważną rzecz. Co oznaczają te inicjały „F.V.”?

- Przecież już panu powiedziałem...

- Proszę mnie wysłuchać! Nie zamierzam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ja także jestem „śpiochem”, z Sawtelle, niedawno mnie obudzono. Dlatego doskonale zdaję sobie sprawę, co można, a czego nie. Podaliście inicjały imion klientki w gazecie. Obaj wiemy, że schronisko posiada pełne dane, a skróty w dzienniku wynikają tylko z chęci zaoszczędzenia miejsca na szpalcie. Mam rację?

Zamyślił się przez moment.

- Chyba tak.

- Co panu więc szkodzi podać mi pełne brzmienie imion? Chwila namysłu trwała jeszcze dłużej.

- Nic mi nie szkodzi i jeżeli to jest wszystko, czego pan chce, proszę zaczekać przy aparacie.

Zniknął z ekranu na tak długą chwilę, że wydawała mi się co najmniej godziną.

Wreszcie wrócił z karteczką w ręce.

- Mam tu słabe światło. - Spojrzał na świstek. - Frances! Nie, Frederica! Frederica Virginia! Jakby piorun strzelił we mnie. O mało nie zemdlałem.

- Dobrze się pan czuje?

- Wszystko w porządku. Dziękuję panu z całego serca. Tak, czuję się doskonale.

- Hmm, mam nadzieję, że nadal będzie się pan doskonale czuł, kiedy powiem panu

coś jeszcze. Być może zaoszczędzi to panu czasu. Ona już stąd odjechała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mógłbym zaoszczędzić czasu, gdybym wziął taksówkę i poleciał bezpośrednio do Riverside, ale nie miałem przy sobie dość gotówki. Mieszkałem w zachodniej części Hollywoodu. Najbliższy czynny w nocy bank znajdował się w centrum, obok głównej obwodnicy metra. Dojazd do banku metrem zabrał mi trochę czasu i uświadomił zalety systemu uniwersalnych książeczek czekowych oznakowanych indywidualnym kodem radioaktywnym, umożliwiającym podjęcie pieniędzy we wszystkich, bardzo licznych, automatach bankowych.

Gdy dojeżdżałem ekspresem do Riverside, zaczęło świtać. W schronisku nie znalazłem nikogo oprócz technika, Hanka Larrigana, z którym rozmawiałem przez telefon, i jego żony Nancy, pracującej jako nocna pielęgniarka. Obawiam się, że nie wywarłem na nich najlepszego wrażenia: dwudziestoczterogodzinny zarost, zaczerwienione oczy obwiedzione sińcami... musiałem jeszcze trochę cuchnąć piwem i nie miałem na podorędziu żadnej przekonywującej historyjki.

Mimo to pani Larrigan przyjęła mnie bardzo serdecznie. Wyciągnęła z rejestru fotografię i zapytała z przejęciem:

- Czy to jest pana siostrzenica, panie Davis?

To była Ricky. Miałem przed sobą zdjęcie Ricky! Oczywiście - nie małej dziewczynki, którą kiedyś znałem, ale młodej kobiety około dwudziestoletniej lub nieco starszej, z modną fryzurą i dojrzałymi rysami ślicznej twarzy. Uśmiechała się.

Oczy miała wciąż te same. Jak dawniej igrał w nich psotny chochlik, który kiedyś czynił ją rozkosznym dzieckiem, teraz zaś przemiłą dziewczyną...

Stereofotografia znalazła się jakby za mgłą, niewiele brakowało, żebym się rozplakał.

- Tak - udało mi się wykrztusić. - Tak, to jest Ricky.

- Nie powinnaś mu tego pokazywać - odezwał się Larrigan.

- Ależ, Hank, przecież nic się nie stanie, jeżeli pan Davis zobaczy fotografię.

- Znasz przepisy. - Obrócił się ku mnie. - Proszę pana, jak już mówiłem przez telefon, nie udzielamy żadnych informacji o klientach. Niech pan przyjdzie o dziesiątej, kiedy otworzą kancelarię.

- Albo trochę wcześniej, o ósmej - podpowiedziała małżonka. - Wtedy będzie już doktor Bernstein.

- Przestań, Nancy. Jeżeli chce jakichś informacji, to i tak musi porozmawiać z dyrektorem. Bernstein nie ma prawa odpowiadać na pytania. A poza tym ona nie była jego pacjentką.

- Nie rób tyle hałasu o nic, Hank. Wy, mężczyźni, wyzywacie się w biurokracji. Jeśli chce ją jak najszybciej zobaczyć, to o dziesiątej mógłby być już w Brawley. - Odwróciła się do mnie. - Proszę przyjść o ósmej, tak będzie najlepiej. Mąż i ja nie możemy więcej dla pana zrobić.

- Co pani mówiła o Brawley? Ricky pojechała do Brawley?

Gdyby nie jej mąż, powiedziałyby mi na pewno więcej. Zawahała się przez moment, przybrała urzędową minę i powtórzyła:

- Proszę porozmawiać z doktorem Bernsteinem. Jeżeli nie jadł pan jeszcze śniadania, tu obok jest bardzo miły bar.

Wstąpiłem do tej knajpki (rzeczywiście miła), zjadłem porządne śniadanie, skorzystałem z umywalni, doprowadziłem się do porządku, ogoliłem i przebrałem w nową koszulę kupioną w automacie.

Larrigan pewnie poinformował doktora Bernsteina o mojej porannej wizycie, gdyż ten

młody człowiek, który uzupełniał w klinice swoje kwalifikacje, zachowywał się nader powściągliwie.

- Panie Davis, jest pan również „śpiochem”. Dlatego nie należałoby zapominać, że istnieją przestępcy, którzy żerują na łatwowierności i niedostatecznej orientacji świeżo obudzonych. Znaczna część hibernowanych dysponuje poważnym majątkiem. Początkowo żaden z nich zupełnie nie orientuje się w obecnym świecie; są zazwyczaj osamotnieni i trochę wystraszeni - idealny cel dla oszustów.

- Ale ja chcę tylko wiedzieć, dokąd pojechała, nic więcej! Jestem jej kuzynem, dałem się zahibernować wcześniej niż ona i do głowy mi nie przyszło, że ona robi to samo.

- Prawie zawsze podają się za krewnych. - Przyjrzał mi się badawczo. - Czy myśmy się już kiedyś nie widzieli?

- Nie sądzę. Chociaż... może gdzieś w mieście albo w metrze... - Ludzie zawsze uważają, że już mnie kiedyś widzieli. - Panie doktorze, a może zadzwoniłby pan do doktora Albrechta ze schroniska Sawtelle i o mnie zapytał?

Ale i to nie poskutkowało.

- Proszę przyjść później i porozmawiać z dyrektorem. On zadzwoni do Sawtelle... albo na policję - w zależności do tego, co uzna za stosowne.

Wyszedłem. Być może popełniłem błąd, ale nie wróciłem już do kliniki.

Prawdopodobnie, gdybym spotkał się z dyrektorem (po jego rozmowie z doktorem Albrechtem), otrzymałbym dokładne informacje. Ale ja wynająłem aero-taxi i poleciałem prosto do Brawley.

Zmarnowałem w Brawley trzy dni, zanim trafiłem na ślad Ricky. Oczywiście szybko odkryłem, że mieszkała tam kiedyś razem z babką. Jednak starsza pani zmarła przed dwudziestu laty, a Ricky postanowiła uciec w sen. Brawley liczy sobie raptem sto tysięcy

mieszkańców, toteż odnalezienie dokumentów sprzed dwudziestu lat nie stanowiło dla mnie specjalnego problemu. Kłopoty miałem ze śladem sprzed tygodnia. Jak się później okazało, trochę wpływały one z faktu, że Ricky podróżowała z jakimś mężczyzną, a ja poszukiwałem samotnej kobiety. Kiedy dowiedziałem się, że ktoś jej towarzyszy, przypomniały mi się uwagi doktora Bernsteina o oszustach wykorzystujących „śpiochów”, i zdwoiłem wysiłki.

Jeden z tropów zaprowadził mnie aż do Calexico... niestety był fałszywy. Wróciłem do Brawley, zacząłem znowu krążyć, złapałem w końcu ślad, tym razem do Yumy.

Tutaj dałem za wygraną, ponieważ okazało się, że Ricky wyszła za mąż. To, co zobaczyłem w księdze zapisów okręgowego archiwum, zaszokowało mnie tak, że rzuciłem wszystko w diabły i wsiadłem w samolot do Denver. Zdążyłem przedtem wysłać Chuckowi pocztówkę z prośbą, by zebrał rzeczy z mojego biurka i spakował wszystko, co miałem w gabinecie.

W Denver zabawiłem tylko tyle czasu, ile potrzebowałem na wizytę w firmie dostarczającej materiały dla dentystów. Nie byłem tam od momentu zakończenia Sześciotygodniowej Wojny, kiedy razem z Milesem pojechaliśmy prosto do Kalifornii.

Denver jako nowa stolica wywarło na mnie ogromne wrażenie. Z tego, co słyszałem, schron przeciwoatomowy prezydenta jest zagrzebany głęboko pod Górą Skalistymi. Nawet jeżeli to prawda, to na powierzchni zostało całe mnóstwo zbędnych rzeczy. Było tam chyba jeszcze ciaśniej niż w Wielkim Los Angeles.

W hurtowni kupiłem dziesięć kilogramów czystego złota - izotopu 197 - w formie drutu o średnicy czternastu milimetrów. Zapłaciłem 86 dolarów i 10 centów za kilogram, chociaż cena kruszcu przeznaczonego do celów technicznych wynosi tylko 70 dolarów. Cała ta transakcja zadała śmiertelny cios mojej jedynej tysiąc dolarówce.

Owinałem drut dookoła pasa i wyjechałem do Boulder.

Doktor Twitchell nadal tam mieszkał, chociaż już nie pracował. Jako emerytowany profesor większość czasu spędzał w barze klubu uczelnianego. Cztery dni upłynęły, zanim dopadłem go w innym barze, obcy bowiem nie mają prawa wstępu do tego uświęconego ośrodka kultury uniwersyteckiej. Kiedy go wreszcie złapałem, zaproszenie na jednego okazało się sprawą całkiem prostą.

Była to postać tragiczna, jakby żywcem przeniesiona z greckich tragedii - ruina wielkiego człowieka. Miał świecić jak gwiazda na firmamencie nauki razem z Einsteinem, Bohrem i Newtonem, a tymczasem wyniki jego pracy znało dosłownie kilku specjalistów w dziedzinie teorii pola. Kiedy się spotkaliśmy, jego genialny mózg był skwaszony rozczarowaniem, zmącony starością i przesączony alkoholem. Porównywałem go w myśli do ruin pięknej niegdyś świątyni, której dach się zapadł, połowa kolumn runęła, a całość porośła pnączami dzikiego wina.

Mimo to miał więcej oleju w głowie niż ja w najświetniejszym okresie. Wiedziałem, że mam przed sobą geniusza.

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, podniósł głowę, spojrzał mi prosto w oczy i zapytał:

- To znowu pan?

- Proszę?

- Był pan jednym z moich studentów, prawda?

- Niestety nie, nigdy nie miałem tego zaszczytu.

Zazwyczaj, gdy ludzie twierdzą, że już mnie widzieli, gwałtownie protestuję. Tym razem postanowiłem inaczej to rozegrać.

- Może pan ma na myśli mojego ciotecznego brata, rocznik'86. Uczęszczał na pana wykłady.

- Możliwe. W jakiej specjalności bronił pracy?

- Musiał odejść z uniwersytetu bez tytułu, panie doktorze. Szczerze jednak pana podziwiał. Przy każdej rozmowie o studiach wspominał o panu z ogromnym szacunkiem.

Na pewno nigdy nie znajdziecie wroga w matce, jeśli w porę pochwalicie jej dziecko.

Doktor Twitchell pozwolił mi wreszcie usiąść i dał się zaprosić na drinka. Największą

słabością tego człowieka była zarozumiałość. Wiele godzin w ciągu tych czterech dni przed

nawiązaniem znajomości strawiłem w bibliotece uniwersyteckiej, wbijając sobie do głowy

wszystkie szczegóły dotyczące profesora. Wiedziałem, jakie napisał referaty i gdzie je

wygłaszał, jakie otrzymał uniwersyteckie i honorowe tytuły oraz jakie dzieła stworzył.

Spróbowałem przeczytać jedno z tych prostszych, ale już na dziewiątej stronie przestałem

rozumieć, o co chodzi, choć kilka wyrażeń i wzorów pamiętałem jeszcze długo.

Wyjaśniłem mu, że zajmuję się po amatorsku nauką i właśnie szukam materiałów do

książki Zapoznani geniusze.

- O czym ma traktować?

Z zażenowaniem przyznałem się, że - moim zdaniem - książkę należałoby zacząć od

przedstawienia jego drogi życia i osiągnięć naukowych... pod warunkiem że byłby skłonny

troszeczkę zrezygnować z dobrze znanej nieprzystępności. Oczywiście podstawowe

wiadomości powinny pochodzić od niego.

Nie chciał o niczym słyszeć i twierdził, że to nonsens. Zagrałem mu na ambicji,

wmawiając, że musi spełnić obowiązek wobec potomności. Nie zgodził się od razu i poprosił

o czas do namysłu. Już następnego dnia doszedł do wniosku, że zasługuje nie na rozdział, lecz

godny jest całej książki... a pomysł wydawał mu się zupełnie oczywisty. Od tego momentu

mówił i mówił, a ja notowałem... naprawdę zapisywałem wszystko, ponieważ nie chciałem go

oszukiwać, a poza tym co rusz prosił mnie o przeczytanie jakiegoś fragmentu.

Nie wspomniał jednak ani słowem o podróżach w czasie.

W końcu postanowiłem go o to zapytać, chociaż trochę okrężną drogą:

- Panie profesorze, czy to prawda, że dostałby pan Nagrodę Nobla, gdyby nie interwencja pułkownika? Przez trzy minuty z jego ust płynęły przepiękne wiązanki.

- Kto panu o tym powiedział?

- Hm, panie profesorze, kiedy pisałem pracę naukową na zlecenie Ministerstwa Obrony... nie omieszkałem o tym wspomnieć.

_ ?...

- Tak więc, gdy zbierałem materiały do tej pracy, usłyszałem tę historię od młodego chłopaka, który pracował na innym wydziale. Czytał pańskie sprawozdanie i twierdził, że z pewnością byłby pan dzisiaj w dziedzinie fizyki sławą na miarę Einsteina... gdyby zezwolono na publikację pańskiej pracy.

- Miał całkowitą rację...

- Dodał również, że wyniki badań zostały objęte ścisłą tajemnicą... na rozkaz tego pułkownika...eee... Plushbottoma.

- Trushbothama, drogi panie, Trushbothama. Tłustego, przygłupiego, nadętego i podejrzliwego idioty, który nie znalazłby sam własnego kapelusza, nawet gdyby przybił go do głowy, co, mówiąc nawiasem, ktoś powinien w końcu zrobić.

- To oczywiście niepowetowana strata!

- Co za strata? To, że Trushbotham był idiotą? Proszę złożyć ciężar winy na przyrodę, a nie na mnie...

- Wielka strata, że świat został okradziony z pańskiego wynalazku. Jeśli dobrze zrozumiałem, nie może pan udzielać wywiadów na ten temat?...

- Kto tak powiedział? Mogę mówić o wszystkim, o czym zechcę!

- Tak zrozumiałem wypowiedź... przyjaciela z Ministerstwa Obrony.

- Mmmm!

Tego wieczoru nie wydobyłem już od niego ani słowa. Upłynął tydzień, zanim się zdecydował pokazać mi swoje laboratorium.

Większą część budynku wykorzystywali obecnie inni uczeni. Twitchell nie zrezygnował nigdy ze swojego laboratorium czasu, chociaż od dawna już go nie używał. Powołał się na tajność pracy, zakazał wstępu komukolwiek i nie pozwolił na demontaż sprzętu. Kiedy wpuszczał mnie do środka, powiało zapachem nie wietrzanej od lat celi. Spiłem go tak inteligentnie, że nie zależało mu na niczym, ale zarazem trzymał się na nogach. Miał wyjątkowo mocną głowę. Zrobił mi wykład o matematycznych aspektach teorii czasu i czasowego przemieszczenia (nie używał terminu „podróż w czasie”), zaznaczając, że nie mogę sporządzać notatek. Zresztą nawet gdybym notował i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ każdą kwestię zaczynał słowami „jest sprawą oczywistą, że...” i dalej mówił o rzeczach, które były oczywiste chyba tylko dla niego i dla Pana Boga. Gdy zatrzymał się, by złapać oddech, wtrąciłem:

- Z wypowiedzi mojego przyjaciela wywnioskowałem, że nie mógł pan sobie poradzić z kalibrowaniem... nie potrafił pan ustalić dokładnych współrzędnych przemieszczenia w czasie...

- Co?! Bzdura! Młodzieńcze, nauka nie polega na przykładaniu centymetra i cyrkla... -

Przez chwilę bulgotał jak czajnik, a potem wypalił: - Chodź pan ze mną, coś panu pokażę.

Obrócił się na pięcie i zaczął kompletować układy. Na razie widziałem tylko to, co określał mianem „platformy geometrii czasowej” - zwyczajną niską platformę otoczoną klatkami, tablicę kontrolną, która z powodzeniem mogłaby stanowić wyposażenie kotłowni lub komory niskich ciśnień. Jestem całkowicie przekonany, że gdybym miał możliwość

zostać tam i sprawdzić układ sterowania, domyśliłbym się, jak posługiwać się całym urządzeniem. Twitchell wyraźnie ukrywał, w jaki sposób wprawia się w ruch machinę czasu.

Zauważyłem jeszcze rejestrator Browna z czytnikiem ośmiocyfrowym, kilka sterowanych elektromagnetycznie cewek olbrzymiej pojemności i co najmniej tuzin innych, również znanych mi podzespołów, które bez schematu połączeń były tylko bezużytecznym złomem.

Obrócił się i wycedził:

- Czy ma pan przy sobie jakieś monety?

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem garść drobniaków. Spojrzał na mnie i wybrał dwie zupełnie nowe pięciodolarówki - piękne, zielone plastikowe sześciokąty z ubiegłoroczną datą emisji. Wolałbym, żeby ofiarą eksperymentu padły monety o mniejszym nominale, gdyż zaczynało mi już brakować pieniędzy.

- Ma pan nóż?

- Tak jest.

- Proszę wryć na obu swoje inicjały. Zrobiłem, co mi kazał. Następnie położyłem monety na platformie.

- Niech pan zapamięta dokładnie czas. Nastawiłem na plus minus jeden tydzień sześć sekund.

Spojrzałem na zegarek. Doktor Twitchell odliczał:

- Pięć... cztery... trzy... dwa... jeden... teraz!

Podniosłem wzrok znad cyferblatu. Monety zniknęły. Nie wierzyłem własnym oczom.

Chuck opowiadał mi o podobnym eksperymencie - ale słyszeć i widzieć to dwie zupełnie różne rzeczy.

Doktor Twitchell podsumował zwięźle:

- Od dzisiaj za tydzień wrócimy tutaj i poczekamy, aż jedna z nich znajdzie się z

powrotem na platformie. Co do drugiej... czy jest pan pewny, że widział pan dwie monety obok siebie? Sam pan je tam położył?

- Tak, proszę pana.

- A gdzie ja wtedy stałem?

- Przy pulpicie kontrolnym, profesorze.

Rzeczywiście stał co najmniej piętnaście stóp od końca klatki zamykającej platformę i nie ruszył się przez cały czas z tego miejsca.

- W porządku, niech pan do mnie podejdzie. Proszę, oto jedna z pańskich pięciodolarówek. Tę drugą dostanie pan za tydzień.

Mówiąc to, podał mi monetę pięciodolarową, którą wyciągnął z kieszeni; były na niej moje inicjały.

Nic nie powiedziałem, bo to, co zobaczyłem, po prostu mnie zatkało. Profesor kontynuował:

- Pana aluzje z poprzedniego tygodnia zmąciły mi pogodę ducha, dlatego w środę przyszedłem tutaj, czego nie robiłem już... od ponad roku. Gdy zobaczyłem na platformie tę monetę, nie miałem już wyjścia, musiałem użyć tej aparatury... Aż do dzisiejszego wieczora nie byłem zdecydowany na ten eksperyment w pana obecności.

Przyjrzałem się bliżej monecie, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy to ta sama.

- To znaczy, że miał pan ją w kieszeni, kiedy tutaj przyszliśmy?

- Naturalnie.

- Ale jakim cudem mogła być równocześnie w pańskiej i mojej kieszeni?

- Boże drogi, człowieku, gdzie ty masz oczy? Czyżby nie miał pan mózgu i nie umiał samodzielnie myśleć? Nie dociera do pana całkiem prosta zależność tylko dlatego, że kłóci się z pańską nudną i trywialną logiką? Przyniósł pan ją dzisiaj wieczorem w kieszeni - a ja

wysłałem ją w miniony tydzień. Dlatego przed siedmioma dniami znalazłem ją i wsadziłem do kieszeni. Dzisiaj wieczorem przyniosłem ją z powrotem - tę samą monetę... albo posługując się dokładniejszą terminologią, segment jej czasowej struktury przestrzennej, z siedmiodniową patyną. Ignoranci twierdziliby jednak, że jest to „ta sama moneta”, chociaż praktycznie nie wykazuje większego stopnia identyczności niż dziecko porównywane z dorosłym człowiekiem, którym stanie się za kilkanaście lat.

Popatrzyłem na niego błagalnie.

- Panie doktorze... niech mnie pan wyśle w przeszłość, tylko na tydzień.

- Nie ma mowy.

- Dlaczego? Czy to na ludzi nie działa?

- Oczywiście, że działa.

- Więc dlaczego nie możemy spróbować? Nie boję się. Proszę sobie wyobrazić, jak ważna dla autentyzmu książki byłaby moja relacja z przeprowadzonego eksperymentu.

Relacja z czegoś, co sam przeżyłem!

- Może pan umieścić w książce sceny z autopsji. Przed chwilą był pan świadkiem jednej z nich.

- Owszem, byłem - zgodziłem się - ale nikt nie zechce w to uwierzyć. Te doświadczenia z dwiema moneta- mi... widziałem je i wierzę w to, co zobaczyłem. Ale człowiek, który będzie o tym tylko czytał, pomyśli z pewnością, że jestem łatwowierny i dałem się panu nabrać.

- Do pioruna, mój panie!

- Tak będą o tym mówić. Nie uwierzą, że naprawdę widziałem to, o czym piszę.

Gdyby jednak cofnął mnie pan w czasie o tydzień, mógłbym precyzyjnie opisać własne przeżycia i...

Przerwał mi niecierpliwym ruchem ręki.

- Proszę usiąść i słuchać.

Sam usiadł na jedynym krześle w pokoju i chyba wcale nie spostrzegł, że musiałem stać.

- Dawno temu przeprowadzałem doświadczenia z ludźmi. I właśnie dlatego przyrzekłem sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię!

- Dlaczego? Czyżby ludzie zginęli w czasie eksperymentu?

- Co? Niech pan nie mówi takich głupstw. - Popatrzył na mnie z rozgoryczeniem i

dodał: - Ale nie wspomni pan o tym w książce ani słowem.

- Jak pan sobie życzy.

- Próby z mniejszymi masami wykazały, że żywe organizmy można przemieszczać w czasie bez skutków ubocznych. Zaufałem pewnemu koledze, młodemu człowiekowi, który wykładał rysunek techniczny i inne przedmioty na wydziale architektury. Był typem praktycznego technika raczej niż naukowca, ale podobał mi się jego zapał i zaangażowanie.

Ten młody człowiek - nic złego się nie stanie, jeśli zdradzę jego nazwisko - Leonard Vincent - aż palił się do tego, żeby spróbować... i rzeczywiście spróbował. Chciał przenieść się rzeczywiście daleko, o pięćset lat. Byłem słaby i umożliwiłem mu to szaleństwo.

- Co się stało później?

- Skąd mam wiedzieć? Pięćset lat, człowieku! Nigdy nie doczekam się wiadomości o nim.

- Myśli pan, że przeniósł się te pół tysiąclecia w przyszłość?

- Albo w przeszłość. Mógł skończyć bądź w szesnastym, bądź w dwudziestym piątym stuleciu. Obie możliwości są jednakowo prawdopodobne. Podstawową rolę odgrywa w tym nieoznaczoność równań symetrycznych. Czasami myślę... ale chyba nie... musi to być

wyłącznie zbieżność nazwisk.

Nie zapytałem go, co chce przez to powiedzieć, ponieważ od razu spostrzegłem to podobieństwo i dreszcz przebiegł mi po plecach. Nie zaprzątałem sobie tym głowy, miałem własne problemy. A poza tym na pewno szło o przypadkową zbieżność - w szesnastym wieku nikt nie mógł dostać się z Kolorado do Włoch.

- Postanowiłem wtedy, że już nigdy nie ulegnę pokusie. Takie eksperymenty nie mają nic wspólnego z procesem badawczym, nie przynoszą żadnych efektów naukowych. Jeżeli przemieścił się do przodu, to wszystko w porządku. Ale jeśli się cofnął... możliwe, że skazałem przyjaciela na śmierć wśród dzikusów albo na pożarcie przez dzikie bestie. Mógł też zostać „wielkim białym bogiem”, to też nie jest wykluczone. Zachowałem jednak to przypuszczenie dla siebie.

- Ale przecież w moim wypadku nie musi pan stosować tak długiego przemieszczenia.

- Pozwoli pan, że nie będziemy dłużej o tym dyskutować.

- Jak pan sobie życzy, profesorze. - Nie mogłem jednak stracić w ten sposób jedynej szansy. - Hm, czy zgodziłby się pan na drobną sugestię?

- Co? Proszę bardzo.

- Taki sam rezultat można otrzymać w wyniku całkiem prostej próby.

- Co pan przez to rozumie?

- Myślę o przeprowadzeniu doświadczenia, w którym wszystko robiłby pan tak jak przy przemieszczaniu żywej osoby - tę rolę biorę na siebie. Procedura postępowania będzie identyczna jak przy pozostałych aż do momentu, kiedy należy przycisnąć ten guzik. Wtedy powinienem zrozumieć... bo teraz jest to dla mnie czarna magia.

Chwilę mrucał do siebie, ale w gruncie rzeczy miał ochotę pochwalić się swoją zabawką. Zważył mnie i przygotował balast dokładnie odpowiadający moim

osiemdziesięciu pięciu kilogramom.

- To ta sama waga, na której ważyłem biedaka Vincenta. - Przenieśliśmy balast na drugą stronę platformy. - Jakie ustawiamy współrzędne czasowe? - zapytał. - Tym razem pan jest reżyserem.

- Hm, twierdził pan, że można to zrobić z całą precyzją?

- Tak twierdziłem. Czyżby pan wątpił?

- Nie, oczywiście, że nie. W porządku, dzisiaj mamy dwudziesty czwarty maja - powiedzmy, że... na przykład trzydzieści jeden lat, trzy tygodnie, jeden dzień, siedem godzin, trzynaście minut i dwadzieścia pięć sekund.

- To marny dowcip, proszę pana. Kiedy mówiłem „dokładnie”, myślałem o dokładności rzędu jednej stutysięcznej. Nigdy nie miałem możliwości ustawienia jednej stumilionowej.

- Aha. Sam pan widzi, jak ważna jest dla mnie ta powtórna próba, skoro tak niewiele wiem o pańskim wynalazku. Powiedzmy, że wybieram trzydzieści jeden lat i trzy tygodnie. Czy to nie za dużo?

- Skądże, maksymalny błąd nie powinien przekraczać dwóch godzin. - Zestroił urządzenia. - Może pan zająć swoje miejsce na platformie.

- To już wszystko?

- Tak... to znaczy wszystko, oprócz energii. Nie mógłbym dokonać takiego przemieszczenia, wykorzystując tyle energii, ile przy próbie z monetami. Ponieważ jednak nie będziemy przeprowadzać przemieszczenia prawdziwego, możemy ten problem pominąć. Wyglądałem na rozczarowanego i faktycznie byłem rozczarowany.

- Czyli nie dysponuje pan wszystkim, co jest potrzebne do rzeczywistego przemieszczenia? Mówił pan tylko teoretycznie?

- Do diabła, to nie była tylko teoria.

- Ale jeśli nie ma pan energii...

- Kiedy się pan tak upiera, załatwię i energię. Proszę poczekać.

Podreptał w kąt, gdzie stał telefon. Musiano go zainstalować w dniu otwarcia

laboratorium, gdyż nie widziałem takiego modelu od momentu przebudzenia. Nastąpiła

krótka wymiana zdań z nocnym operatorem elektrowni uniwersyteckiej. Twitchell potrafił

obejść się bez mocnych słów, a mimo to był bardziej zjadliwy niż zawodowy satyryk.

- Nie interesuje mnie pańskie zdrowie. Proszę przeczytać instrukcje. Zawsze mam

prawo dysponować wszystkimi urządzeniami. Mam nadzieję, że umie pan czytać. A może

spotkamy się jutro u rektora i poprosimy, żeby zechciał je panu przypomnieć? Aha? Więc

jednak umie pan czytać. A pisać umie pan również? Czy to już wszystkie pańskie

umiejętności? Proszę uprzejmie zapisać: pełna moc na terminal laboratorium Thorntona,

dokładnie za osiem minut. Proszę powtórzyć. - Położył słuchawkę na widełki. - Co za ludzie!

Podszedł do tablicy kontrolnej, przesunął jakieś dźwignie i czekał. Po chwili nawet z

miejsca, w którym stałem, można było zobaczyć, jak długie wskazówki trzech mierników

drgnęły, a nad tablicą zapaliło się czerwone światło.

- Mamy energię - oznajmił dumnie.

- I co teraz?

- Nic.

- Tego się mogłem spodziewać.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- To, co mówię. Nic się nie może stać.

- Obawiam się, że pana nie rozumiem. Mam nadzieję, że pana nie rozumiem.

Chciałem powiedzieć, że nic się nie stanie, jeśli nie przycisnę głównego wyłącznika. Gdybym

to zrobił, przesunąłbym pana w czasie dokładnie o trzydzieści jeden lat i trzy tygodnie.

- Ja jednak nadal twierdzę, że to czczy gadanina. Poczzerwieniał gwałtownie.

- Mam wrażenie, szanowny panie, że chce mnie pan obrazić.

- Może pan myśleć, co się panu podoba. Przyszedłem tutaj sprawdzić pewną ciekawostkę, o której słyszałem. W porządku, sprawdziłem. Widziałem tablicę rozdzielczą, na której świecą się piękne lampki. Wygląda to jak machina szalonego naukowca z wielofilmu w zeroatrze. Zobaczyłem zabawny trik z dwiema monetami. Szczerze mówiąc, nie była to szczególnie udana sztuczka, gdyż monety sam pan wybrał i własnoręcznie je oznaczył. Był błazen poradziłby sobie lepiej. Pańskie teorie to absurd. W ministerstwie zdają sobie z tego sprawę. Sprawozdania nikt nigdzie nie ukrywał, po prostu wsadzono je do przegródki ze zgłoszeniami genialnych wynalazków typu perpetuum mobile. Od czasu do czasu wyciągają je, czytają te brednie i mają niezłą frajdę.

Myślałem, że staruszka trafi szlag. Musiałem jednak ukłuć go w czuły punkt, zranić jedyne, co mu pozostało - jego dumę.

- Niech pan się wynosi. Połamię panu kości. Gołymi rękami połamię panu kości!

Widząc jego wściekłość, byłem prawie gotów uwierzyć, że mu się to uda mimo podeszłego wieku, stanu zdrowia i mojej wagi. Dolałem oliwy do ognia.

- Nie ma strachu, tatuśku. A ten guzik przyszyj se pan do kapoty.

Spojrzał na mnie, spojrzał na przycisk, ale jeszcze nie podjął decyzji. Musiałem mu pomóc. Zaśmiałem się drwiąco.

- To oszustwo. Twitch, jesteś starym nadętym kanciarzem, blagierem jakich mało.

Pułkownik Trushbotham miał rację.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W momencie gdy dotknął przycisku, chciałem zawołać, żeby tego nie robił. Było już

jednak za późno; maszyna została puszczone w ruch. W tej ostatniej chwili przemknęła mi przez głowę rozpaczliwa myśl, że właściwie nie chcę w tym uczestniczyć. Spaliłem za sobą wszystkie mosty i niemal doprowadziłem do ostateczności biednego starego człowieka, który mnie nigdy nie skrzywdził. Co gorsza, nie wiedziałem, w jakim poruszam się kierunku.

Najpierw poczułem ból pośladek. Sądzę, że upadek nie nastąpił z wysokości większej niż metr, ale nie byłem nań przygotowany i rąbnąłem o ziemię niczym worek ziemniaków.

Potem usłyszałem głos:

- Skąd pan się tu, do diabła, wziął?

Był to głos czterdziestoletniego łysego mężczyzny. Wysoki i dobrze zbudowany, stał przede mną, wzięwszy się pod boki. Wyglądał na inteligentnego i nie pozbawionego poczucia humoru biznesmena, którego ogarnęła wściekłość z powodu nagłego wtargnięcia jakiegoś intruza.

Usiadłem na zwirowej alejce posypanej igliwem. Mężczyźnie towarzyszyła przystojna, młodsza od niego kobieta. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem bez słowa.

- Gdzie jestem? - zapytałem z głupia frant. Mogłem wprawdzie zapytać „Jaki mamy rok?”, ale zabrzmiałoby to jeszcze głupiej, tym bardziej że nie miałem wcale ochoty zbyt szybko się dowiedzieć. Wystarczył mi jeden rzut oka, żeby stwierdzić, iż na pewno nie znajdowałem się w roku 1970. I nie byłem również w roku 2001, kiedy w takich strojach paradowano na plażach. Wybrałem zły kierunek.

Opuściłem głowę i spojrzałem na siebie. Byłem ubrany. Czuję się trochę niezręcznie... po prostu nie na miejscu... Bo oni obydwój nie mieli na sobie niczego, co przykrywałoby piękną opalenizną. Nawet lepeksu. I wcale nie wyglądali na zażenowanych tym faktem.

- Spokojnie, wszystko po kolei - powiedział mężczyzna. - Zadałem pytanie, skąd się pan tu wziął? - Spojrzał w górę. - Czyżby pan zostawił spadochron na drzewie? Jeśli tak, to po co pan tu lądował? Tablice przecież ostrzegają, że to teren prywatny i obcy nie mają prawa wstępu. A co ma znaczyć to karnawałowe przebranie?

Moim zdaniem byłem zupełnie w porządku - zwłaszcza biorąc pod uwagę ich goliznę.

Ale nie odpowiedziałem. Inne czasy, inne obyczaje - wiedziałem, że będę miał kłopoty.

Kobieta położyła mu rękę na ramieniu.

- Zostaw go, John. I tak jest ciężko przestraszony. Pytająco spojrzął na nią, a potem przeniósł wzrok na mnie.

- Hm, coś się panu stało? Spróbowałem wstać.

- Myślę, że nie. Skończy się prawdopodobnie na kilku siniakach. Przepraszam, jaki dziś mamy dzień?

- Proszę? Przecież jest pierwsza niedziela maja. Chyba trzeci. Prawda, Jenny?

- Tak, kochanie.

- Chwileczkę, zaraz wszystko wyjaśnię. Uderzyłem się mocno w głowę i jestem jakby zamroczony. Którego mamy dzisiaj? Cała data!

- Co?

Powinienem był trzymać język za zębami, dopóki nie sprawdzę tego gdzie indziej - w kalendarzu albo w gazecie.

Musiałem jednak wiedzieć to tu, w tej chwili, nie mogłem wytrzymać. Spytałem:

- Jaki mamy rok?

- Przyjacielu, to musiało być silne uderzenie. Jest rok 1970.

Olbrzymi kamień spadł mi z serca. Udało się! Udało! Mam dosyć czasu, aby wnieść poprawki do życiorysu.

- Dzięki - odetchnąłem. - Bardzo wam dziękuję. Nie możecie sobie wyobrazić, jak mi ulżyło.

Ponieważ mężczyzna ciągle jeszcze wyglądał na gotowego przywołać posiłki, dodałem nerwowo:

- Często zupełnie bez powodu miewam ataki amnezji. Kiedyś straciłem... całych pięć lat.

- Teraz rozumiem, że to może wyprowadzić człowieka z równowagi - przytaknął powoli. - Czuje się pan dość dobrze, by odpowiedzieć na moje pytania?

- Nie męcz go tak, kochanie - powstrzymała go cicho kobieta. - Wygląda na porządnego człowieka. Myślę, że jest trochę zagubiony.

- Zobaczymy. A zatem, panie?...

- Czuję się już okay. Przed chwilą byłem zupełnie skołowany.

- W porządku. Jakim cudem dostał się pan tutaj? Dlaczego jest pan tak ubrany?

- Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia, jak tu trafiłem. W ogóle nie wiem, gdzie jestem. Te ataki łapią mnie tak nagle... A jeżeli chodzi o ubranie... lubię być ekscentryczny. Sądzę, że wy również...

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Rozumiem, że rodzaj naszego ubrania... czy jego brak... w innych okolicznościach wymagałby konkretnego wyjaśnienia. Jednak to pan nie pasuje do tego miejsca i to niezależnie od ubioru, natomiast my jak najbardziej. Znajdujemy się na terenie Klubu Nudystów w Denver.

John i Jenny Sutton należeli do tych ludzi, których nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Nawet w czasie trzęsienia ziemi nie zrezygnowaliby z popołudniowej herbaty z mlekiem. Johnowi nie wystarczyły moje wyjaśnienia i chętnie wzięłoby mnie w krzyżowy

ogień pytań, lecz Jenny w porę go powstrzymała. Opowiadałem w. koło historyjkę o „nagłych atakach utraty pamięci” i twierdziłem, iż moim ostatnim wspomnieniem jest wczorajszy wieczór w nowym Pałacu Browna w Denver. W końcu John stwierdził:

- W porządku, brzmi to wcale ciekawie i prawie zabawnie; chyba ktoś będzie jechał do Boulder, to podwiezie pana. Stamtąd autobusem dostanie się pan do Denver. - Jeszcze raz zerknął na mnie. - Jeżeli przyprowadzę pana do Klubu w takim stroju, ludzie mogą się mocno zdziwić.

- John... chyba byłoby prościej, gdybym się rozebrał?

Nie uczestniczyłem co prawda w żadnym obozie nudystów, ale spędziłem z Chuckiem parę weekendów w Santa Barbara i Laguna Beach, gdzie gołe ciało na plaży wyglądało zupełnie naturalnie.

Sutton przytaknął:

- Faktycznie, byłoby lepiej.

- Kochanie - odezwała się Jenny - czy on nie mógłby być naszym gościem?

- Mmm... tak, chyba tak. Moja najdroższa, bądź tak dobra i przejdź się do Klubu.

Wspomnij dyskretnie, że oczekujemy gościa z... właściwie skąd pochodzisz, Danny?

- Z Kalifornii, z Los Angeles. Urodziłem się tam.

O mało co nie powiedziałem z „Wielkiego Los Angeles”, ale w porę ugryzłem się w język. Teatry już nie były zeroatrami.

- Z Los Angeles. To wystarczy, nazwiska nie muszą znać, tutaj nie używa się nazwisk.

Kochanie, przedstaw rzecz tak, jakby była powszechnie znana. Wspomnij, że za pół godziny mamy się spotkać przy bramie. Wróć do nas i przynieś mi moją torbę podróżną.

- Po co, najmilszy?

- Żeby schować ten maskaradowy kostium. Rzuca się w oczy, nawet jeśli nosi go taki

ekscentryk jak Danny.

Wstałem i schowałem się za krzaki, żeby tam zrzucić ubranie, bo Jenny Sutton jeszcze nie odeszła. Tłumaczyłem to wstydlivością, ale musiałem tak zrobić; nie mogłem rozebrać się przy nich i ujawnić dziesięciu kilogramów złotego drutu wartości 20 000 dolarów, którym owinąłem się podwójnie w pasie niczym pętlą i zawiązałem z przodu. Przypuszczam, że z tego szoku mogliby się nie pozbierać.

Kiedy zdjąłem już ubranie, zapakowałem w nie złoto i usiłowałem udawać, że całość waży tyle, ile same ciuchy. John Sutton rzucił wzrokiem na tobolek, ale nic nie powiedział. Zaproponował mi papierosa - nosił je na łańcuszku zawieszonym na szyi. Był to gatunek, z którym już dawno pożegnałem się na zawsze.

Zamachałem w powietrzu, żeby zapalić, co oczywiście nie nastąpiło, więc pozwoliłem, by John podał mi ogień.

- Teraz - powiedział spokojnie - kiedy jesteśmy sami, może pan przypomni sobie o czymś, o czym powinienem wiedzieć? Jeśli mam poręczyć za pana w Klubie, muszę przynajmniej upewnić się, że nie będę miał z tego powodu kłopotów.

Zaciągnąłem się mocno i dym podrażnił mi gardło.

- John, nie będzie żadnych kłopotów. Jest to ostatnia rzecz na świecie, której bym pragnął.

- Hm... też tak sędę. Czyli wracamy do wersji - „nagłe ataki amnezji”?

Zacząłem zastanawiać się nad tą głupią sytuacją. Miał prawo wiedzieć, ale prawdopodobnie nie uwierzyłby mi, gdybym powiedział prawdę... ja przynajmniej na jego miejscu nabrałbym podejrzeń. Ale byłoby znacznie gorzej, gdyby jednak uwierzył.

Podniósłby taki rwetes, że nie zdołałbym już zapanować nad sytuacją. Przypuszczam, że gdybym był całkowicie legalnym podróżnikiem w czasie, wykonującym zadanie ściśle

naukowe, zależałoby mi, rzecz jasna, na jak najszerszej publicity. Mając jakiś nie do obalenia dowód prawdziwości mych słów, który pochodziłby z przyszłości, mógłbym domagać się potwierdzenia realności podróży w czasie poprzez badania doświadczalne.

Lecz w moim przypadku takie rozwiązanie odpadało. Byłem osobą prywatną, człowiekiem o nader wątpliwym pochodzeniu, który nie miał zamiaru zwracać na siebie i swoje magiczne sztuczki uwagi szerszego ogółu. Szukałem po prostu swoich drzwi do lata, w miarę możliwości w ciszy i spokoju.

- John, gdybym był z panem szczerzy i tak by mi pan nie uwierzył.

- Hmm... możliwe. Jednak widziałem, jak jakiś facet spada z jasnego nieba... i nie odnosi specjalnych obrażeń. Ma na sobie dziwne ubranie. Nie wie, gdzie jest i jaki mamy dzień. Danny, czytałem Charlesa Forta * jak większość ludzi. Nigdy bym nie przypuścił, że sam przeżyję coś takiego. Ale kiedy już byłem świadkiem takiego ewenementu, nie zadowolą mnie wyjaśnienia prymitywne jak karciana sztuczka.

- John, przed momentem użył pan terminologii i sformułowań charakterystycznych dla języka prawniczego. Jest pan prawnikiem?

- Tak, jestem. Dlaczego?

- Czy mógłby pan potraktować moje słowa jak informację zastrzeżoną?

- Hmm. Chce pan zostać moim klientem?

- Tak, jeżeli pragnie pan to tak nazwać. Prawdopodobnie będę potrzebował porady prawnej.

- Więc do dzieła, ta rozmowa zostanie między nami dwoma.

- W porządku. Jestem z przyszłości. Cofnąłem się w czasie.

Na moment jakby go замуrowało. Leżeliśmy wyciągnięci na słońcu, ja próbowałem się rozgrzać, a on żuł w zamyśleniu igły sosny.

- Ma pan rację - stwierdził wreszcie. - Nie wierzę. Zostańmy lepiej przy tych

„atakach”.

- Wiedziałem, że pan nie uwierzy. Westchnął ciężko.

- Powiedziałbym raczej, że nie chcę wierzyć. Tak jak nie chcę wierzyć w duchy, reinkarnację i we wszystko, co ma związek z postrzeganiem pozazmysłowym. Lubię proste rzeczy, które rozumiem, i chyba nie odbiegam pod tym względem od normy. Tak więc moja pierwsza rada brzmi: niech pan zostanie przy pierwotnej wersji swojej opowieści i nikomu nic więcej nie mówi.

- To mi odpowiada.

- Proponuję również spalić ubranie. Znajdę coś dla pana. Czy będzie się palić?

- Nie najlepiej. Roztopi się.

- Ale buty może pan włożyć. Na ogół chodzimy w butach, a te pana ujdą w tłoku.

Gdyby ktoś o nie pytał, proszę mówić, że są wykonane na zamówienie. Obuwie zdrowotne.

- To akurat prawda.

- W porządku. - Zanim zdążyłem mu przeszkodzić, zaczął rozpakowywać moje zawiniątko. - Chryste Panie! Danny, czy ta rzecz jest tym, na co wygląda?

- A na co wygląda?

- Na złoto.

- Bo to jest złoto.

- Skąd pan je wytrzasnął?

- Kupiłem.

Wziął drut do ręki, zbadał jego miękkość, jak się bada kit, a potem je podniósł.

- Do licha! Danny... niech pan mnie uważnie wysłucha. Zapytam o coś, a pan musi mi dać jednoznaczną odpowiedź, ponieważ nie potrzebuję klienta-oszusta. Takiemu nigdy nie

pomogę. Nie chcę również brać udziału w jakimś przestępstwie. To złoto uzyskał pan legalnie?

- Tak.

- Być może nie zna pan przepisu o rezerwach złota z roku 1968?

- Znam. Nabyłem je legalnie i chcę je teraz sprzedać za dolary mennicy w Denver.

- Ma pan uprawnienia jubilerskie?

- Nie. John, powiedziałem panu czystą prawdę, może pan wierzyć lub nie. Tam, skąd przyszedłem, złoto leży zwyczajnie na półce w sklepie. Wiem, że nie mogę go zatrzymać, bo tego zabrania prawo. Co mi mogą zrobić, kiedy położę je na wagę w mennicy?

- Nic, właściwie nic... jeżeli będzie się pan trzymał teorii „ataków”. Ale mogą panu

„uprzyjemnić życie”. - Spojrzał na złoto. - Sądzę, że powinien pan pobrudzić je gliną.

- To znaczy zakopać?

- Nie, tak daleko proszę się nie posuwać. Jeżeli jednak powiedział mi pan prawdę, lepiej twierdzić, że znalazł je pan w górach. Poszukiwacze złota trafiają tam czasami na jakieś złoża.

- Hm... jak pan uważa. Mnie to niewinne kłamstwo nie przeszkadza, bo według prawa złoto i tak należy do mnie.

- A mamy do czynienia z kłamstwem? Kiedy zobaczył pan po raz pierwszy to złoto?

Proszę podać dokładnie dzień, w którym stał się pan jego właścicielem.

Spróbowałem się skupić. Było to w dniu odjazdu z Yumy, gdzieś w maju 2001 roku.

Czyli przed dwoma tygodniami... No tak!

- Jeżeli pan stawia sprawę w ten sposób, drogi Johnie, najwcześniejsza data, którą sobie przypominam, jest datą dzisiejszą, trzeci maja 1970 roku.

Przytaknął.

- Więc znalazł je pan w górach.

Suttonowie siedzieli w Klubie do rana. Zostałem z nimi. Całe towarzystwo zachowywało się po przyjacielsku i okazywało minimalne wręcz zainteresowanie moimi prywatnymi sprawami. W każdym razie mniejsze niż ktokolwiek, z kim dotychczas się spotkałem. Później usłyszałem, że takie zachowanie należy do niepisanych zwyczajów obowiązujących członków klubów nudystycznych, lecz wtedy wydawali mi się najbardziej taktownymi i uprzejmymi ludźmi pod słońcem.

John i Jenny mieli własne pokoje. Ja spędziłem dwie noce w sypialni Klubu. Ponieważ porządnie zmarzłem, John pożyczył mi koszulę i dżinsy. Moje ubranie z cenną zawartością spoczywało spokojnie w torbie na dnie bagażnika samochodu - jaguar imperator był wystarczającym dowodem zamożności mojego nowego przyjaciela.

Zatrzymałem się u nich przez całą dobę i już we wtorek dysponowałem pewną sumą pieniędzy. Mojego złota miałem już nie ujrzeć, ale w ciągu kilku następnych tygodni otrzymałem od Johna dokładną równowartość w dolarach. Płacono jak za sztabki o tej samej wadze, z potrąceniem standardowych kosztów honorariów dla uprawnionych handlarzy złotem. Wiem, że John nie kontaktował się bezpośrednio z mennicą, bo po każdej transakcji przekazywał mi kwity z punktów skupu. Sam nie inkasował żadnej prowizji i nigdy nie proponował, że wtajemniczy mnie w szczegóły tych operacji.

Mnie również one nie interesowały. Z chwilą gdy otrzymałem gotówkę, wziąłem się ostro do pracy. Jeszcze tego samego dnia, we wtorek 5 maja 1970, objechałem z Jenny miasto i wynająłem mansardę w starej dzielnicy handlowej. Deska kreślarska, stół do pracy oraz wojskowe łóżko z demobilu - oto co stanowiło właściwie całe wyposażenie mojego nowego mieszkania. Prąd, gaz, bieżąca woda i toaleta (często nieczynna), wszystko to było na miejscu. Niczego więcej nie potrzebowałem, a musiałem przecież oszczędzać każdego centa.

Kreślić starą metodą za pomocą cyrkla i przykładnicy oznaczało stracić mnóstwo

czasu, dlatego moim pierwszym posunięciem było zbudowanie „Kreślarza Ralpa”.

„Uniwersalny Frank” zmienił się w „Proteusza Pita” * - wielofunkcyjny automat, zdolny zastąpić człowieka we wszystkich czynnościach, które zaprogramuje się w strukturach pamięciowych lamp Thorsena. Zdawałem sobie sprawę, że postać „Proteusza Pita” ulegnie z czasem wielu modyfikacjom, jego potomkowie zaś rozwiną się w całą armię wyspecjalizowanych robotów, ale chciałem zapewnić sobie jak najszersze zastrzeżenia patentowe.

Przy zgłoszeniu patentowym nie wymaga się przedstawienia modelu, wystarczą opisy i rysunki techniczne. Ja jednak potrzebowałem funkcjonujących prototypów, gotowych do pokazów, ponieważ z punktu widzenia handlu konieczne było, żeby automaty sprzedawały się same, żeby wykazywały swoją bezsporną praktyczność i niepodważalną oszczędność, którą narzucały wymagania przyszłej produkcji. Prototypy musiały nie tylko funkcjonować, ale również spełniać warunki korzystnych inwestycji - urząd patentowy przepelniony jest wynalazkami, które choć działają, z komercyjnego punktu widzenia są zupełnie bezwartościowe.

Praca postępowała zarazem szybko i powoli - szybko, bo doskonale wiedziałem, jak się do tego zabrać; powoli - ponieważ nie dysponowałem porządnym warsztatem i fachową pomocą. Zmuszony byłem wypożyczyć kilka małych obrabiarek, co w znakomity sposób przyspieszyło robotę. Pracowałem od śniadania aż do chwili krańcowego wyczerpania, i to przez siedem dni w tygodniu. Pozwalałem sobie na jeden tylko weekend w miesiącu, spędzałem go z Johnem i Jenny w ich Klubie. Pierwszego września oba modele sprawnie funkcjonowały i mogłem rozpocząć prace dokumentacyjne.

Nie miałem za wiele czasu, by dokądś chodzić, i dobrze, bo pewnego dnia, przy

zakupie serwowalnika, natknąłem się na jednego faceta, którego znałem jeszcze z Kalifornii.

Pozdrowił mnie, a ja mu odpowiedziałem bez zastanowienia.

- Hej, Dan! Dan Davis! Co za spotkanie. Byłem przekonany, że siedzisz w

Mojave. Uścisnąłem mu dłoń.

- Krótka podróż służbowa, nic więcej. Za parę dni wracam.

- Ja wracam dzisiaj po południu. Zadzwoń do Milesa, że miło się z tobą rozmawiało.

Przybrałem zakłopotaną minę - i nie bez powodu.

- Nie rób tego, proszę cię.

- Dlaczego nie! Czyżbyś miał z Milesem na pieńku? Nie pracujecie już razem?

- Nie, to nie to, Mort. Miles nie wie, że jestem tutaj.

Miałem polecieć do Albuquerque w interesach firmy, ale zboczyłem z trasy w całkiem prywatnej sprawie. Rozumiesz? Firma nie ma z tym nic wspólnego i wolałbym uniknąć rozmów na ten temat z Milesem.

- Kobieta, co?

- No... tak.

- Zamężna?

- Można tak powiedzieć.

Szturchnął mnie w bok i porozumiewawczo mrugnął okiem.

- Jasne. Staruszek Miles to zatwardziały purytanin, prawda? W porządku, nie pisnę ani słowa, a kiedyś może mi się zrewanżujesz. Jaka ona jest?

Chętnie utopiłbym cię w łyżce wody, pomyślałem, ty czwartorzędna ofiara losu. Mort to typ bezczelnego komiwojażera, który więcej czasu poświęca podrywaniu kelnerek niż interesom firmy, a towar, którym handluje, jest taki sam jak on - obiecuje więcej, niż w rzeczywistości daje.

Zaprosiłem go jednak na drinka, poczęstowałem zmyślonymi opowiadkami o „zameźnej kobiecie” i wysłuchałem z kolei równie fikcyjnych historii miłosnych. W końcu spławiłem go z ulgą.

Przy innej okazji spróbowałem postawić drinka doktorowi Twitchellowi, ale bez powodzenia.

Usiadłem obok niego przy barze w jednym z drugistorów na Champa Street i dopiero odbicie w lustrze zdradziło, kto jest moim sąsiadem. W pierwszej chwili chciałem wleźć pod stół, by mnie nie zauważył.

Oprzytomniałem trochę po kilku sekundach i uświadomiłem sobie, że ze wszystkich ludzi żyjących w roku 1970 on jeden nie może przysporzyć mi kłopotów. Nie mogło się nic stać, ponieważ nic się nie stało... chciałem powiedzieć, że nic nie stanie... Nie... Przestałem szukać właściwego sformułowania i doszedłem do wniosku, że jeżeli podróże w czasie staną się w przyszłości czymś zwyczajnym, to angielska gramatyka będzie musiała wyposażyć się w cały szereg nowych, potrzebnych do uplasowania sytuacji minionych, czasów, przy których odmiana francuskich literackich i łacińskich czasów historycznych będzie prosta jak tabliczka mnożenia.

W każdym razie, czy w przeszłości, czy w przyszłości, Twitchell nie stwarzał zagrożenia. Mogłem spać spokojnie.

Przyglądałem się odbiciu jego twarzy i nurtowała mnie myśl, czy przypadkiem nie mylę się. Ale nie, Twitchell nie miał tak przeciętnego oblicza, jak moje. Ostre, znamionujące pewność siebie rysy, trochę aroganckie, ale zarazem regularne, mogły należeć nawet do Zeusa. Pamiętałem tę twarz, na której odbiło się piętno przeżyć, i nie miałem wątpliwości, kogo spotykam. Po plecach przeszedł mi dreszcz, kiedy uprzytomniłem sobie, jak Twitch będzie wyglądał za trzydzieści lat i jak paskudnie zachowam się w stosunku do niego.

Postanowiłem mu to choć w części wynagrodzić.

Twitchell zorientował się, że przyglądam się jego lustrzanemu odbiciu i obrócił się ku mnie.

- Coś nie tak?

- Nie. Hm... pan jest doktorem Twitchellem, nieprawdaż? Z uniwersytetu?

- Tak, z Denver. Czy my się znamy?

Niewiele brakowało, żebym popełnił gafę, bo zapomniałem, że akurat w tym roku pracował na miejscowym uniwersytecie. Pamiętać fakty w obu kierunkach - to naprawdę nie jest proste.

- Nie, panie doktorze, ale pilnie uczęszczałem na pańskie wykłady. Chcę powiedzieć, że szczerze pana podziwiam.

Skrzywił usta w półuśmiechu, ale nie połknął przynęty. Z tego i z innych drobiazgów wywnioskowałem, że jeszcze nie rozwinęła się u niego zgubna potrzeba wysłuchiwania pochlebstw. Teraz jeszcze wierzył w swój geniusz i potrzebował tylko własnego uznania.

- Jest pan pewny, że nie pomylił mnie pan z jakąś gwiazdą filmową?

- Och, nie! Jest pan przecież doktorem Hubertem Twitchellem, wielkim fizykiem?

Znowu zadrgał mu kącik ust.

- Powiedzmy raczej, że jestem fizykiem. Albo że staram się nim być.

Chwilę rozmawialiśmy, a ja starałem się podtrzymać rozmowę. Gdy skończył sandwicza, powiedziałem, że byłby to dla mnie wielki zaszczyt, gdybym mógł go zaprosić na drinka. Pokręcił przecząco głową.

- Nie piję prawie wcale, a przed zmrokiem nigdy. Ale dziękuję, miło mi było pana poznać. Jeśli będzie pan kiedyś na uniwersytecie, proszę wstąpić do laboratorium.

Przyrzekłem, że to zrobię.

W czasie drugiego pobytu w roku 1970 nie popełniłem już większych gaf. W końcu znałem go od dawna, a większość ludzi, z którymi spotkania mogłem się obawiać, przebywała w Kalifornii. Postanowiłem, że gdy ujrzę kogoś znajomego, udam, że go nie poznaję, i jak najszybciej się oddalę - nie chciałem już ryzykować.

Ale drobiazgi również mogą sprawiać kłopoty. Jak na przykład wtedy, gdy z trudem zaciągałem zamek błyskawiczny, bo przyzwyczałem się do wygodniejszych i o wiele bardziej bezpiecznych zamknięć lepexu. Po trzech miesiącach nauczyłem się traktować lepex jako coś oczywistego. Teraz bardzo mi brakowało wielu takich właśnie drobiazgów. Na przykład golenie - musiałem znowu zacząć się golić i ć! Raz się nawet przeziębilem. Ten koszmarny upiór z przeszłości dopadł mnie, bo zapomniałem, że ubranie może przemoknąć na deszczu. Chciałbym, żeby ci wspaniali esteci, którzy wybrzydzą na postęp i gędzą o wspaniałościach przeszłości, znaleźli się tu razem ze mną. Talerze, na których stygły potrawy, koszule, które trzeba było prasować, lustra w łazience zachodzące parą właśnie wtedy, kiedy chcesz się w nich przejrzeć, ciekące nosy, brudy pod stopami i brudy w płucach.

Przyzwyczałem się w roku 2000 do lepszych warunków życia i w roku 1970 czekało mnie wiele drobnych frustracji, dopóki znowu się we wszystkim nie połapałem.

Ale pies w końcu przyzwyczajają się do swoich pcheł i ja przyzwyczałem się również.

Denver roku 1970 było osobliwym miejscem o delikatnym, staroświeckim kolorycie i bardzo się do niego przywiązałem. W niczym nie przypominało ugładzonego labiryntu Nowego Planu, jakim było (albo będzie), kiedy przyjechałem (albo przyjadę) tu z Yumy. Wciąż jeszcze mieszkały tu niespełna dwa miliony ludzi, wciąż jeszcze kursowały autobusy i inne pojazdy na wciąż jeszcze tych samych ulicach. Nie miałem najmniejszego kłopotu z odnalezieniem Colfax Avenue.

Denver przyzwyczajają się do faktu, że jest siedzibą rządu i czuło się w tej nowej roli

dość niezręcznie, jak chłopiec w swym pierwszym garniturze. W duchu ciągle tęskniło za butami na wysokich obcasach i westernową wymową, choć jednocześnie doskonale wiedziało, że musi zmienić swe oblicze, stać się międzynarodową metropolią z ambasadami, szpiegami i restauracjami dla smakoszy. Miasto rozbudowywało się we wszystkich kierunkach, aby pomieścić urzędników, biznesmenów, ludzi z kontaktami, sekretarki-maszynistki i lokajów. Budynki wznoszono tak szybko, że za każdym razem istniało niebezpieczeństwo, iż we wnętrzu któregoś zamurują, na przykład krowę. Mimo że miasto sięgnęło jedynie parę mil za Aurorę na wschodzie, do Henderson na północy i Littleton na południu - wciąż było jeszcze dużo nie zabudowanych terenów. Oczywiście, na zachodzie miasto dotarło do gór i federalne instytucje wgrzały się tunelami w ich zbocza.

Lubiłem Denver w latach jego federalnego rozwoju. Ale straszliwie pragnąłem wrócić do moich czasów, do dwudziestego pierwszego wieku.

Problem zawsze tkwił w drobiazgach. Wstawiłem sobie nowe zęby, gdy tylko zatrudniono mnie w Hired Girl - było mnie na to stać. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek będę miał do czynienia z technikiem dentystycznym. Ale w 1970 roku nie miałem pastylek zapobiegających próchnicy i zrobiła mi się w zębie dziura - bolesna, bo w przeciwnym razie nie zwróciłbym na nią uwagi. Poszedłem więc do dentysty. Słowo daję, zupełnie nie pomyślałem o tym, że zdębieje, kiedy zajrzy do moich ust. Zamrugnął, poruszał lusterkiem i powiedział:

- Rany Julek! Kto był pańskim dentystą?

- O ho hahu hohi? Wyjął ręce z moich ust.

- Kto to zrobił? I jak?

- Co? Chodzi panu o moje zęby? O, to eksperymentalny zabieg, który przeprowadzono mi w... Indiach.

- Jak tego dokonali?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Hmm... Niech pan chwilę poczeka. Muszę zrobić kilka zdjęć.

Zaczął krzątać się wokół aparatury rentgenowskiej.

- O nie - zaprotestowałem. - Niech pan mi tylko wyleczy i załata czymś bolący ząb trzonowy, i wypuści mnie stąd.

- Ale...

- Przepraszam, doktorze, ale bardzo mi się spieszy.

Zrobił więc, o co go prosiłem, przerywając jedynie od czasu do czasu, aby obejrzeć moje zęby. Zapłaciłem gotówką i nie zostawiłem nazwiska. Myślę, że powinienem był mu pozwolić zrobić zdjęcia, ale maskowanie stało się moim odruchem. Nic by nie zaszkodziło, gdyby je sfotografował. Ani też nie pomogło. Prześwietlenie bowiem nie wykazałoby sposobu dokonania regeneracji, a ja bym mu nie powiedział.

Jeżeli chodzi o załatwianie spraw, to nie ma jak przeszłość.

Podczas gdy ja sam pociełem się szesnaście godzin na dobę nad „Kreślarzem Ralphem” i „Proteuszem Pitem”, wynajęci anonimowo za pośrednictwem prawniczej agencji Johna prywatni detektywi szperali w przeszłości Belle. Dałem im jej adres, numery rejestracyjne i model samochodu (z kierownicy idealnie zdejmuje się odciski palców) i stwierdziłem, że być może miała już kilku mężów i kontakty z policją. Zasięg poszukiwań musiałem znacznie ograniczyć ze względu na szczupłość kiesy.

Kiedy po dziesięciu dniach nie dostałem od nich żadnego sprawozdania, spisałem pieniądze na straty. Jednak kilka dni później do kancelarii Johna nadeszła gruba koperta.

Belle rzeczywiście miała bogatą przeszłość. Urodziła się sześć lat wcześniej, niż twierdziła, a zanim osiągnęła pełnoletność, zdążyła dwa razy wyjść za mąż. W pierwszym

wypadku facet już miał żonę. Czy rozwiodła się z drugim, agencja nie zdołała ustalić.

Od tej pory zaliczyła co najmniej czterech mężów, chociaż jedno z małżeństw było zdecydowanie naciągane - próbowała nabrać ubezpieczalnię na wdowią rentę po żołnierzu, który zginął podczas wojny i w związku z tym nie mógł zaprotestować. Z jednym rozwiodła się (z jej winy), drugi zmarł śmiercią naturalną. Co do pozostałych, można było przypuszczać, że w dalszym ciągu byli jej „prawnymi małżonkami”.

Policyjna kartoteka Belle była obszerna i zajmująca. Wyrok za popełnione przestępstwa otrzymała tylko w Nebrasce. Zresztą zaraz wypuszczono ją warunkowo.

Detektywi odkryli ten fakt na podstawie rejestru odcisków palców, ponieważ natychmiast po zwolnieniu zniknęła, zmieniła nazwisko i wykombinowała nowy numer polisy ubezpieczeniowej. Agencja zapytywała, czy ma zawiadomić o tym urzędy.

Od chwili gdy zapadł pierwszy i jedyny wyrok, minęło już dziewięć lat. W końcu to tylko słodka dziewczynka nabierająca ogłupiałych facetów i wyciągająca od nich forszę. Na własnej skórze przekonałem się, jak przykro jest być wystrychniętym na dudka, lecz przestępstwa Belle były raczej niewinne. Gdyby handlowała narkotykami, nie miałbym nad nią litości. Lecz w tej sytuacji...

Praca szła mi jak z kamienia i nim zdążyłem to sobie uświadomić, zaczął się już październik. Opisy rysunków miałem gotowe zaledwie w połowie, a zastrzeżeń patentowych nawet nie tknąłem. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa wdrożenia do produkcji i późniejsza organizacja sprzedaży. Bez gotowych modeli nie mogłem ruszyć z miejsca. Nawet na to, żeby nawiązać jakieś korzystne kontakty handlowe, zabrakło mi czasu. Zaczynałem odnosić wrażenie, że popełniłem kardynalny błąd, prosząc doktora Twitchella o przemieszczenie o trzydzieści jeden lat i głupie trzy tygodnie, zamiast o co najmniej trzydzieści dwa lata. Nie doceniłem tempa upływu czasu, a przeceniłem swoje możliwości.

Do tej pory nie pochwalilem się Suttonom swoimi zabawkami, oczywiście nie w obawie przed kradzieżą. Po prostu chciałem uniknąć gadaniny i zbytecznych rad, dopóki sprzęt nie będzie gotowy. W ostatnią sobotę września miałem jechać do Klubu, a ponieważ poprzedniego dnia pracowałem do późna w nocy, poranny terkot budzika był dla mnie torturą. Wyłączyłem tego sadystycznego bydlaka i Bogu dzięki, że do roku 2001 ludzie pozbyli się tych straszliwych urządzeń. Zwlokłem się z łóżka i zszedłem na dół do drugostoru, aby zatelefonować i wytłumaczyć im, że nie mogę jechać z powodu nawału pracy.

Jenny, która odebrała telefon, stwierdziła:

- Wzięłeś za duże tempo, Danny. Weekend na wsi dobrze ci zrobi.
- Nie mogę, Jenny. Jest mi bardzo przykro, ale muszę zostać.

Z drugiego aparatu odezwał się John.

- Co to za pomysły?
- Muszę skończyć robotę, John. Po prostu muszę. Pozdrów wszystkich ode mnie.

Wróciłem na górę, spaliłem kilka grzanek i przypaliłem parę jajek, by w końcu zasiąść przy „Kreślarzu Ralphie”.

Godzinę później usłyszałem pukanie do drzwi.

Jenny i John nie pojechali w góry. Ten weekend spędziliśmy razem w mieście, zademonstrowałem im oba automaty. „Ralph” nie zrobił na Jenny wielkiego wrażenia, ale „Proteusz Pit” wzbudził jej niekłamany podziw. Sama korzystała z pomocy „Dziewczyny na posługi”, modelu II, zatem mogła oba modele porównać.

„Kreślarz Ralph” zainteresował natomiast Johna, który zdawał sobie sprawę z nowatorstwa tego urządzenia. Kiedy pokazałem mu, jak robot umie podrobić mój podpis, mój własny podpis, otworzył szeroko oczy.

- Przyjacielu, tysiące kreślarzy straci przez ciebie pracę.

- Nie ma obaw. Ten kraj cierpi na coraz większy z każdym rokiem niedostatek utalentowanych konstruktorów. Moja zabawka wypełni to puste miejsce. Następne pokolenie zobaczy ją u każdego konstruktora i architekta w całym kraju. Bez niej będą tak bezradni, jak współczesny mechanik bez elektrycznych urządzeń.

- Mówisz w taki sposób, jakbyś to wiedział na pewno.

- Bo wiem.

Spojrzał na „Proteusza Pita” - poleciłem mu, żeby sprzątnął stół - i znów na „Kreślarza Ralpha”.

- Danny... czasami mam wrażenie, że wtedy powiedziałeś mi prawdę... wiesz, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz...

Wzruszyłem ramionami.

- Tak, mówiłem prawdę. A w końcu... czy to ważne?

- Chyba nie. Co chcesz zrobić z tymi urządzeniami? Zachmurzyłem się.

- W tym tkwi problem, John. Jestem dobrym konstruktorem i w razie potrzeby nie gorszym mechanikiem. Natomiast nie mam żyłki handlowej. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Czy zajmowałeś się może prawem patentowym?

- Już ci to mówiłem. To praca dla specjalisty.

- Nie znasz kogoś solidnego, takiego, co to nie wypadł sroce spod ogona?

Doprowadziłem pracę do momentu, kiedy muszę skorzystać z jego usług. Muszę ponadto założyć korporację, która dopilnowałaby załatwienia wszystkich tych spraw i dbała o moje interesy. Mam na to niewiele czasu, ciągle mi go brak.

- Dlaczego?

- Wracam, skąd przyszedłem.

Usiadł i przez dłuższą chwilę milczał. W końcu zapytał:

- Ile czasu ci zostało?

- Hm, chyba dziesięć tygodni. Dziesięć tygodni licząc od przyszłego czwartku.

Spojrzał na obydwa automaty i potem znowu na mnie.

- Powinieneś raczej zmienić plany. Powiedziałbym, że masz przed sobą pracy na dziesięć miesięcy, nie tygodni. A nawet wtedy nie zaczniesz jeszcze produkcji - jeśli będziesz miał szczęście, przygotujesz tylko wszystko do jej rozpoczęcia.

- Nie mogę, John.

- Chyba masz rację.

- Chcę przez to powiedzieć, że nie mogę zmienić swoich planów. To przerasta moje siły... teraz.

Ukryłem twarz w dłoniach. Byłem śmiertelnie zmęczony - spałem niecałe pięć godzin, co dokładnie pokrywało się ze średnią ostatnich dni. W tym stanie byłem prawie gotów uwierzyć w „nieodwracalność losu” - można buntować się przeciw niemu, ale nie można go zmienić.

Podniosłem głowę.

- A może ty byś się tym zajął?

- Co?! To znaczy czym?

- Wszystkim. Moja rola już skończona.

- To poważna propozycja, Dan. Mógłbym cię bezkarnie wyrolować, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? A ten interes może być kopalnią złota.

- To będzie kopalnia złota, wierz mi.

- Dlaczego więc miałbyś mieć do mnie zaufanie? Czy nie byłoby korzystniej, gdybyś mi zaproponował zwykłe, płatne stanowisko radcy prawnego?

Zacząłem nad tym rozmyślać, aż rozbolała mnie głowa. Raz już wybrałem sobie

wspólnika... ale, do diabła, niezależnie od tego, ile razy sparzysz sobie palce, trzeba wierzyć ludziom. Inaczej człowiek staje się pustelnikiem, który zawsze sypia z jednym okiem otwartym. Nigdy nie jest się stuprocentowo bezpiecznym... już samo „żyć” oznacza straszliwe i... w końcu śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Do licha, John, przecież znasz odpowiedź na to pytanie. Ty mi uwierzyłeś. Teraz znów potrzebuję twojej pomocy. Pomożesz mi?

- Oczywiście, że ci pomoże - wtrąciła spokojnie Jenny - choć nie słyszałam, o czym mówiliście. Danny, czy on umie również zmywać naczynia? Wszystkie naczynia w twoim zlewie są brudne.

- Co, Jenny? No wiesz... oczywiście, że tak.

- Więc mu powiedz, żeby to zrobił. Chciałabym zobaczyć.

- Hm, nie ma jeszcze takiego programu, ale jeśli chcesz, to się tym zajmę. Cała robota potrwa kilka godzin, jeśli mam to zrobić porządnie, ale gdy skończę, będziesz miała gwarancję, że nigdy już tego nie zapomni. W tej chwili jednak... rozumiesz, zmywanie to praca, przy której należy kierować się rozumem, nie tak prosta jak murarka czy prowadzenie ciężarówki.

- No nie! Strasznie się cieszę, że choć jeden mężczyzna umie docenić trudy prac domowych. Słyszałeś, co mówił, kochanie? Danny, nie marnuj czasu na to programowanie, zmyję sama. - Rozejrzała się wokół. - Jeśli mam być szczerą, wygląda tu jak w chlewiu. Jakoś nie wpadłem na to, żeby „Proteusz Pit” pracował dla mnie. Przez cały czas głowiłem się, w jaki sposób mógłby pracować dla innych i wykonywać czynności, które dałyby się handlowo wykorzystać, a sam zgarniałem kurz do kąta albo go po prostu ignorowałem.

Teraz zacząłem uczyć go tych prac domowych, w których kiedyś specjalizował się

„Uniwersalny Frank". Nie miałem żadnych kłopotów, bo pojemność pamięci „Pita" była trzykrotnie większa niż jego poprzednika.

Mogłem się temu całkowicie poświęcić, gdyż John zabrał się już do roboty.

Jenny na maszynie wystukiwała opisy, a John wynajął prawnika-specjalistę od prawa patentowego, który pomagał nam w formułowaniu zastrzeżeń. Nie mam pojęcia, czy John płacił mu gotówką, czy udziałami, nigdy go o to nie pytałem. Zostawiłem mu wolną rękę we wszystkim, nawet w ustalaniu wysokości udziałów. Zyskałem w ten sposób czas na pracę, a poza tym liczyłem na to, że mogąc decydować osobiście o takich sprawach, nie ulegnie pokusie jak Miles. Prawdę powiedziawszy, w ogóle mi na tym nie zależało - pieniądze same w sobie nie są ważne. Albo John i Jenny są tacy, za jakich ich uważam, albo z miejsca wynoszę się do jaskini i zostaję pustelnikiem.

Upierałem się tylko przy dwu rzeczach.

- John, myślę, że nasza firma powinna nazywać się „Alladin Autoengineering Corporation".

- Nie brzmi to zbyt górnołotnie? Czy nie byłoby lepiej „Davis i Sutton"?

- Musi tak być, jak mówię, John.

- Naprawdę? Czy i w tym wypadku jesteś jasnowidzem?

- Całkiem możliwe. Jako znaczek firmowy przyjmijmy rysunek Aladyna pocierającego lampę, i dzina górującego nad chłopcem. Naszkicuję ci go z grubsza. I jeszcze jedna sprawa. Główna Kancelaria musi znajdować się w Los Angeles.

- Co? Czy to aby nie za dużo, jeżeli oczywiście obstajesz przy tym, żebym to ja prowadził firmę. Co ci się nie podoba w Denver?

- Denver to fajne miasto, ale dla naszej fabryki nie najlepsze miejsce. Wybierz jakikolwiek dobry teren w tym rejonie, a przekonasz się, że zostanie zajęty przez władze

federalne, a ty będziesz musiał zaczynać wszystko od nowa. Poza tym brak tu fachowej siły roboczej, surowce dowozi się przez całą równinę, a materiały budowlane dostaniesz tylko na półoficjalnym rynku. Natomiast Los Angeles ma nieograniczone zasoby wykwalifikowanych robotników i inżynierów i wciąż napływają nowi. Los Angeles to wielki nadmorski port. Los Angeles jest...

- A co ze smogiem? Nie jest godny wzmianki?

- Uporają się z tym problemem znacznie szybciej, niż myślisz. Wierz mi. Zresztą, czy nie zauważyłeś, że Denver zaczyna dorabiać się własnego smogu?

- Nie tak szybko. Dałeś mi jasno do zrozumienia, że to ja będę musiał kierować całą firmą, a ty znikniesz z osobistych powodów. W porządku, zgadzam się. Czy nie uważasz, że powinienem mieć chociaż możliwość wyboru warunków pracy?

- Tak być musi, John.

- Dan, kto ma wszystkie klepki w porządku i kto mieszka w Kolorado, nie przeprowadzi się do Kalifornii. Służyłem tam w wojsku, więc trochę znam teren i ludzi. Spójrz na Jenny: urodziła się w Kalifornii, co do dzisiaj wstydliwie ukrywa. Za nic w świecie nie zmusiłbyś jej do powrotu. Tutaj mamy zimy, zmienne pory roku, zdrowe górskie powietrze, wspaniałe...

- Nie, wcale nie twierdzę, że nikt nigdy by mnie tam nie zaciągnął. - Jenny podniosła głowę znad robótki na drutach.

- Co mówisz, kochanie?

Jenny nigdy nie wtrącała się do rozmowy, jeśli nie miała nic do powiedzenia. Teraz odłożyła druty, co nieomylnie wskazywało, że poważnie potraktowała temat.

- Gdybyśmy się tam przeprowadzili, najmiłszy, moglibyśmy wstąpić do Oakdale Club.

Można tam się kąpać przez cały rok. Przyszło mi to do głowy podczas ostatniego weekendu,

kiedy zobaczyłam łód na basenie w Boulder.

Zostałem z nimi do ostatniej prawie minuty - do wieczoru 2 grudnia 1970 roku. Byłem zmuszony pożyczyć od Johna trzy tysiące dolarów (podzespoły osiągnęły koszmarnie wysokie ceny) i zaproponowałem mu jako poręczenie zapis hipoteczny na moje akcje. Począł, aż go podpiszę, a następnie podarł na kawałki i wrzucił do kosza.

- Gdy wrócisz, to mi je oddasz.

- To będzie trwało trzydzieści lat, John.

- Tak długo?

Zastanowiłem się. Nie należał nigdy, bym opowiedział mu całą tę zwariowaną historię, ale uznałem, że teraz nadszedł czas wyjaśnień.

- Zbudźmy Jenny. Ma także prawo to usłyszeć.

- Hmm... nie. Pozwólmy jej spać, dopóki nie przyjdzie czas pożegnania. Jenny należy do ludzi, którzy nie przejmują się niczym, Dan. Jak jej się podobasz, nie zależy jej na tym, kim jesteś lub skąd przyszedłeś. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, opowiem jej to kiedy indziej.

- Jak chcesz.

Słuchał cierpliwie, przerywając tylko, gdy nalewał mi oranżadę, a sobie alkohol.

Doprowadziłem opowiadanie do momentu swojego upadku na górskie zbocze w Boulder i zamilkłem.

- To wszystko. Jedno jest tylko dla mnie niezrozumiałe. Oglądałem to miejsce wielokrotnie i doszedłem do wniosku, że spadłem z wysokości nie większej niż pół metra.

Gdyby pogłębiono wykop pod budynek laboratorium - to znaczy chciałem powiedzieć, „gdyby miano w przyszłości wykopać głębszy fundament”, zostałbym pogrzebany za życia.

Prawdopodobnie zabiłbym i was - jeżeli nie wysadziłoby to w powietrze całego okręgu. Nie

wiem, co się właściwie stanie, kiedy fala zamieni się w masę tam, gdzie jest już inna masa.

John palił w milczeniu.

- Więc co? - zapytałem. - Co o tym sądzisz?

- Danny, opowiadałeś mi sporo o tym, jak będzie wyglądać Los Angeles, Wielkie Los Angeles. Powiem ci, co o tym sądzę, kiedy przekonam się, że twoja relacja była dokładna.

- Była dokładna, mogłem tylko pominąć mało ważne szczegóły.

- Hmm... rzeczywiście brzmi to logicznie. Między nami mówiąc, jesteś najsympatyczniejszym szaleńcem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Nie, żebyś był złym konstruktorem... albo złym przyjacielem. Podobasz mi się, chłopie. Kupię ci na święta nowy kaftan bezpieczeństwa.

- Jeśli chcesz brać to w ten sposób.

- Nie mam innego wyjścia. Alternatywą jest tylko mój obłąd... co znaczyłoby, że Jenny czekają spore kłopoty... - Spojrzał na zegarek. - Powinniśmy ją już obudzić.

Óskałpowałaby mnie, gdybym pozwolił ci odejść bez pożegnania.

- Nie sądzę...

Odwieźli mnie na międzynarodowe lotnisko, a Jenny pocałowała mnie na pożegnanie.

Złapałem samolot do Los Angeles o jedenastej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczorem następnego dnia, 3 grudnia 1970, wysiadłem z taksówki tuż przed domem Milesa. Przyjechałem dość wcześnie, ponieważ nie pamiętałem dokładnie, o której dotarłem tam za pierwszym razem. Było już ciemno, ale przy chodniku stał samochód, cofnąłem się więc sto metrów, by mieć spory odcinek chodnika na oku, i zacząłem czekać.

po dwóch papierosach spostrzegłem nadjeżdżający samochód. Zatrzymał się przy aucie Milesa - zgasły światła. poczekałem jeszcze kilka minut i pospieszyłem w tę stronę. Był

to mój własny wóz.

Kluczyków nie miałem przy sobie, ale to nie był żaden problem. Od zawsze, gdy pogrążyłem się w pracy nad jakimś projektem, zapominałem o bożym świecie, a co dopiero o kluczykach. Dlatego trzymałem zapasowy komplet w bagażniku. Oczywiście znalazłem je na swoim miejscu. Ponieważ wóz stał zaparkowany na niewielkim wzniesieniu nie zapalając reflektorów i nie uruchamiając silnika, popchnąłem go do przodu i skręciłem za róg, gdzie włączyłem silnik przy wygaszonych światłach. Ustawiłem się w wąskiej uliczce za domem Milesa, naprzeciw drzwi. Garaż był zamknięty. Spojrzałem przez brudne okienko i zauważyłem, że stoi tam coś pod brezentową płachtą. Po kształcie poznałem, że jest to mój stary dobry przyjaciel "Uniwersalny Frank". Przy montażu wrót garażowych nikt nie liczy się z tym - przynajmniej nie w południowej Kalifornii w roku 1970 - że powinny wytrzymać atak człowieka uzbrojonego w łom i determinację. Ich otwarcie zabrało mi więc najwyżej parę sekund. Żeby rozebrać „Franka” na kawałki, które zmieściłyby się w samochodzie, potrzebowałem znacznie więcej czasu.

Sprawdziłem najpierw, czy moje notatki i rysunki są tam, gdzie je zostawiłem. Były.

Wyciągnąłem je i rzuciłem na podłogę, a potem zabrałem się do demontażu prototypu. Nikt inny nie znał tak dobrze jak ja tej konstrukcji. Poza tym nie zależało mi, by model na tym nie ucierpiał. Pomimo to tyrałem prawie przez godzinę, choć zwijałem się jak w ukropie.

Właśnie układałem w bagażniku ostatni fragment - podwozie krzesła na kółkach - kiedy usłyszałem, że Pit zaczął lamentować. Zakląłem i od razu pospieszyłem na tyły domu. Trafiłem w sam środek wrzawy bitewnej.

Przyrzekłem sobie, że będę delektował się każdą sekundą triumfu Pita. Przez siatkę tylnych drzwi błyskało zapalone gdzieś wewnątrz światło. Niestety niczego nie widziałem, bo ani razu nie zrobili mi tej przyjemności, by przebiec w moim polu widzenia. Słyszałem

odgłosy bieganiny i upadków, bojowy okrzyk Pita, od którego krew tężała w żyłach, i jęczenie Belle. Podkradłem się więc do drzwi, w nadziei że coś z tej wrzawy jednak zobaczę.

Te cholerne drzwi były zamknięte na haczyk! Jedyne nie przewidziany szczegół.

Błyskawicznie sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem scyzoryk, łamiąc przy okazji paznokcie, i ostrzem podważyłem haczyk. Zrobiłem to w ostatniej chwili i ledwie zdążyłem odskoczyć, Pit wypadł jak kaskader na motocyklu.

Wycofałem się tyłem przez grządki róż. Nie mam pojęcia, czy Miles i Belle w ogóle próbowali wybiec za Pitem. Wątpię w to, na ich miejscu nie ryzykowałbym.

Podniosłem się wreszcie na nogi i jak najszybciej oddaliłem od otwartych drzwi i strugi światła sączącej się na zewnątrz. Pozostało mi jedynie czekać, aż Pit się uspokoi.

W tym momencie nie odważyłbym się do niego podejść, a tym bardziej spróbować go podnieść. Znam koty.

Za każdym razem, kiedy przechodził obok mnie w poszukiwaniu sposobu wejścia do domu, głośno wyzywał nieprzyjaciela do podjęcia walki. Wtedy cicho go przywoływałem: - Pit. Chodź tu, Pit. Uspokój się, przyjacielu. Wszystko w porządku.

Wiedział, że tam jestem, ale dwa razy zignorował moje wezwanie. Koty nie mają w zwyczaju mieszać różnych rzeczy; teraz miał poważne zadanie do wykonania i nie mógł tracić czasu na pieszczoty. Byłem jednak pewien, że przyjdzie do mnie, gdy otrząśnie się z bojowego szału.

Kiedy tak siedziałem, przycupnięty w krzakach, doszedł do mnie odgłos wody w łazience. Pomyślałem, że musieli zostawić mnie w pokoju, a sami usiłują doprowadzić się do normalnego stanu. Tknęła mnie straszliwa myśl: a co by się stało, gdybym teraz wśliznął się do środka i poderznął gardło mojemu bezwładnemu ciału? Szybko stłumiłem tę chęć. Tak ciekawski nie byłem, choć z punktu widzenia matematyki eksperyment ten byłby zgoła

wyjatkowy. Doszedłem jednak szybko do wniosku, że samobójstwo to zbyt nieodwracalne doświadczenie, nigdy też nie spróbowałem - ze względu na trud obliczeń - przeliczyć tego na maszynie.

Poza tym nie miałem zamiaru spotkać się z Milesem - mógłbym się posunąć za daleko.

Pit zatrzymał się wreszcie jakiś metr przede mną. „Mrrouu?” odezwał się, przez co chciał powiedzieć: „Chodź, wrócimy i zrobimy porządek w tym lokalu. Ty zajmiesz się górą, a ja wezmę ich z dołu”.

- Nie, mój drogi. Już po zabawie.

- Ou notaaak!

- Czas do domu, Pit. Chodź do Dana.

Kiedy podniósł głowę, wyciągnąłem ramię, a on skoczył mi na ręce, usadowił się na nich i zaczął się oblizywać z całym kocim dostojeństwem. „Krrrauu?” (Gdzieś się podziewał, do licha, kiedy zaczęła się ta zawierucha?)

Odniosłem go do samochodu i położyłem na siedzeniu przy kierownicy, ponieważ nigdzie indziej nie było miejsca. Obwąchał stertę żelastwa bez specjalnego zainteresowania, po czym badawczo spojrział mi w oczy.

- Będziesz musiał siedzieć mi na kolanach - wyjaśniłem. - I proszę bez grymasów.

Kiedy wyjechaliśmy na ulicę, zapaliłem światła. Skierowałem się na wschód, prosto do obozu skautów nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. W ciągu pierwszych dziesięciu minut wyrzuciłem tyle podzespołów „Franka”, że Pit mógł zająć swoje zwykłe miejsce, co odpowiadało nam obydwu. Kilkanaście kilometrów dalej miałem już wolną całą podłogę, zatrzymałem się i utopiłem w kanale spływowym notatki i rysunki techniczne. Podwozia krzesła inwalidzkiego nie pozbywałem się, dopóki nie znaleźliśmy się wysoko w górach.

Wywaliłem je z piekielnym hukiem do głębokiej przepaści.

Gdzieś o trzeciej nad ranem dojechałem do motelu, położonego kawałek za zakrętem do obozu, i za słoną cenę wynająłem domek kempingowy - Pit o mało nie uniemożliwił tej transakcji, wystawiając łepkę z samochodu w najbardziej nieodpowiednim momencie, to znaczy kiedy wreszcie pojawił się właściciel. Zapytałem, o której godzinie dochodzi tutaj poczta z Los Angeles.

- Helikopter przylatuje dokładnie o siódmej trzynastcie.

- Dzięki. Proszę więc zbudzić mnie o siódmej.

- Szanowny panie, jeżeli wytrzyma pan tutaj do siódmej, to jest pan lepszy ode mnie.

Ale, oczywiście, zapiszę.

O ósmej byliśmy już po śniadaniu, ja ogolony i wykąpany. Obejrzałem Pita przy świetle dziennym i doszedłem do wniosku, że poza paroma zadrapaniami nie odniósł poważniejszych obrażeń. Oddałem klucze i ruszyliśmy do obozu skautów. Bezpośrednio przed nami skręcił tam pocztowy ambulans. Wyglądało na to, że będę miał dzisiaj szczęście. Nigdy w życiu nie widziałem tylu małych dziewczynek, zgromadzonych w jednym miejscu. Kręciły się jak bąki i w zielonych mundurkach wyglądały wszystkie jednakowo. Gdy mijaliśmy je, niektóre chciały przyjrzeć się Pitowi, lecz reszta nieśmiało zerknęła na obcych i trzymała się z daleka. W chacie z napisem „Kancelaria” znalazłem także umundurowaną skautkę, choć byłoby raczej trudno o niej powiedzieć, że jest małą dziewczynką.

Wyjaśniłem, że jestem wujkiem jednej z dziewcząt, nazywam się Daniel B. Davis i mam dla Ricky wiadomość o jej rodzinie. Usłyszałem, że żadni goście, z wyjątkiem rodziców, nie mają prawa wstępu na teren obozu bez obecności któregoś z opiekunów, a w ogóle wizyty zaczynają się dopiero o szesnastej.

- Nie chciałem odwiedzać Ricky, ale muszę przekazać jej wiadomość. To pilna

sprawa.

- W takim razie proszę napisać parę słów na kartce, a ja postaram się ją przekazać zaraz po rytmice. Nie ukrywałem rozczarowania.

- Nie chciałbym załatwiać sprawy w ten sposób. Wydaje mi się, że rozsądniej byłoby jednak powiedzieć to dziecku osobiście.

- Ktoś umarł?

- Nie, nie chodzi o poważne kłopoty rodzinne. Bardzo mi przykro, madam, ale nie mam prawa powiedzieć tego komuś innemu. Dotyczy to matki mojej siostrzenicy.

Powolutku zaczęła ustępować, a wtedy włączył się do dyskusji Pit. Siedział na mojej lewej ręce. Nie chciałem zostawiać go w samochodzie, zresztą wiedziałem, że Ricky bardzo ucieszy się na jego widok. Widocznie długa wymiana zdań zaczęła go nudzić, bo wyraził swoje zniecierpliwienie krótkim: „Krrrrrrr?”

Spojrzała na niego i powiedziała:

- Wygląda całkiem-całkiem. Mam w domu kocura, który mógłby być jego przyrodnim bratem.

- To jest kot Frederiki - oznajmiłem natychmiast. - Musiałem wziąć go ze sobą, ponieważ... inaczej być nie mogło. Nie ma kto o niego dbać.

- Jak to, biedaczek, taki malutki! - Podrapała go pod brodą, dzięki Bogu zrobiła to prawidłowo i Pit ją zaakceptował - wyciągnął szyję, zamknął oczy i zaczął się tak zachowywać, jakby miał do czynienia z ósmym cudem świata. Cerber cnót dziewiczych pozwolił mi w końcu poczekać przy stole pod drzwiami kancelarii. Zapewniało to minimum intymności, zakłócaną jedynie czujnym wzrokiem opiekunki. Podziękowałem i usiadłem.

Nie spostrzegłem Ricky, gdy podeszła do mnie. Usłyszałem nagle jej głos: „Wujku Danny!”, a potem: „Przywiozłeś Pita, to wspaniale!” Pit zamruczał z radością i błyskawicznie

przeskoczył na jej ręce. Zręcznie chwyciła go, usadowiła w pozycji, którą lubił najbardziej, i zaczęli się bawić. Po kilku sekundach pieszczot podniosła głowę i cicho powiedziała:

- Wujku Danny, strasznie się cieszę, że jesteś tutaj.

Nie pocałowałem jej. Nawet nie dotknąłem. Nigdy nie należałem do facetów, którzy lepią się do dzieci, a Ricky była dziewczynką, która zgadzała się na to jedynie wówczas, gdy nie miała innego wyjścia. Od czasów kiedy miała zaledwie sześć lat, nasze układy opierały się na wzajemnym poszanowaniu indywidualności i godności osobistej.

Patrzyłem na nią. Z kościstymi kolanami, rękoma i nogami jak patyki, chuda, nie przypominała pięknego dziecka, którym była jeszcze niedawno. Krótkie spodenki i koszulka w zestawieniu z łuszczącą się skórą, zadrapaniami, siniakami i - oczywiście - brudem nie dodawały jej uroku. Miała dopiero zadatki na kobietę; tylko poważne oczy i żywa wesołość równoważyły niezgrabność źrebięcia.

Jednym słowem wyglądała fantastycznie.

- Ja też się cieszę, że jestem tutaj - powiedziałem. Trzymając Pita jedną rękę, spróbowała sięgnąć do wypchanej kieszeni krótkich spodenek.

- Przede wszystkim jestem zaskoczona. Właśnie dostałam od ciebie list - wywołali mnie od rozdzielania poczty, nawet nie miałam czasu go przeczytać. Czy napisałeś tam, że dzisiaj przyjedziesz?

- Nie, Ricky. Piszę tam, że odjeżdżam. Gdy go już wysłałem, postanowiłem, że z tobą muszę pożegnać się osobiście.

Zrobiła smutną minę i spuściła oczy.

- Odjeżdżasz?

- Tak. Wyjaśnię ci to, Ricky, ale to długa historia. Chodź, usiądź tutaj, a ja ci wszystko opowiem.

Usiedliśmy przy składanym stoliku pod czerwonymi sosnami i zacząłem snuć opowieść. Pit leżał na krzeselku obok; z przednimi łapkami opartymi na pomiętym liście wyglądał jak posąg lwa. Mruczał cichutko swoją pieśń niczym rój pszczół w polu koniczyny. Spokojnie zmrużył powieki.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy zorientowałem się, że Ricky wie już o małżeństwie Milesa - nie umiałbym jej o tym powiedzieć. Podniosła głowę, zaraz potem ją opuściła i oświadczyła beznamiętnie:

- Tak, wiem, tata mi napisał.

- Aha, hm.

Nagle zasępiła się w sposób zgoła nie dziecięcy.

- Ja tam już nie wrócę, Danny. Za nic w świecie, nie chcę tam mieszkać.

- Ale... posłuchaj, Rikki-tikki-tawi. Wyobrażam sobie, jak się czujesz. Osobiście nie zależy mi na tym, żebyś tam wróciła. Jak jednak chcesz się przed tym bronić? To jest twój tata, a ty masz dopiero jedenaście lat.

- Nie muszę tam wracać. To nie jest mój prawdziwy tata. Babcia przyjedzie po mnie.

- Co? Kiedy ma przyjechać?

- Jutro. Przyjedzie z Brawley. Napisałam do niej i zapytałam, czy nie mogłabym u niej zamieszkać, bo u taty już nie chcę, razem z tą... kobietą. - W tym jednym słowie wyraziła więcej wzdryki niż niejeden dorosły w litanii wyzwisk. - Babcia odpisała, że jeżeli nie chcę, nie muszę z nimi mieszkać, ponieważ nigdy mnie nie adoptował i to ona jest moją prawną opiekunką. Prawda, że nie mogą mnie zmusić?

Kamień spadł mi z serca. Jedyna rzecz, dla której nie mogłem znaleźć rozwiązania i która przyprawiała mnie o ból głowy przez długie miesiące, to jak uchronić Ricky od jadowitego wpływu Belle przez następne... hm, prawdopodobnie dwa lata. Tak, to na pewno

będą co najmniej dwa lata.

- Skoro cię nie adoptował, Ricky, to jestem pewien, że babcia da sobie z tym radę, jeżeli obie będziecie trwać uparcie przy swoim. Natomiast możecie mieć poważne kłopoty z jutrzejszym wyjazdem. Być może nie pozwolą ci odjechać z babcią.

- Jak mogą mi przeszkodzić? Po prostu wsiądę do samochodu i odjadę.

- To nie takie proste, Ricky. Kierownictwo tego obozu musi działać zgodnie z przepisami, a ponieważ twój tata - to znaczy, chciałem powiedzieć Miles - powierzył im ciebie, nie mogą przekazać cię w inne ręce.

Wydęła usta.

- Nigdzie z nim nie pojedę. Ja chcę tylko z babcią.

- Rozumiem cię. Mam pomysł. Na twoim miejscu nie przyznawałbym się do tego wyjazdu, powiedziałbym, że babcia bierze cię na przejażdżkę. A potem po prostu już bym nie wrócił.

Uspokoiła się troszeczkę.

- W porządku.

- Hm... Nie rób nic takiego, co mogłoby zdradzić twoje zamiary. Nie bierz ze sobą żadnych sukienek; pieniądze i wszystkie inne drobiazgi, z którymi nie chcesz się rozstawać, wsadź do kieszeni. Przypuszczam, że nie masz tutaj zbyt wielu rzeczy, które byłoby ci żal zostawić?

- Raczej nie. - Wyglądała na rozczarowaną. - Mam zupełnie nowy kostium kąpielowy.

Jak należy wytłumaczyć dziecku, że w czasie pożaru trzeba po prostu zapomnieć o zabawkach i zostawić je bez żalu? Jeżeli wam się to nie uda - wróci do płonącego budynku ratować lalkę lub gumowego słonia.

- Mmm... Ricky, niech twoja babcia im powie, że zabiera cię do Arrowhead na plażę,

a wieczorem chcecie się wybrać na kolację do hotelu, ale zanim noc zapadnie, przywiezie cię z powrotem. Wtedy będziesz mogła wziąć ze sobą kostium i ręcznik. Ale nic więcej. Czy babcia zechce trochę połgać dla twego dobra?

- Chyba tak. Na pewno. Ona twierdzi, że ludzie muszą czasami mówić małe niewinne kłamstwa, bo inaczej życie byłoby nie do wytrzymania.

- Wydaje mi się, że to rozumna starsza pani. Zrobisz tak?

- Zrobię dokładnie tak, jak powiedziałeś, Danny.

- Doskonale. - Podniosłem pomiętą kopertę. - Ricky, już ci wspominałem, że muszę odjechać. I to na bardzo długo.

- Jak długo?

- Trzydzieści lat.

Źrenice rozszerzyły się jej jeszcze bardziej, jeżeli było to możliwe. Gdy ktoś ma lat jedenaście, trzydzieści wydaje mu się wiecznością.

- Jest mi bardzo przykro, Ricky - dodałem - ale muszę.

- Dlaczego?

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Prawda zabrzmiałaby niewiarygodnie, a nie chciałem się uciekać do kłamstw.

- Strasznie długo musiałbym ci to wyjaśniać, Ricky. - Przez chwilę wahałem się, a potem dodałem: - Położę się do długiego snu, zimnego snu. Wiesz, o czym myślę.

Wiedziała. Dzieci przyzwyczajają się do wynalazków szybciej niż dorośli, a zimny sen był ulubionym tematem komiksów. Nie zmniejszyło to jej przestachu i żarliwości protestu.

- Ależ, Danny, ja cię już nigdy nie zobaczę!

- Zobacysz. To bardzo długo, lecz kiedyś zobaczymy się na pewno. I to razem z

Pitem, bo on będzie spał ze mną.

Spojrzała na Pita i jeszcze bardziej posmutniała.

- Ale... Danny, dlaczego nie możesz przyjechać z Pitem do Brawley i zamieszkać z nami? To byłoby lepsze. Pit spodoba się babci. Ty również jej się spodobasz... ona zawsze mówi, że w każdym domu potrzebna jest męska dłoń.

- Ricky... droga Ricky... muszę. Nie utrudniaj mi tego, proszę...

Zacząłem powoli otwierać kopertę. Ricky wyglądała na zdenerwowaną, jej bródka drżała.

- Myślę, że ona ma z tym coś wspólnego!

- Co? Jeśli masz na myśli Belle, to na szczęście nie ma. Przynajmniej nie bezpośrednio.

- Nie pójdzie z tobą spać?

Zdaje mi się, że otrząsnąłem się jak pies.

- Na litość boską, tylko nie to! Chyba bym wolał pójść do piekła! To trochę uspokoiło Ricky.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo złościłam się na ciebie z jej powodu. Strasznie mnie to gniewało.

- Bardzo mi przykro, Ricky. Naprawdę mi przykro. Miałaś rację, a ja się myliłem. Z tą sprawą jednak Belle nie ma nic wspólnego. Skończyłem z nią raz na zawsze i daję ci na to słowo honoru. A teraz zajmijmy się czymś innym... - Pokazałem Ricky upoważnienie na cały mój majątek w firmie Hired Girl: - Wiesz, co to jest?

- Nie.

Wytłumaczyłem jej króciutko.

- Daję ci ten dokument, Ricky. Ponieważ nie będzie mnie długo, chcę, żebyś została

jego właścicielką.

Wyjąłem z koperty akt przepisania własności akcji na rzecz Belle i podarłem na strzępy. Musiałem teraz wymyślić sposób przekazania moich aktywów w American Bank na fundusz powierniczy dla...

- Ricky, jak brzmi twoje pełne nazwisko?

- Frederica Virginia Gentry. Przecież wiesz.

- Naprawdę Gentry? Myślałem, że Miles cię nie adoptował!

- Aha! Odkąd pamiętam, zawsze byłam Ricky Gentry. Ale moje prawdziwe nazwisko jest takie samo jak babci... jak mojego prawdziwego taty - Heinicke. Nikt mnie tak jednak nie nazywa.

- Od dzisiaj zacznę.

Napisałem na czystym formularzu „Frederica Virginia Heinicke” i dodałem: „Na podane wyżej nazwisko, w dniu osiągnięcia pełnoletności właściciela, mają zostać przelane następujące akcje”.

Mrówki przebiegły mi po plecach, kiedy uświadomiłem sobie, że być może i ten akt, podobnie jak poprzedni, nie ma mocy prawnej. Zacząłem podpisywać kopie, kiedy zorientowałem się, że nasz stróż wychyla się z kancelarii. Spojrzałem na zegarek, rzeczywiście upłynęła już godzina i czas widzenia dobiegł końca.

Chciałem załatwić sprawę do końca.

- Proszę pani?!

- Tak?

- Czy przypadkiem nie ma gdzieś w pobliżu notariusza? A może znajdę go w miasteczku?

- Ja jestem notariuszką. Czego pan sobie życzy?

- Doskonale się składa. Ma pani przy sobie pieczętę?

- Nie ruszam się bez niej z domu.

Parafowałem dokument w jej obecności, a ona go potwierdziła swoim podpisem i przybiciem pieczętę pod bardzo długą formułą, kończącą się następującymi słowami: „... którego znam osobiście jako niżej podpisanego Daniela B. Davisa”.

Kamień spadł mi z serca. Niech Belle spróbuje wyłuskać ten orzeszek!

Doświadczona skautka patrzyła na mnie ciekawie, ale nic nie mówiła. Z poważną miną wyjaśniłem:

- Tragedii nie można było zapobiec, ale to pomoże Ricky skończyć studia.

Nie przyjęła zapłaty i wróciła do kancelarii. Obróciłem się do Ricky:

- Te dokumenty oddaj babci. Niech odniesie je do filii American Bank w Brawley, a oni już wszystko później załatwią.

Nie dotknęła pakietu nawet palcem.

- W tym jest dużo pieniędzy, prawda?

- Sporo. A będzie jeszcze więcej.

- Ja ich nie chcę.

- Ale, Ricky, ja proszę, żebyś je przyjęła.

- Nie chcę. Nie wezmę ich.

W oczach jej zalśniły łzy, a głos zaczął wyraźnie drżeć.

- Odchodzisz na zawsze, a... na mnie ci już w ogóle nie zależy. - Pociągnęła nosem. -

Tak jak wtedy, gdy zaręczyłeś się z tą kobietą. A mógłbyś wziąć Pita i zamieszkać razem z babcią i ze mną! Nie chcę tych twoich pieniędzy!

- Ricky, posłuchaj mnie. Jest już za późno. Gdybym nawet chciał, nie mógłbym ich wziąć z powrotem. Są już twoje.

- Wszystko mi jedno. Ja ich nie dotknę. - Podniosła rękę i pogładziła Pita. - Pit nigdy by nie odszedł i nie zostawił mnie... gdybyś go do tego nie zmusił. Teraz nie będę miała nawet Pita.

- Ricky? - odezwałem się niepewnie. - Rikki-tikki--tawi? Chcesz znów zobaczyć Pita... i mnie? Prawie nie usłyszałem odpowiedzi.

- Pewnie, że chcę. Ale przecież nie mogę.

- Ależ możesz.

- Co? Jak to? Mówiłeś, że kładziesz się spać... na trzydzieści lat, tak mówiłeś.

- I tak zrobię. Muszę, Ricky. Natomiast ty możesz zrobić coś innego. Bądź posłuszną dziewczynką, zamieszkaż u babci, chodź do szkoły - a te pieniądze zostaw, niech sobie leżą. Jak już będziesz miała dwadzieścia jeden lat - i jeżeli będziesz chciała nas jeszcze widzieć - weź tyle pieniędzy, ile trzeba, żeby samej zapaść w sen. A kiedy się obudzisz, będę tam już na ciebie czekał. Będziemy czekać razem z Pitem, obaj. Przyrzekam ci uroczyście.

Długą chwilę intensywnie myślała.

- Naprawdę tam będziesz?

- Tak. Musimy teraz ustalić jakąś datę. Jeśli się zdecydujesz, Ricky, zrób dokładnie to, co ci powiem. Uzgodnij wszystko z ubezpieczalnią Cosmopolitan i koniecznie wybierz schronisko Riverside w okręgu o tej samej nazwie. I w żadnym wypadku nie zapomnij im powiedzieć, żeby obudzili cię dokładnie 1 maja 2001 roku. Tego dnia będę na ciebie czekał. Jeżeli zechcesz, żebym był obecny przy twoim przebudzeniu, powiedz im to również, ponieważ inaczej nie pozwolono by mi wejść dalej niż do poczekalni - znam to schronisko, strasznie są rygorystyczni. - Wyjąłem kopertę, którą przygotowałem, zanim wyruszyłem z Denver. - Nie musisz tego nawet pamiętać... wszystko jest na tych kartkach. Tylko dobrze je schowaj. Za dziesięć lat będziesz mogła podjąć decyzję. Jednego możesz być całkowicie

pewna: Pit i ja będziemy tam na ciebie czekać, czy się zjawisz, czy nie.

Położyłem przygotowane instrukcje obok dokumentów.

Myślałem, że już ją przekonałem, ale nie dotknęła ani jednego, ani drugiego pakietu.

Popatrzyła na mnie i cichutko zapytała:

- Danny?

- Tak, Ricky?

Nie podniosła głowy, a jej głos był tak cichy, że ledwie go słyszałem. Ale usłyszałem.

- Jeżeli to zrobię... ożenisz się ze mną? W uszach mi nagle zagrzmiało, przed oczyma zaczął wirować świat, ale odpowiedziałem spokojnie i głośno:

- Tak, Ricky. Tego właśnie chcę i dlatego to wszystko robię.

Zostawiłem jej jeszcze jedną kopertę, z napisem „Otworzyć w razie śmierci Milesa Gentry'ego”. Niczego nie wyjaśniałem, po prostu powiedziałem, żeby ją schowała. Zawierała dowody barwnej kariery Belle. Prawnikowi powinno to wystarczyć, aby odpowiednio zinterpretować przedwczesną śmierć Milesa.

Wręczyłem jej swój pierścień z uniwersytetu (innego nie miałem) i powiedziałem, że jesteśmy zaręczeni.

- Jest za duży, ale weź go. Gdy się obudzisz, będę miał dla ciebie drugi, ładniejszy.

Zacisnęła go w dłoni.

- Nie chcę żadnego innego.

- W porządku. A teraz pożegnaj się z Pitem. Czas na nas, musimy się zbierać.

Objęła Pita, oddała mi go zaraz i popatrzyła prosto w oczy. Po nosie i brudnych policzkach spływały łzy, zostawiając za sobą czyste smugi.

- Z Bogiem, Danny, żegnaj.

- Nie „żegnaj”, Ricky. Tylko „do widzenia”. Będziemy na ciebie czekać.

Kiedy dotarłem do miasteczka, była dziewiąta czterdzieści pięć. Dowiedziałem się, że za dwadzieścia pięć minut odlatuje helibus do centrum, odszukałem więc jedyne go właściciela garażu, który zajmował się handlem używanymi samochodami, i zawarłem z nim rekordowo szybką umowę - za połowę ceny on otrzymał samochód, a ja gotówkę. Zostało mi dokładnie tyle czasu, by przemyścić Pita na pokład (nie lubią tam kotów, które źle się czują podczas lotów) i wpadłem do kancelarii Powella parę minut po jedenastej.

Był bardzo zirytowany zerwaniem umowy. Miał ogromną chęć wygłosić kazanie o lekkoduchach, którzy gubią dokumenty.

- Nie mogę wymagać od tego samego sędziego wydawania tej samej zgody co dwadzieścia cztery godziny. To niedopuszczalne.

Zamachałem mu przed oczyma banknotami, z których każdy wydawał tak miły uszom szelest.

- Niech pan na mnie nie krzyczy, sierżancie. Chce pan mieć klienta czy nie? Jeżeli nie, droga wolna, sprzedaję sprawę Central Valley i do widzenia. Dzisiaj znikam na sto procent. Jeszcze chwilę dymił jak wulkan po erupcji, ale już się poddawał. Zaprotestował tylko, gdy chciałem przedłużyć okres hibernacji o sześć miesięcy, gdyż nie mógł zagwarantować dokładnej daty przebudzenia.

- W umowach podajemy plus minus jeden miesiąc.

- W mojej tego nie będzie. Proszę pisać: dwudziesty siódmy kwietnia dwa tysiące pierwszy rok. Jest mi obojętne, czy w nagłówku zobaczę nazwę „Mutual” czy „Central Valley”. Ja kupuję, a pan sprzedaje, panie Powell. A jeśli nie sprzeda mi pan tego, co chcę kupić, pójdę tam, gdzie mnie przyjmą z otwartymi ramionami.

Zmienił treść umowy i zaraz ją parafowaliśmy. Punktualnie o dwunastej stawilem się na ostatnie badania. Lekarz obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

- Zachował pan abstynencję?

- Oczywiście.

- Chciałbym się przekonać... - Przebadał mnie prawie tak starannie jak „wczoraj”.

Odłożył wreszcie gumowy młoteczek.

- Zadziwiające... Jest pan w znacznie lepszym stanie niż wczoraj. W niewiarygodnie lepszym stanie.

- I tak jest rzeczywiście, panie doktorze, nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak dobrze się czuję.

Trzymałem Pita i uspokajałem go, gdy wstrzykiwali mu środek nasenny. Następnie wzięli się do mnie. Prawdopodobnie mogłem zaczekać dzień, może jeszcze więcej, ale to by niczego nie zmieniło. Prawdę mówiąc, cieszyłem się już cholernie na powrót do 2001 roku.

Około czwartej po południu zasnąłem spokojnie, z głową Pita na piersi.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tym razem miałem przyjemniejsze sny. Raz tylko obudziłem się z uczuciem rozczarowania. Śniło mi się, że błdziłem trzęsąc się z zimna w labiryncie korytarzy z tysiącem drzwi. Otwierałem je kolejno, ale za nimi była jedynie pustka, ja zaś oczekiwałem nadaremnie, że któreś okażą się drzwiami do lata, a w progu będzie czekać Ricky. Na domiar złego Pit plątał mi się pod nogami, jak to miał w zwyczaju. Co rusz wypadał naprzód spomiędzy moich stóp sprawdzając, czy jest tam jeszcze zima, i zawracał, omal mnie nie przewracając.

Żaden z nas nie tracił jednak nadziei, że następne drzwi będą już właściwe.

Tym razem obudziłem się bez problemów i nie cierpiałem na dezorientację - lekarza chyba trochę zdenerwował mój brak zainteresowania nowym światem i to, że poświęciłem uwagę wyłącznie śniadaniu i gazetom. Wydało mi się bezcelowe wyjaśnianie, że już po raz

drugi jestem w takiej sytuacji - i tak by nie uwierzył.

Czekała na mnie krótka wiadomość od Johna, z datą sprzed tygodnia.

Cześć, Dan!

W porządku, poddaję się. Jak Ty to zrobiłeś? Chociaż Jenny protestuje, postanowiłem respektować zakaz odwiedzania Cię tutaj. Więc tylko Cię pozdrawia i ma nadzieję wkrótce Cię zobaczyć - próbowałem jej wytłumaczyć, że przez jakiś czas będziesz miał pełne ręce roboty. Powodzi nam się całkiem nieźle.

Jenny jest jeszcze piękniejsza, niż była.

Hasta la vista, amigo. John

PS Gdyby zabrakło Ci pieniędzy, daj znać - mamy ich w bród. Powiedziałbym, że wiedzie nam się nie najgorzej.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Johna z pozdrowieniami i nie opowiedzieć mu o nowym genialnym pomysle, który przyszedł mi do głowy podczas snu - urzędzeniu, zmieniającym tortury kąpieli w niebiańską rozkosz. Odłożyłem to na później. Rzeczywiście czekało mnie mnóstwo pracy. Zrobiłem tylko kilka szkiców i notatek, korzystając z tego, że wszystko miałem jeszcze świeżo w pamięci, i zasnąłem z głową Pita pod pachą.

W poniedziałek 30 kwietnia poprosiłem, aby mnie wypisano i pojechałem do Riverside, gdzie wynająłem pokój w starym hotelu Mission. Jak można było przewidzieć, upłynęło sporo czasu, zanim wpuszczono Pita „na pokoje”, gdyż niestety automatyczne pokojówki nie biorą łapówek, co raczej trudno uznać za udoskonalenie. Zastępca kierownika reagował na szczęście na argumenty, które pięknie szeleściły i miały odpowiedni kolor. Tak czy owak, nie zdążyłem się wyspać. Byłem zbyt podniecony.

Na drugi dzień o dziesiątej rano zjawiłem się w gabinecie kierownika schroniska Riverside.

- Doktorze Rumsey, nazywam się Daniel B. Davis. Czy ma pan pod swoją opieką

klientkę o nazwisku Frederica Heinicke?

- Czy może pan udowodnić swoją tożsamość?

Przedstawiłem mu prawo jazdy, wydane w 1970 w Denver, i dokument opuszczenia schroniska Forest Lawn. Obejrzał je dokładnie i zwrócił. Natarłem z niecierpliwością.

- Jeśli się nie mylę, powinna być dzisiaj obudzona.

Może zostawiła jakąś instrukcję; zgodę na moją przy tym obecność? Nie mam na myśli rutynowej operacji, ale ten końcowy etap już po podaniu ostatnich środków pobudzających, wtedy gdy odzyskuje się przytomność. Wydał wargi i przybrał ważną minę.

- Nasza klientka dała nam inne polecenie.

- Inne? - Poczuję się oszukany i rozczarowany.

- Życzyła sobie, żeby nie budzono jej bez powodu w dniu 1 maja, tylko dopiero wtedy gdy pan się zjawi. - Spojrzał na mnie i roześmiał się. - Musi mieć pan złote serce, bo urodą chyba pan jej nie zdobył.

Odetchnąłem.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Może pan poczekać w holu albo przyjść później. Za kilka godzin będzie pan mógł do niej wejść.

Wróciłem do holu i zabrałem Pita na krótką przechadzkę.

Wstąpiliśmy do „bardzo miłej restauracji”, ale nie byłem głodny, więc nie tknąłem śniadania. Jajkami na twardo zajął się Pit. O jedenastej trzydzieści byłem już z powrotem. W końcu pozwolili mi ją zobaczyć.

Widziałem tylko jej twarz, resztę ciała miała przykrytą. Poznałem ją jednak natychmiast - to była moja Ricky, wyglądała jak śpiący anioł.

- Jest pod wpływem posthipnozy - wyjaśnił mi cicho doktor Rumsey. - Proszę stanąć tutaj, a ja ją obudzę. Hm, wydaje mi się, że tego kota powinien był pan zostawić za drzwiami.

- Myli się pan, doktorze.

Zaczął coś mamrotać, wzruszył ramionami i obrócił się ku pacjentce.

- Obudź się, Frederiko. Obudź się. Musisz się teraz obudzić.

Powieki Ricky zatrzepotały. Nagle otworzyła oczy. Chwilę błądziła wzrokiem bez celu, w końcu nas zauważyła i uśmiechnęła się sennie.

- Danny... i Pit.

Wyciągnęła ręce i zobaczyłem na lewym palcu mój szkolny pierścionek.

Pit zamruczał, skoczył na łóżko i w powitalnym uniesieniu zaczął ją lizać po twarzy.

Doktor Rumsey miał zamiar zatrzymać ją na noc, lecz Ricky nie chciała o tym słyszeć. Zamówiłem więc aerotaxi i odlecieliśmy do Brawley. Babcia Ricky zmarła w 1980 roku i wszystkie kontakty towarzyskie urwały się od tego czasu, ale chcieliśmy wziąć stamtąd parę pamiątek - przede wszystkim książki. Przesłałem je Johnowi na adres Alladina. Ricky była trochę oszołomiona tymi zmianami, które zaszły w czasie jej snu, toteż bez przerwy trzymała mnie za rękę. Na szczęście nie ogarnęła jej nostalgia za utraconym domem, która stanowi największe ryzyko hibernacji. Chciała jednak jak najszybciej opuścić Brawley.

Wynająłem taksówkę i odlecieliśmy do Yumy. Tam też wpisałem się do księgi metrykalnej okręgu. Wyraźnym, czytelnym pismem umieściłem w rubryce swoje pełne nazwisko „Daniel Boone Davis”, żeby nie było najmniej-szych wątpliwości, który D.B. Davis jest autorem tego arcydzieła. Kilka minut później trzymałem małą dłoń Ricky w swojej i wzruszony powtarzałem: „Ja, Daniel, biorę ciebie, Frederico... dopóki nas śmierć nie rozłączy”.

Drużbą był Pit, a świadków znaleźliśmy w budynku sądu.

Z Yumy przenieśliśmy się w pobliże Tucson, na małe rancho z restauracją, gdzie wynajęliśmy bungalow, znacznie oddalony od głównego budynku. Obsługiwał nas „Pracusz Paul”, tak że nie musieliśmy z nikim się spotykać. Pit stoczył walną bitwę z miejscowym kocurem, który do tej pory rządził na ranchu. Poza tym incydentem nie spotykały nas żadne nieprzyjemności w miodowym miesiącu. Ricky zachowywała się w małżeństwie tak, jakby ona sama je wymyśliła, a ja - cóż, ja miałem Ricky.

Zostało mi już niewiele do opowiadania. Dzięki akcjom Ricky - w dalszym ciągu miałem pakiet kontrolny firmy Hired Girl - wysadziłem z siodła McBee'a i przesunąłem go na stanowisko „doświadczalnego inżyniera emeryta”. Głównym konstruktorem mianowałem Chucka. John jest szefem Alladina, ale nieustannie ostrzega, że ucieknie na emeryturę. Chyba jednak żartuje... Razem z nim i Jenny opanowaliśmy przedsiębiorstwo, John bowiem uważał cały czas, by nie stracić kontroli nad całością, wypuszczał jedynie konieczne obligacje, nic poza tym. Nie jestem w radzie nadzorczej ani jednej z licznych korporacji - konkurują nawzajem, ja zaś nie mieszam się do tych spraw. Konkurencja to dobra rzecz - Darwin wiedział o tym najlepiej.

Sam stanowią jednoosobowe „Biuro Konstrukcyjne Davisa”: kreślarnia i mały warsztat z jednym starym mechanikiem, który uważa mnie za wariata, ale wykonuje swą pracę prawie bezbłędnie. Produkcję zostawiam tym, którzy wykupią licencję na to, co skonstruuję.

Odnalazłem swoje notatki z rozmów z Twitchellem. Napisałem do niego wspominając mimochodem, że wszystko mi się udało i że wróciłem za pośrednictwem hibernatora.

Usprawiedliwiałem się i bardzo przepraszałem za to, że „śmiałem w niego wątpić”, a na koniec pytałem, czy zechciałby rzucić okiem na rękopis, gdy już będzie skończony. W ogóle mi nie odpowiedział. Z tego wnioskuję, że nadal jest wściekły.

Ja jednak naprawdę piszę tę książkę i mam zamiar wysłać maszynopis do wszystkich wydawnictw. Gdyby go nie przyjęli, wydam książkę za własne pieniądze. Przynajmniej to jestem mu winien. Mam wobec niego znacznie większe zobowiązanie: dzięki niemu mam Ricky. I Pita. Zatyłuję ją: Zapoznany geniusz.

Jenny i John wyglądają tak, jakby mieli zamiar żyć wiecznie. Dzięki geriatrici, świeżemu powietrzu, słońcu, ruchowi i beztróskiemu podejściu do życia, Jenny jest ciągle tak samo piękna, mając według moich obliczeń sześćdziesiąt trzy lata. John podejrzewa, że jestem „po prostu” jasnowidzem, i odmawia przyjrzenia się bliżej dowodom na to, jak mi się wtedy wszystko udało.

Próbowałem to również wyjaśnić Ricky, ale fakt, iż w tym samym czasie byłem w Boulder i przy niej, w podróży poślubnej, oraz że rozmawiałem z nią w obozie skautów, leżąc jednocześnie w oszołomieniu narkotycznym w dolinie San Fernando, stanowił dla niej zbyt wielki szok, żeby mogła się w tym wszystkim połapać.

Zresztą Ricky nie należy do tych, którzy zawracają sobie głowę takimi niepoważnymi rzeczami. Kiedy zobaczyła, że jestem zdenerwowany, szepnęła: „Chodź do mnie, kochanie!”, wzburzyła tę resztkę włosów, jaka ostała mi się na głowie, i pocałowała mnie.

- Powiedz... czy warto było poczekać, aż dorosnę?

Spróbowałem dać jej jak najbardziej przekonujący dowód, że warto było.

Moje usiłowania, by wyjaśnić ten fenomen, bynajmniej nie były wystarczające. Coś mi uciekło, chociaż na tej karuzeli jeździłem sam i liczyłem jej obroty. Jak to się stało, że nie zauważyłem wiadomości o opuszczeniu przeze mnie zakładu? Mam na myśli to drugie przebudzenie, w kwietniu 2001, a nie w grudniu 2000. Przecież starannie czytałem wszystkie spisy ukazujące się w gazetach. Obudzono mnie (za drugim razem) w piątek 27 kwietnia 2001; Times powinien o tym poinformować następnego dnia. Ja jednak tego nie widziałem.

Sięgnąłem do stojaka na stare gazety i jeszcze raz sprawdziłem: w Timesie z soboty 28 kwietnia widniało jak byk w rubryce „Zwolnieni” moje nazwisko - D.B. Davis.

A podchodząc do sprawy filozoficznie: czy jeden jedyny wiersz drukowanego tekstu może stworzyć odmienny wszechświat tak, jakby przy budowie obecnego zapomniano o Europie? Czy prawdziwa jest koncepcja „rozgałęziających się prądów czasu” i „światów alternatywnych”? Czy dostałem się do innego wszechświata - innego, bo zmieniłem jego porządek, choć odnalazłem tam Ricky i Pita? Istniał gdzieś (a może lepiej powiedzieć kiedyś) jakiś inny kosmos, w którym Pit narzekał, dopóki nie stracił nadziei, a później zniknął, żeby samotnie walczyć o przetrwanie? W którym Ricky nie udało się uciec z babcią i była zmuszona przeżyć ciężkie lata z mściwą Belle?...

Jeden wiersz drobnego druku nie wystarczy. Prawdopodobnie usnąłem tamtego wieczora i przegapiłem swoje nazwisko, dlatego rano wyrzuciłem gazety do kosza. Czasami bywam roztargniony, zwłaszcza gdy myślę o pracy.

Co byłbym jednak zrobił, gdybym zobaczył swe nazwisko? Poszedłbym tam, spotkał samego siebie - i w końcu zwariował? Nie, ponieważ gdybym „go” spotkał, nie uczyniłbym tego, co potem zrobiłem - to znaczy „potem” z mojego punktu widzenia. Nie wykonałbym tych czynności, które spowodowały mój skok w przeszłość i powrót do teraźniejszości. Nic nie potoczyłoby się tak, jak się potoczyło. Kontrola spoczywa w określonym ujemnym sprzężeniu zwrotnym z „wbudowanym bezpiecznikiem”.

Istnieje boska moc, która kształtuje nasze losy, niezależnie od tego, jak sami je kształtujemy. Wolna wola i prze- znaczenie, mówiąc krócej, i obie realne. Istnieje tylko jeden rzeczywisty świat, z jedną przeszłością i jedną przyszłością. Jak było na początku, teraz i zawsze, świat bez końca, na wieki wieków, amen. Tylko jeden... lecz wystarczająco duży i skomplikowany, by objąć go w tej wielości, w ujemnych sprzężeniach zwrotnych i obwodach

zabezpieczających, by pojąć wolność woli, zrozumieć podróże w czasie i wszystkie inne sprawy. W ramach danych praw możecie dokonać czego dusza zapagnie... ale i tak wrócicie pod własne drzwi.

Nie ja jeden podróżowałem w czasie. Fort zarejestrował dużo przypadków, których nie można wytłumaczyć w inny sposób. Podobnie Ambrose Bierce. Pamiętajmy też o dwóch domach w ogrodach Trianon. Mam także wrażenie, że stary Twitch przekręcał ten wyłącznik częściej, niż się do tego przyznaje... nie mówiąc o tych, którzy mogli to odkryć w przeszłości lub w przyszłości. Wątpię jednak, czy podróże w czasie przydadzą się kiedyś komukolwiek. O moich przygodach wiedzą trzy osoby, z których dwie mi nie wierzą. Podróżowaniem w czasie niczego się nie udowodni; dopóki nie przyjdzie - jak to już kiedyś powiedział Fort - czas na zbudowanie kolei żelaznej, nie można jej zbudować.

W dalszym ciągu nie mogę pozbyć się myśli o Leonardzie Vincencie. Czy został Leonardem da Vinci? Przebył cały kontynent i wrócił z Kolumbem? Encyklopedie podają jego dokładny życiorys - ale przecież mógł go sam odpowiednio spreparować. Wiem, jak to się robi, sam też mam coś na sumieniu.

Italia szesnastego wieku nie znała polis ubezpieczeniowych, dowodów tożsamości, odcisków palców - mogło mu się udać.

Pomyślcie jednak o nim, oderwanym od wszystkiego, do czego był przyzwyczajony, znającym samoloty, tajniki energii i mnóstwo innych rzeczy - jak desperacko toczy walkę o ich zastosowanie w szesnastym wieku - i jak beznadziejnie przegrywa, skazany na niepowodzenie, ponieważ nie można robić czegoś, co robimy dzisiaj, bez całych stuleci rozwoju techniki, umożliwiających nasze dokonania.

Szyf miał prostsze zadanie.

Myślałem również o tym, czy odtajnienie podróży w czasie dałoby się wykorzystać

dla zysku - organizować krótkie skoki, stawiać urządzenia w drodze powrotnej, brać ze sobą potrzebne elementy i podzespoły itd. Któregoś dnia zrobiono by jednak o jeden skok za dużo i droga powrotna zamknęłaby się przed takim podróżnikiem, ponieważ trafiłby do epoki „przed koleją żelazną”. Nie zapomnijmy o ogromnym ryzyku, związanym z kierunkiem przemieszczenia w czasie. Wyobraźcie sobie, że trafiacie na dwór Henryka VIII z całym bagażem techniki dwudziestego piątego stulecia. To już lepiej ugrzęznąć w ciszy morskiej na równiku.

Nie, żadne urządzenie nie powinno znaleźć się na rynku, dopóki nie nadejdzie jego czas.

Natomiast w ogóle nie martwię się o „paradoksy”, „chronoklazmy” i przeróżne anachronizmy powstałe przy okazji podróży w czasie. Jeżeli za tysiąc lat jakiś konstruktor pokona wszystkie przeszkody, wybuduje stację przesyłową i zapewni bezpieczny transport w czasie, stanie się to, bo tak zaplanował wielki Budowniczy tego świata. Dał nam oczy, dwie ręce i rozum; nic, co nimi zdziałamy, nie może być paradoksem. Nie ma potrzeby wywracania wszystkiego na nice... jego prawa rządzą się same. Cuda nie istnieją, a słowo „anachronizm” jest semantyczną bzdurą.

Podobnie nie zawracam sobie głowy interpretacją filozoficzną. Jakakolwiek jest prawda o tym świecie, mnie on się podoba. Znalazłem swoje drzwi do lata i już nigdy nie zaryzykowałbym podróży w czasie, w obawie, by nie trafić na zły postój. Kiedyś, być może, mój syn zdobędzie się na to, ale wtedy poradzę mu, aby zawsze dążył do przodu, nigdy się nie cofał. Kierunek „do tyłu” zarezerwowany jest dla szczególnych wypadków, przyszłość jest lepsza od przeszłości. Na przekór wszystkim nieufnym, romantykom i antyintelektualistom świat nieustannie dąży ku lepszemu, ponieważ człowiek zmienia go na lepsze. Rękoma... urządzeniami... wiedzą i techniką, na chłopski rozum.

Większość z tych długowłosych prześmiewców nie umie posługiwać się zwyczajnym młotkiem ani liczyć na suwaku logarytmicznym. Czasami mam ochotę zaprosić ich do klatki doktora Twitchella i wysłać w dwunasty wiek - niechby sobie tam używali.

Nie, nie jestem zgorzkniały, dzisiejsze czasy naprawdę mi się podobają. Z wyjątkiem tego, że Pit się starzeje, obrasta w tłuszcz i nie kwapi się do pojedynków z młodszymi od siebie. Wkrótce będzie musiał ułożyć się do tego najdłuższego snu. Wierzę z całego serca, że jego odważna mała duszyczka znajdzie swoje drzwi do lata, za którymi istnieje mnóstwo najbardziej wyszukanych łakoci, za którymi samiczki lgną do starych bohaterów, a przeciwnicy są tak zaprogramowani, by po zażartej walce zawsze umieć przegrać z honorem. Za którymi ludzie mają przyjacielskie ręce do głaskania, a o ich nogi można się ocierać, bo nigdy nie odtrącają z nienawiścią.

Ricky także od czasu do czasu przybiera na wadze, z bardziej radosnego powodu.

Dodaje jej to uroku, ale jest dla niej uciążliwe. Pracuję już nad urządzeniami, które odciążąłyby ją od wykonywania pewnych czynności. Rola kobiety nie jest najłatwiejsza, coś powinno się z tym zrobić, a ja jestem przekonany, że pewne problemy można już teraz rozwiązać. Na przykład ból w krzyżu - skonstruowałem przeciwdziałające temu hydrauliczne łóżko, które prawdopodobnie opatentuję. Wchodzenie i wychodzenie z wanny to następne zmartwienie... zajmę się tym wkrótce.

Dla staruszka Pita zbudowałem „kocią łazienkę”, której może używać, gdy na dworze jest brzydka pogoda - automatyczną, higieniczną i bezzapachową. Pit, jako prawdziwy kocur, woli wychodzić z domu i nigdy nie stracił nadziei, że wystarczy otworzyć wszystkie drzwi, a jedno z nich będą na pewno drzwiami do lata.

I chyba ma rację.